ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 6/525 1991

• « La Culture » • Revue mensuelle •

G. HERLING-GRUDZIŃSKI: **DZIENNIK PISANY NOCĄ**

K. WOLICKI: **BÓG TAK CHCE**

M. ZIELIŃSKI: **ROZMOWA Z PREZYDENTEM LANDSBERGISEM**

M. ADAMIEC: **LITERATURA POLSKA LAT 80-TYCH**

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński: *Dziennik pisany nocą* 3
Marek Zieliński: *Ucieczka przed Polską* 16

OBSERWATORIUM

Krzysztof Wolicki: *Bóg tak chce* 25

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger: *Widziane z Brukseli, z Moskwy i z Kijowa* 34

KRAJ

— *Bezpieczeństwo Polski* 51
Zbigniew M. Fallenbuchl: *Zadłużenie Polski* 61
Zofia Ziemięcka: *Czytając prasę* 69
Tadeusz Chrzanowski: *Szło stare* 73

WYWIADY „KULTURY"

Marek Zieliński: *Wyższa cena (Rozmowa z przewodniczącym Rady Najwyższej Litwy prof. Vytautasem Landsbergisem)* 81

SĄSIEDZI

Adam Kruczek: *W sowieckiej prasie* 96

KRONIKA KULTURALNA

Marek Adamiec: *Literatura polska lat 80-tych* 101
Andrzej Dobosz: *O pisaniu prawdy* 124
Paweł Piasecki: *Polska na wygnaniu* 131

CI, CO ODESZLI

Marek Szypulski: *Stanisława Jaklicz* 136

KSIĄŻKI

Antoni Pospieszalski: *Katolicyzm Grahama Greene'a* 137
Leszek Szaruga: *Bunt w butonierce* 141
Janusz Mondry: *Przewaga technologiczna Japonii* 144
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 147

•

— *Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki kanadyjska, norweska i szwedzka* 149

•

W.M. Marcinkowski, J. Nowak-Jeziorański: *Listy do Redakcji* 159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec/Juin 1991

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

N. Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA), po raz 26-ty — dol. US 36,00	F.	205,00
Marian J. Blachaczek, Howard City, MI (USA) po raz 8-y — dol. US 12,00	F.	69,00
Anna Bychowiec, Orinda, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób mego męża Józefa Jana Bychowca — dol. US 100,00	F.	570,00
Dla uczczenia pamięci Witolda Zahorskiego od Stacha Merło z Merliszek, „ziemlaka" Witka — LIT 675.000	F.	2.950,00
Dr Teodor Goroszeniuk, Londyn — DM 30,00	F.	100,00
Halina Grodzicka, Buenos Aires, po raz 12-ty	F.	303,69
Halina Jaskot, Burlington, ON (Kanada) — zamiast kwiatów na grób moich ukochanych Rodziców, Katarzyny i Konstantego Sieluk — dol. c. 100,00	F.	485,00
Leszek Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 12-y (Bardzo przepraszamy, że z takim opóźnieniem odnotowujemy Pana dar — Red.)	F.	600,00
Zbigniew Okołowicz, Millerton, NY (USA) po raz 5-ty — dol. US 35,00	F.	200,00
R. Quas de Penno, Hockessin, DE (USA) — zamiast kwiatów na grób przyjaciela, Leszka Wilkoszewskiego, zmarłego w Warszawie w marcu 1991 r. — dol. US 25,00	F.	142,00
Agnieszka Szypulska, Paryż — pamięci Stanisławy Jaklicz, zmarłej 14 maja 1991 r. w Paryżu	F.	100,00

DZIĘKUJEMY!

●

Ela Rusak Mazur w imieniu członków „Videoteki" w Kingston, ON (Kanada) na pomoc dla Polaków w ZSSR — dol. US 36,00	F.	205,00

Dziennik pisany nocą

Neapol, 15 lutego 1991

Jak widzę, w Polsce pod rządami Prezydenta Wałęsy spoufalono się z Janem Pawłem II na tyle, że przypisywane mu są rzeczy graniczące z obrazą papieskiego majestatu. Dzisiejszy *Corriere* donosi w korespondencji z Warszawy, że w gazetach omawiana jest rzekoma papieska groźba anulowania pielgrzymki do Polski, jeśli Sejm nie uchwali ustawy aborcyjnej. Nie do wiary! Czy nie narusza godności Jana Pawła II fakt, że polscy dziennikarze ośmielają się pomawiać go niedwuznacznie o uprawianie szantażu? Czy nie jest skandalem wołającym o pomstę od nieba, splamieniem inteligencji i czystości Ojca Świętego, podrzucanie mu tak małodusznych i niezrozumiałych zamiarów? Papież stawiający *warunki* posługi religijnej we własnym kraju? Zgroza. A może to nasz nowowybrany Prezydent sufluje prasie taką możliwość, usiłując zmobilizować nacisk wiernych na Sejm (z 65% posłów bezwolnych, bo myślących wyłącznie o zachowaniu mandatów)? Ewentualność tego rodzaju przynosi prawie ulgę. Parę miesięcy temu uważałem za złośliwy wymysł wiadomość z Rzymu, że Kościół spieszy się z przegłosowaniem ustawy aborcyjnej w *obecnym* Sejmie, bo tylko w Sejmie zdominowanym przez wystraszonych a więc i posłusznych posłów z dawnej „koalicji" PZPR może liczyć na względnie łatwe osiągnięcie swego celu. A teraz zaczynam rozumieć, że nie był to wcale głupawy dowcip antyklerykalny.

17 lutego

Takie to odległe czasy, że ledwie mogę poważyć się na ewokację, równie trudną jak próby ocalenia wizji sennej po

przebudzeniu. Rok 1939, późna wiosna albo początek lata. Ludwik Fryde zabrał mnie w niedzielę do Aleksandra Hertza, który miał domek w Podkowie Leśnej. Zdaje się, że został zaproszony jeszcze jeden uczestnik „szkółki Frydego", albo Antoni Andrzejewski, albo Stefan Lichański. Jestem pewien obecności Rafała Blütha, mniej pewien obecności Stefana Napierskiego. Hertz zaprosił kilku swoich kolegów uniwersyteckich oraz dwóch kolegów z PIST-u, Jerzego Stempowskiego i Tymona Terleckiego; obaj uprzedzili w ostatniej chwili, że nie mogą przyjechać. W każdym razie dokoła stołu i w kątach pokoju, którego drzwi otwarte były szeroko na ogródek, zasiadło około piętnastu osób.

W powietrzu wisiała wojna, było już po mowie sejmowej Becka. Miałem wtedy dokładnie dwadzieścia lat: zbyt młody by w pełni rozumieć co przed nami, dostatecznie dorosły by zdrętwieć po przeczytaniu w *Polsce Zbrojnej* artykułu jakiegoś pułkownika dyplomowanego o wyższości konia kawaleryjskiego nad czołgiem. Siedziałem jak trusia w kącie, usiłując nie uronić ani słowa z tego co mówili znakomici goście Aleksandra Hertza. Nie rozmawiali o nadchodzącej wojnie, choć oczywiście przenikała wszystkie ich myśli. Tematem rozmowy była *Historia Europy w XIX wieku* Crocego. Gospodarz wyznaczył ten temat w zaproszeniach.

Po tylu latach cóż mogę pamiętać z rozmowy w Podkowie Leśnej? Nikłe strzępy. Dwa głównie. Twierdzenie Crocego że w XIX wieku zakwitła, dojrzała i zapuściła w Europie korzenie „religia wolności". Oraz jego głębokie przekonanie, że nie udadzą się próby jej wykorzeniania, jakkolwiek będą ciągle podejmowane, sprowadzając na Europę katastrofy i nieszczęścia. Książka ukazała się w Bari w roku 1931, musiała więc milczeć o włoskim faszyzmie. Ilustracją zamachu na „religię wolności" był dla autora sowiecki komunizm. Za wcześnie było w roku 1931 na hitleryzm, choć profetyczną wymowę miała w książce jej dedykacja: Tomaszowi Mannowi.

Odczytując ostatnio *Historię Europy*, którą otwierają i zamykają słowa *la religione della libertà*, zastanawiałem się ile nauk starego liberała włoskiego przeniknęło do świadomości europejskiej, zwłaszcza po długim okresie podgryzania i opluwania jego dzieła przez komunistów włoskich (w powojennym półświatku kulturalnym we Włoszech, prowadzonym na smyczy przez podkomendnych Togliattiego, Croce był traktowany tak mniej więcej jak Ingarden w PRL przez „Towarzysza Kotta", w epizodzie opisanym przez niego bezwstydnie w *Przyczynku do biografii*). Coś przeniknęło: Vaclav Havel wyznał świeżo w wywiadzie, że *Historia Europy* Crocego była dla niego „przełomem"; zapewne dzięki „religii wolności"; i zapewne przełomem w „powojennym zadurzeniu utopijnym" inteligencji czeskiej, o którym sam pisał. Pomyślałem odruchowo o rozmowie w Podkowie Leśnej pół wieku temu; i o sobie samym, siedzącym cicho w kącie.

Od przyjezdnych z Kraju, szczególnie młodych, słyszałem często pytanie, czy długie lata emigracji nie podważyły we mnie nigdy wiary w ostateczny upadek komunizmu, czy nie przeżywałem okresów bezsilności, skrajnego sceptycyzmu, poczucia nadaremnego podkopywania Siły ustanowionej i wzmacnianej wciąż „wyrokiem Historii". Skłamałbym twierdząc, że nie zdarzyło mi się dotykać dna zniechęcenia, że nie doznawałem momentów jałowości i „miotania się jak ryba na ościeniu" (ksiądz Walerian Meysztowicz zwykł był posługiwać się niekiedy tym określeniem, mówiąc o sytuacji emigrantów). Ale w sumie ani ja, ani ludzie z którymi byłem i jestem na obczyźnie blisko związany, nie wątpiliśmy że stanie się pewnego dnia to właśnie, co dzieje się dzisiaj. Mogliśmy tylko wątpić, i wątpiliśmy wielokrotnie, czy los pozwoli nam na własne oczy zobaczyć nieuchronne bankructwo, tak szybkie zawalenie się nieludzkiej konstrukcji zniewolenia i ucisku. Cząstka mojej pewności, że runie w końcu gmach który musiał runąć, pochodziła z „religii wolności". Myślę, że dobry wiatyk na wojenną drogę wybrali uczestnicy spotkania w Podkowie Leśnej.

Przeciwieństwem „religii wolności" jest naturalnie totalitarna „religia niewoli". Myli się jednak kto sądzi, że między dwoma biegunami nie ma form pośrednich. Istnieje, na przykład, wolność o rysach karykaturalnych. Jest to wolność dozowana, zależnie od „stopnia dojrzałości społeczeństwa". Kto bywa sędzią owej „dojrzałości"? Na ogół rzecznicy „silnej ręki", „demokracji kierowanej lub sterowanej", „węzłów przecinanych siekierą", „krytyki wyłącznie konstruktywnej" i tym podobnych konceptów. Jest nimi usiana obficie droga apostatów „religii wolności".

18 lutego

O tym jak w ciągu ostatnich kilku lat pędziła ostro „historia urwana z łańcucha" można się przekonać, czytając książkę Gartona Asha *Pomimo i wbrew, eseje o Europie Środkowej*. Prawie wszystko się w niej zestarzało, a przecież są to szkice z lat osiemdziesiątych (najpóźniejszy nosi datę 1988). Uwagi jeszcze niedawno żywe, bystre, „dymiące" aktualnością, mają teraz groźny dla pisarza politycznego dźwięk szeleszczącego papieru. Ocalała tylko — wynalazek Gartona Asha — „otomanizacja" w miejsce wyrzuconej na śmietnik „finlandyzacji". „Jeśli rozwinąć tę metaforę w zdanie — powiada Garton Ash — oto-

manizacja oznacza *uniezależnienie w upadku*". Imperium się rozkłada, ten rozkład może trwać bardzo długo, ale jest nieunikniony. Myślenie polityczno-historyczne winno mieć to na uwadze i stawiać na pierwszym miejscu, od tego uzależniać całą resztę. Między innymi mit Europy Środkowej, o której miło jest czasem pomarzyć, ale której nie da się już wskrzesić. Zdaniem (bardzo efektownym) Brzezińskiego Europa Wschodnia jest na drodze „powrotu ku Europie Środkowej". Rzeczywiście? Moim zdaniem Europa Środkowa (zmitologizowana) jest na drodze zwrotu ku Europie Wschodniej. Możemy i powinniśmy współdziałać w wielu sprawach z Czechami i Węgrami, ale „otomanizacja" będzie nas pchać w stronę Bałtów, Ukraińców, Białorusinów, nawet Rosjan. Havel zdaje się to rozumieć lepiej od Wałęsy.

20 lutego

Należy się pochwała Wiktorowi Woroszylskiemu za projekt i organizację spotkania pisarzy polskich i rosyjskich w Radziejowicach, w kwietniu zeszłego roku. *Więź* ogłosiła stenogram tego spotkania pod tytułem *Szukanie wspólnego języka*. Czytając bardzo uważnie (i z niemałym trudem, bo dialog w Radziejowicach nie grzeszył przejrzystością) wypowiedzi naszych i rosyjskich pisarzy, utwierdziłem się w dawnym przekonaniu, że „szukanie wspólnego języka" musi chwilowo i na dłuższy czas trzymać się z daleka od rozważań historycznych i historiozoficznych. Co jest obecnie najpilniej potrzebne, to pogłębianie poczucia wspólnego losu. Przeszło ćwierć wieku temu pisałem w przedmowie do *Innego Świata*: „Jeśli cokolwiek może zbliżyć Polaków do Rosjan, to mówienie na głos o krzywdach i świadomość wspólnego cierpienia. Ze wspólnego cierpienia powstaje wspólna nadzieja". Te słowa powtórzyłem we wstępie do wydania rosyjskiego książki w Londynie i do planowanego w bieżącym jeszcze roku wydania moskiewskiego. Mimo *pieriestrojki* i *głasnosti* są one wciąż ważne. W Radziejowicach podobny akcent odezwał się u dwóch pisarzy rosyjskich, Wiaczesława Piecucha i Anatola Pristawkina.

U Piecucha dochodzi do głosu motyw dodatkowy, nie zaskakujący dla mnie, gdyż wielokrotnie pojawiał się w moich rozmowach z Maksimowem, Gorbaniewską, Niekrasowem. „My wszyscy — mam na myśli ostatnią falę — piszemy w istocie o tym, że jeśli ktoś najbardziej nacierpiał się od Rosji, to właśnie naród rosyjski, i gdyby Polacy zrozumieli, że nikt tak nie nacierpiał się przez Rosję jak naród rosyjski, to może niektóre nasze rozmowy stałyby się łatwiejsze".

Jestem o tym przekonany, polski egoizm (a często wręcz swoisty monopol krzywd) ogromnie utrudnia nawiązanie trwałego i głębokiego kontaktu z Rosjanami (jak również z Ukraińcami, Białorusinami etc.). Mało jest takich Polaków jak Czapski. Ale są. Wzruszył mnie i ujął świetny artykuł Agnieszki Magdziak-Miszewskiej w następnym numerze tejże *Więzi* o Konferencji Praw Człowieka w Leningradzie, zorganizowanej przez Zofię i Zbigniewa Romaszewskich. Radziejowickie „szukanie wspólnego języka" o ileż byłoby prostsze, gdyby zebrani znali ten niezwykły fragment sprawozdania Magdziak-Miszewskiej: „Polskie doświadczenie komunizmu jest absolutnie nieporównywalne z doświadczeniem wszystkich narodów tworzących Związek Sowiecki. Nasze cierpienia były naprawdę lżejsze w porównaniu z tym, czego doświadczyli mieszkańcy Imperium. Musimy to nareszcie zrozumieć i nie wolno nam o tym nie pamiętać. Zbrodnie komunizmu wobec Polski są nie do podważenia, tak jak wcześniej Wielkiej Rosji. Chciałabym jednak, aby przynajmniej ci, którzy byli uczestnikami konferencji w Leningradzie, zrozumieli że występowanie w roli jedynej ofiary jest po prostu śmieszne i nie do przyjęcia. Katyń, Starobielsk, Ostaszków, deportacje, łagry, więzienia domagają się oczywiście kary czy choćby zadośćuczynienia. Ale jeśli naprawdę chcemy być wysłuchani, jeśli chcemy by nas rozumiano, nie możemy ani przez chwilę zapomnieć, że to co stało się naszym udziałem było tylko częścią — naprawdę nie najgorszą — znacznie większej zbrodni".

23 lutego

Przed tygodniem list od Rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu z zawiadomieniem, że nadano mi tytuł doktora *honoris causa*. Uroczystość wręczenia doktoratu honorowego ma się odbyć w maju. Od wczoraj próbuję naszkicować tekst przemówienia dziękczynnego.

W istocie swojej ten wysoki honor jest jeszcze jednym dowodem — obok moich książek wydawanych obecnie w Polsce — że przestałem być pisarzem emigracyjnym. Uważałem zawsze podział naszej literatury na krajową i emigracyjną za nonsens; każdy egzemplarz książki napisanej na obczyźnie i przemyconej do Polski, wchodzącej w obieg czytelniczy w minimalnym choćby stopniu, obalał sztuczny schemat dwóch literatur. Podstawowym kryterium był naturalnie język, w jakim książka została napisana; dodatkowym kryterium jej odbiorca, który — obojętnie gdzie — brał ją do rąk. Istniała więc w najgorszych nawet czasach jedna literatura polska, w ojczyźnie i na obczy-

źnie, pierwsza w znacznej mierze zniewolona przez cenzurę, druga całkowicie wolna. Ale do niedawna prawomocne było określenie „pisarz emigracyjny". Do niedawna. Dziś wolno mnie i moim emigracyjnym kolegom po piórze powiedzieć o sobie: pisarz polski zamieszkały we Włoszech, we Francji, w Stanach, w Anglii, w Kanadzie. Pisarze zamieszkali poza granicami swych krajów rodzinnych albo bywają do tego zmuszani okolicznościami politycznymi, albo dokonują swobodnego czy względnie swobodnego wyboru. Na *Via Sistina* w Rzymie przyciąga wzrok, na frontonie jednej z kamienic, tablica oznajmiająca, że tu właśnie w ciągu czterech lat Gogol napisał *Martwe dusze*. Od pewnego czasu pojawiła się blisko niej tabliczka, upamiętniająca krótki pobyt Norwida w sąsiedniej kamienicy. Dwie różne tablice, dwie różne sytuacje pisarskie.

Gdy więc przestaję być pisarzem emigracyjnym, o czym zaświadcza między innymi dzisiejsza uroczystość, powinienem może podsumować zwięźle moje doświadczenia i obserwacje aż do chwili wielkiej zmiany.

Leży przede mną książeczka wydana w Rzymie w roku 1946, z okładką wzorowaną na pierwszym wydaniu z roku 1832. To *Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego* z moją przedmową. Wydawcą był rzymski Instytut Literacki, przeniesiony wkrótce do Paryża. Tu miejsce na dygresję, która jest czymś więcej niż dygresją. Twórcą Instytutu i redaktorem założonego niebawem miesięcznika *Kultura* wraz z jego książkową serią wydawniczą, a potem także kwartalnika *Zeszyty Historyczne*, był Jerzy Giedroyc. O roli jego powiem tylko tyle, że była ogromna, niespotykana w żadnej z innych znanych mi emigracji. To, że pisarze przebywający na obczyźnie, zarówno znani już przed wojną jak debiutanci powojenni, mogli się rozwijać, że nie żyli rozsypani i zabłąkani w emigracyjnej próżni, że mogli trwać przy swoim języku, było jego zasługą, powiedziałbym nawet jego dziełem. Dostojewski powiedział kiedyś: „Wyszliśmy wszyscy spod gogolowskiego *Płaszcza*". Miałbym ochotę sparafrazować: „Na emigracji przeszliśmy wszyscy przez giedroyciową *Kulturę*". Lista nazwisk jest imponująca: Miłosz, Gombrowicz, Wittlin, Wierzyński, Stempowski, Straszewicz, Jeleński, Bobkowski, Odojewski, Mackiewicz, Czapski, Haupt — a wymieniam przecież nazwiska pierwsze z brzegu, nie siląc się na pełne zestawienie.

Mickiewiczowskie *Księgi* były początkiem. Najważniejsza w nich była idea „pielgrzymowania dla wolności". Idea tkwiąca u podstaw wszystkich emigracji wszystkich czasów. Czy znalazła natychmiastowe zrozumienie w Polsce opanowanej przez komunistów? Boję się i unikam wszelkich uogólnień, ale raczej nie. W kraju o tak bogatych pod tym względem tradycjach komunistom udało się na jakiś czas narzucić obraz emigranta jako agenta,

zdrajcy, dezertera albo bankruta, z rosyjska „byłego człowieka", pogrzebanego za życia. Pisarzom grożono, że z dala od źródła skazani są na uschnięcie. Kiedy Miłosz wydał w Paryżu swój pierwszy tom wierszy, warszawski krytyk poetycki załamywał ręce nad jego „martwiejącym szybko językiem". Komunistyczny urodzaj na emigracyjne „żywe trupy" trwał do roku 1955.

W roku 1955 osiedliłem się w Neapolu. Moim pierwszym napisanym tam tekstem było długie opowiadanie *Książę Niezłomny*, które w latach 1988 i 1990 weszło do obu tomów moich opowiadań, ogłoszonych w Poznaniu przez wydawnictwo OO. Dominikanów *W drodze*. Unosiły się nad nim tercyny Dantego z XVII pieśni *Raju*:

Tu lascerai ogni cosa diletta...
Porzucisz każdą rzecz którą kochałeś
najbardziej; i to jest owa strzała
którą łuk wygnania pierwszą wypuszcza
Spróbujesz jak gorzki ma smak cudzy chleb
i jak ciężko jest schodzić i wchodzić po cudzych schodach.

Ale za tercynami Dantego narastało w *Księciu Niezłomnym* zjawisko, które i dla nas stawało się po roku 1956 coraz widoczniejsze: zjawisko przeciwstawienia emigracji zewnętrznej innego narzędzia walki, zwanego emigracją wewnętrzną; przeciwstawienia, które z biegiem czasu zamieniało się w mniej lub więcej zgodne współdziałanie. Mickiewiczowskie „pielgrzymowanie dla wolności" było zawołaniem, instynktownym odruchem, lecz nie wyczerpywało — rzecz jasna — całej skomplikowanej problematyki emigracji zewnętrznej w stosunku do kraju rodzinnego. W moim opowiadaniu poruszyłem problematykę włoskiej emigracji antyfaszystowskiej i oporu przeciw faszyzmowi — zresztą bardzo słabego — w samych Włoszech. Coś podobnego zapewne można było wykryć we wszystkich emigracyjnych grupach, od których zaroiło się w naszym stuleciu; najpierw pod obuchem niemiecko-włosko-hiszpańskim, potem w wyniku działania sowieckiego walca. Emigranci i byli emigranci znajdują szybko wspólny język: przyjaźniłem się z emigracyjnymi pisarzami włoskimi, hiszpańskimi, niemieckimi, rosyjskimi, czeskimi, estońskimi, ukraińskimi. Ten łatwo odnajdywany wspólny język nie oznacza jednak, że nie istnieją rozmaite spojrzenia pisarzy emigracyjnych na własne położenie i powołanie pisarskie.

Wśród polskich pisarzy emigracyjnych sporo było odcieni w spojrzeniu na własne położenie i powołanie. Najbardziej może emigracyjny — a równocześnie niestrudzony w poszukiwaniu i nawiązywaniu kontaktu z kolegami w Kraju — okazał się Paweł Hostowiec czyli Jerzy Stempowski; marzył nawet o ułożeniu an-

tologii pisarzy emigracyjnych wszystkich epok, od Owidiusza począwszy. Gorzkie żale emigracyjne — słynny „rękopis włożony do dziupli"! — pojawiały się u Miłosza; do czasu oczywiście. Józef Wittlin, z natury skłonny do postawy lamentacyjnej, w szkicu *Blaski i nędze wygnania* kazał nędzom górować nad nielicznymi blaskami. Optymistą był Gombrowicz. W odpowiedzi na jęki rumuńskiego pisarza emigracyjnego Ciorana, uosobienia Apokalipsy na użytek prywatny, pisał: „Zanurzenie się w świecie, jakim jest emigracja, powinno stanowić niesłychaną podnietę dla literatury... Utrata ojczyzny nie wtrąci w anarchię tylko tego, kto umie sięgnąć głębiej, poza ojczyznę, dla kogo ojczyzna jest tylko jednym z objawień wiecznego i uniwersalnego życia. Utrata ojczyzny nie zakłóci wewnętrznego porządku jedynie tych, których ojczyzną jest świat". Gombrowicz miał w zasadzie rację. Dziś widać wyraźnie jak literaturę polskę wzbogaciła twórczość pisarzy emigracyjnych. Można tylko dodać, że jeśli użyje się stworzonego przez Andrzeja Bobkowskiego określenia „Kosmo-Polak", to autor *Kosmosu* więcej chyba zawdzięczał jego drugiemu niż pierwszemu członowi. Ale był Polakiem w ciągłej polemice z uroszczeniami, manowcami i szaleństwami tzw. „polskości".

W roku 1961, dokładnie trzydzieści lat temu, Jerzy Stempowski zorganizował w *Kulturze* wielogłos o „kłopotach językowych" pisarzy emigracyjnych. Ten swoisty „sympozjon poliglotów" otworzył sam krótkim stwierdzeniem: „Piszę prawie wyłącznie po polsku". W sposób wzruszający zamknął swoje wyznanie Kot Jeleński: „Dlaczego pisarz-poliglota nie zawsze decyduje się na emigracji przestawić się ostatecznie na jeden język literacki? Zdarza się to czasami — i rezultaty są często doskonałe: angielski Pietrkiewicz, francuski Cioran czy Ionesco. W moim wypadku, krytyka czy publicysty, sprawa przedstawia się nieco inaczej. Najwięcej satysfakcji sprawia mi pisanie do *Kultury*, po prostu dlatego, że artykuły moje wywołują pewne echo wśród bardzo szczupłego zresztą grona moich przyjaciół... Czytelników francuskich mam może więcej, ale jestem dla nich jednym z tysiąca anonimowych skrybów".

Zakończę moje przemówienie fragmentem własnej wypowiedzi w sympozjonie Stempowskiego: „Pisarz da się przyrównać metaforycznie do rzeźbiarza: jeśli zdołał wywieźć ze swego kraju ojczystego blok surowca językowego, może w nim kuć z powodzeniem całe życie nawet na obczyźnie. Często oderwanie mu sprzyja: odnajduje wyczulonymi palcami w materiale własnego języka kształty i formy, do jakich nie dotarłby może nigdy żyjąc pod nieustannym naciskiem żywej mowy; dostrzega wyostrzonym wzrokiem i słyszy czujniejszym uchem barwę słów i kadencję zdań uchwytną, być może, jedynie w izolacji i ciszy. Reszta

jest sprawą wyobraźni, wrażliwości intelektualnej, inteligencji, obserwacji, rozmyślań, marzeń, poszukiwania stylu; czyli spraw tkwiących w samej literaturze, a nie w języku. Począwszy od ubiegłego roku muszę już o sobie mówić, że więcej lat życia zbiegło mi poza granicami kraju niż w kraju. A jednak przy pisaniu natrafiam tylko na trudności natury literackiej, na które kontakt z żywą mową kraju byłby zapewne niezbyt skutecznym lekarstwem. Od pięciu lat mieszkam w Neapolu, w oderwaniu nawet od większych skupisk polskich na emigracji. Po polsku rozmawiam przygodnie, zdarzają się niekiedy okresy, że ani mnie tu nikt z Polaków nie odwiedza, ani sam nie jeżdżę tam, gdzie mógłbym ich spotkać. Włoski jest pierwszym napotkanym przeze mnie w wędrówce po świecie językiem obcym do którego mam stosunek bardziej osobisty, oparty nie tylko na gładkiej i poprawnej znajomości, lecz także na pewnym głębszym wyczuciu. Jest to język posiadający dla mnie dużo, z każdym dniem więcej, uroków. Pisuję czasem drobne rzeczy do pism włoskich, i jak widzę nie wymagają one znacznych poprawek przed oddaniem do druku. A przecież pisząc dorywczo i dla zarobku po włosku mam takie uczucie, jakbym dotykał tego języka przez grubą rękawiczkę. Nie zaś, jak w wypadku własnego języka, bezpośrednio — cienką i unerwioną skórą na nagich dłoniach".

Mam nadzieję, że tę cienką i unerwioną skórę na nagiej dłoni zdołałem donieść do chwili, gdy przestałem być pisarzem emigracyjnym, a stałem się pisarzem polskim zamieszkałym w Neapolu.

3 marca

Kupiłem kiedyś, zwabiony nazwiskiem autora, powieść Mircea Eliade, wielkiego religioznawcy i historyka religii. Po włosku nazywała się *Stary człowiek i funkcjonariusz*, w oryginalnym tytule rumuńskim występowała jedna z bukareszteńskich (a może prowincjonalnych?) ulic. Przeczytałem ją szybko i ze smutkiem odłożyłem na półkę. Było oczywiste, że na odcinku narracyjnym talent Eliade błyszczał skromnym, przyćmionym światłem.

W wydaniu włoskim powieść poprzedzona jest fragmentem księgi rozmów francuskiego krytyka z rumuńskim uczonym. Mowa w nim właśnie o *Starym człowieku i funkcjonariuszu*. „Podsumujmy — powiada Francuz, — pod warstwą powieści mamy do czynienia z mitem, a pod mitem z pamięcią źródeł". „Zgadzam się — odpowiada Eliade, — dotknął pan istoty rzeczy". Zrozumiałem, że powieść (rozgrywająca się w stalinowskiej Rumunii) miała ilustrować jeden z aspektów ogromnej wiedzy

Eliade o mitach. Nie wyszło to, było nawet trochę żałosne. Powieść nie jest od „ilustrowania". Zabija ją, w podobnych wypadkach, założony z góry schemat.

Z wydanego w Bibliotece *Pulsu* dziennika Eliade dowiaduję się, że genialny (zdaniem znawców przedmiotu) uczony miał bzika na punkcie pisania powieści w przerwach działalności naukowej. Raz nawet przyznaje się do tego sam: „Muszę ukończyć moje *nieszczęsne* książki naukowe". Kiedy indziej wpada bezwiednie w śmieszność: „Spaltmann (mój tłumacz niemiecki) mówi, że powinienem poświęcić się od tej pory literaturze. Już wystarczająco długo zajmowałem się nauką. Po zbadaniu linii moich dłoni dorzuca: powinien się pan pospieszyć. Jeśli w najbliższych latach nie uda mi się powiązać utkanych w mojej podświadomości nici, narażam się na bezpowrotną utratę daru wyobraźni. Pozostanę trzeźwy, krytyczny, będę filozofem do końca życia".

Na szczęście, utracił bezpowrotnie dar wyobraźni powieściowej i pozostał filozofem do końca życia.

Jego dziennik w pierwszej części (plus minus trzeciej części całości) jest po prostu nudny. Włosi nazywają ten typ dziennika *diario di lavoro*. Z ciekawości przeglądałem takie dzienniki wybitnych osobistości we Włoszech, w nakładach ograniczonych do maksimum pięciuset egzemplarzy, przeznaczone wyłącznie dla badaczy i historyków, niestrawne dla zwykłych czytelników. „Zacząłem pisać", „piszę", „skończyłem pisać", „odrzuciłem propozycję" etc. etc. Jest dla mnie zagadką, dlaczego ta część dziennika Eliade miałaby zainteresować czytelnika polskiego.

No ale cierpliwość zostaje w pewnej chwili nagrodzona, zaczyna się religioznawczy dziennik Eliade, złożony nie tyle z codziennych zapisów, co z luźnych, datowanych notatek. Są niekiedy pasjonujące. Oto historyk, religioznawca, filozof, podróżnik, który ważność „sakralnego wymiaru życia" pojął wcześniej i głębiej od małpujących go dziś bezradnie miernot, skazanych przez naszą epokę albo na głupkowate ekstrawagancje „egzotyczne", albo na błąkanie się po świecie z białymi laskami.

Zafrapowała mnie szczególnie rozmowa Eliade z O. Teilhardem de Chardin. Eliade zapytał Teilharda, co dla niego oznacza nieśmiertelność duszy. Odpowiedź: wszystko co może być przekazane i *zakomunikowane* (miłość, kultura, polityka itd.) „nie przechodzi w zaświaty", lecz znika wraz ze śmiercią jednostki. Pozostaje jednak „nieredukowalne jądro", niemożliwe do przekazania. Nie można go wyrazić, zakomunikować innym. I właśnie to tajemnicze, nie poddające się żadnej redukcji jądro „przechodzi na drugą stronę", trwa nawet gdy ciało umiera.

Takim niezniszczalnym, nieśmiertelnym „twardym jądrem" istoty ludzkiej zajmował się Kafka w całej swojej twórczości.

Wiedział, że nie może go zakomunikować innym. Krążył wokół niego bezustannie, pamiętając że jest nienazywalne. Nie ośmielał się go zresztą nazwać, skoro nie wzywa się nadaremnie świętego imienia.

Eliade cytuje uwagę Simone Weil: „Jest w nas chaos. Tacy się rodzimy. Uporządkować ten chaos to zniszczyć w nas stworzenie". I nie ukrywa swego „zdumienia", znajdując w nowoczesnym autentycznym doświadczeniu religijnym „archaiczny wzór": powrót do pierwotnej pełni w „przejściu od stworzonego do przedstworzonego".

Dzięki Tomlinowi, autorowi książki o Simone Weil, Eliade odkrywa okoliczności jej śmierci: w rzeczywistości popełniła samobójstwo, zagłodziła się na śmierć, postanowiła bowiem odżywiać się w sanatorium w Ashford wyłącznie według norm żywnościowych, ustanowionych w okupowanej Francji. Tomlin wolał o tym nie pisać w swojej książce („nie miał odwagi", powiada Eliade).

4 marca

Musiałem przerwać wczorajszy zapis.

O samobójstwie Simone Weil „ma odwagę" pisać profesor David McLellan w wydanej świeżo książce *Utopian Pessimist*, którą powinienem lada dzień dostać. Lokalna gazeta w Ashford skwitowała śmierć Simone Weil artykułem zatytułowanym *Dziwna ofiara francuskiej nauczycielki*.

Nie mając jeszcze książki McLellana, opieram się na obszernym o niej artykule doskonałego pisarza angielskiego Anthony Burgessa. Cały szereg nieznanych mi dotąd szczegółów. Jan XXIII podziwiał Simone Weil, ale szanował jej pragnienie „pozostania na progu Kościoła". Paweł VI włączył ją do trójcy, która miała przemożny wpływ na jego sposób myślenia: Pascal, Bernanos, Simone Weil.

Była mistyczką, w przeciwieństwie do mistyków jednak nie oderwała się nigdy od rzeczywistości. Odrzucała nadawany jej często przydomek „świętej", miała natomiast swój ideał świętości: był nim arabski Lawrence, autor *Seven Pillars of Wisdom*. Doświadczenie robotnicy w trzech fabrykach, źródło książki *Dola robotnicza*, naznaczyło ją na zawsze (jak sama wyznała) „piętnem niewolnictwa". Ukończyła *Ecole Normale* z siódmą lokatą (Sartre z pierwszą, Lévi-Strauss z trzecią), ale odmówiono jej posady nauczycielki w liceum ze względu na pochodzenie żydowskie. W związku z tym napisała list do Ministra Oświaty, na który nie otrzymała nigdy odpowiedzi. Tu wkraczamy w teren *Douce France*, odsłanianej niekiedy przelotnie przez Bobkowskie-

go w *Szkicach piórkiem*, obnażonej całkowicie w książkach i filmach o Vichy.

10 marca

Tzvetan Todorov, znany krytyk i eseista francuski pochodzenia bułgarskiego, przysłał mi swoją nową książkę *Face à l'Extrême* z czułą dedykacją. Nie znam go osobiście, więc bardzo mnie ta dedykacja zdziwiła. Okazało się, że książka jest bardzo dobrym, sumiennym i wnikliwym, podsumowaniem epoki niemiecko-sowieckiego „wszechświata koncentracyjnego" (Todorov posługuje się określeniem „obozy totalitarne"); i że wśród wielu analizowanych w niej świadectw znaczną rolę odgrywa mój *Inny Świat*.

Musiało przyjść takie podsumowanie, czekałem na nie od dawna. Szczęśliwie się złożyło, że pierwszy wystąpił z nim człowiek o inteligencji, wrażliwości i erudycji Todorova. Podziwiam jego umiejętność syntezy, ale wysnute przez niego „lekcje przyszłości" nie we wszystkim trafiają mi do przekonania.

Todorov słusznie podkreśla „wzrost zła" w XX wieku, nieporównywalny z ubiegłymi stuleciami. Osiągnęliśmy absolutne apogeum, kto wierzy w diabły miałby prawo wyobrażać sobie jak zacierają kosmate łapy z zadowoleniem. Słusznie też w książce zatytułowanej *W obliczu sytuacji krańcowych* mowa o dwóch głównych przyczynach „wzrostu zła": o fragmentaryzacji świata i depersonalizacji stosunków ludzkich. Ponieważ zaś rozwój „mentalności technologicznej" jest niepowstrzymany, wolno (a nawet należy) zastanawiać się, czy fala „wzrostu zła" zostawiła, odpłynąwszy chwilowo, diaboliczne nasiona które w sprzyjających okolicznościach mogą szybko zakiełkować i przygotować grunt dla nowej dżungli, czy też upadek hitleryzmu i komunizmu pozwala nam z względną ufnością patrzeć w przyszłość. Pogląd pierwszy reprezentuje Hanna Arendt, autorka „raportu o banalności zła" (proces Eichmanna). Todorov w swoich „lekcjach przeszłości" używa polemicznie zwrotu „banalność dobra", pokazując jak w „totalitarnych obozach" nie wszystkie szlachetne odruchy ludzkie zostały zniszczone. Jest zatem w jakiejś mierze optymistą w duchu Rousseau i jego zdania o „uczłowieczeniu bestii ludzkiej poprzez uczucie litości" (także Dostojewski wykrzyknął „nie można żyć bez litości!"). Powołuje się tu zresztą na moją uwagę w *Innym Świecie*, że nie powinno się osądzać postępków człowieka popełnionych w warunkach nieludzkich. Jestem jednak, nie zamykając bynajmniej oczu na światełka w ciemnościach „obozów totalitarnych", po stronie Hanny Arendt. Moje własne doświadczenia pozwalają mi mieć nadzieję

w ciągłej walce o siebie, nie pozwalają mi natomiast wykrztusić nuty optymizmu (a to nie jest to samo). Banalność zła jest i będzie prawdopodobnie większa od banalności dobra.

Pisząc o obozach sowieckich, Todorov zbyt mało miejsca poświęca Szałamowowi, jakkolwiek przytacza jego zdanie o tym, że „obozy były wielkim egzaminem sił moralnych, którego nie zdało dziewięćdziesiąt dziewięć procent więźniów" (pomija niestety drugą część zdania Szałamowa, że znakomitą większość w tym jednym procencie stanowili ludzie wierzący). Tymczasem lektura *W obliczu sytuacji krańcowych* przekonała mnie, że Szałamow (a nie Sołżenicyn) po stronie sowieckiej, Primo Levi (a nie Borowski) po stronie hitlerowskiej, wiedzieli najwięcej o „obozach totalitarnych". Szałamow umarł w „internacie dla psychochroników", przeniesiony tam z domu starców-inwalidów. Primo Levi popełnił kilka lat temu samobójstwo. W *Rozbitkach*, swojej ostatniej książce, pisał: „Ocean bólu, dawnego i obecnego, otaczał nas, jego poziom podnosił się z roku na rok, aż do pochłonięcia nas prawie". Prawie...

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Ucieczka przed Polską

Stanisław Bieniasz jest pisarzem mało znanym czytelnikom. Można tego żałować, gdyż Bieniasz — autor wielu opowiadań, z których część została wydana w Polskiej Fundacji Kulturalnej w zbiorze „Ostry dyżur", a inne czekają na publikacje książkowe; dramatopisarz, a także publicysta, między innymi współpracownik *Kultury*, Deutschlandfunk i Wolnej Europy — jest jedną z najciekawszych osobowości najnowszej polskiej literatury. Pojęcie osobowość wydaje się szczególnie dobrze przylegać do Bieniasza, który od razu, niemalże w pierwszych swoich utworach ujawnił, że wybór profesji pisarskiej nie jest w jego przypadku aktem marginalnym, że traktuje siebie i swoją twórczość serio, że stoi za nim jednolity, zwarty świat przemyśleń, obyczaju, odrębności historycznej i społecznej. Stoi za nim Śląsk.

Bieniasz jest pisarzem Śląska, tam mieści się jego mała ojczyzna, stamtąd wywodzą się pierwsze kategorie poznania, styl odczuwania rzeczywistości, normy moralne, rodzaj widzenia miejsca człowieka pośród innych ludzi, w strukturze państwowej czy wyznaniowej. Śląskie podglebie nadaje twórczości Bieniasza wyrazistość, broni ją przed częstą w powojennej polskiej prozie pokusą udawania innej niż jest; przed nieautentycznością i mimikrą, które oznaczają przybieranie nieustannych barw ochronnych. Z tego bierze się to, że tak wielu krajowych pisarzy ma wszystko za złe sobie i innym. Szukają dla siebie potwierdzenia poza polskimi czytelnikami, a najdrobniejszy sukces zagraniczny jest w ich oczach wyrazem artystycznego spełnienia. Bieniasz nie potrzebuje leczyć swoich kompleksów polskiego pisarza i uciekać od poczucia niższości, gdyż wyrósł w cywilizacji dojrzałej, w kulturze zdolnej do obrony własnych racji i swego miejsca.

Śląsk jest ostatnią już chyba częścią Polski, która zachowała naturalne i nieprzymuszone związki z Europą. Wpływy kultury niemieckiej i graniczny charakter tej ziemi zahartowały jej mieszkańców, wyodrębiły gatunkowo i pozwoliły na swobodę w obcowaniu z tym, co odrębne, obce, a nawet wrogie. Co prawda odmiennie wygląda sytuacja w różnych częściach Śląska, co jest skutkiem dramatycznych powikłań w przeszłości, która dość wyraźnie oddzieliła Opolszczyznę od Górnego Śląska, a ten z kolei od dolnośląskiej oazy kulturalnej. Generalnie jednak wszyscy śląscy autochtoni stawali przed podobnymi problemami, które należało rozwiązać, chociażby po to, żeby przetrwać w obliczu zagrożeń ze wszystkich stron. Nie mogli uciec przed swoim losem, miejscem historycznym i musieli podjąć wyzwanie z zewnątrz. Reagowali na to różnorako, zależnie od stopnia uwrażliwienia na niezależność i odrębność swojej śląskiej tradycji. Najdoskonalszym przejawem rozumienia Śląska w historii Polski i Niemiec stawała się wtedy dojrzałość duchowa tutejszych elit. Nie były one liczne, ale potrafiły zachować poczucie wolności, które opiera się na zdolności do wyboru i nie uciekały od prawdy o sobie. Może z tego wyrosło tak powszechne na Śląsku — nie tylko u elit — odrzucanie kłamstw i ideologicznych iluzji. Dlatego też Ślązakom trudno było żyć w powojennej Polsce komunistycznej, która w całości została stworzona na fałszu i gdzie kłamstwo urosło do rangi zasady państwowej. Co zresztą daje o sobie znać również teraz, kiedy nie trzeba już kłamać, a mimo to w kraju rządzi w najlepszym przypadku półprawda, a sztuka iluzji, przemilczeń, pozoru zniszczyła do szczętu etos solidarnościowy.

Śląskowi było trudno w Polsce i w gruncie rzeczy Polska nie chciała dla siebie Śląska. Przyjęła go jak dar Danaów, szatański prezent od Stalina. Do ostatniego czasu polska opinia nie znalazła zadowalającej formuły współżycia ze Śląskiem, nie wie co z nim zrobić, miotając się od powoływania się na mityczną wspólnotę historyczną (mityczną w kontekście dużo bliższych związków śląskich z Niemcami i niemiecką historią) aż po odrzucenie i traktowanie tych terenów jako kraju okupowanego. W istocie, jeśli pominiemy propagandowy frazes, to Śląsk — tak naprawdę — jest nieobecny w polskim myśleniu. Zainteresowanie, jakie uwidacznia się od czasu do czasu wśród krajowych elit dla śląskich problemów, wynika z motywów politycznych. Niegdyś jako wyraz idei antyniemieckich, przywiązywanie wagi do Śląska miało na celu osłabienie ekspansji Niemiec na wschód, po wojnie nabrało cech rewanżu historycznego i politycznego, a ostatnio śląska ziemia stała się rodzajem bramy, przez którą powinien wejść w szerszym stopniu do Polski kapitał niemiecki. A poza tym Śląska nie ma nigdzie. Jest jedynie pogarda do niego i jego mieszkańców.

Pogarda pozostała po czasach stalinowskiego terroru, który doświadczył śląską wspólnotę boleśniej niż kiedykolwiek przed-

tem reżymy, systemy i państwa, które panowały na tym terenie. Dzisiaj ta pogarda rozciąga się na wszystko: na ludzi, ich język, obyczaj i kulturę, formy życia społecznego, a nawet rodzaj religijności. To dlatego pomiędzy Polską a Śląskiem rozciąga się granica, która z biegiem lat jest coraz mniej przepuszczalna. Polskę od Śląska dzieli coraz więcej uprzedzeń. Pokonać je może uznanie dla śląskich wartości i przyznanie Śląskowi odrębnego miejsca w ramach struktur politycznych i społecznych Polski. Kto wie, czy nie czas na radykalne rozwiązania, które uleczą śląski kompleks i przeciwstawią się powolnemu unicestwianiu tej ziemi? Jednym z takich pomysłów jest autonomia dla Śląska.

Same zewnętrzne reformy niewiele jednak pomogą, gdy Polska na dobre odwróci się od Śląska i nie zechce znów zasłużyć na miłość Ślązaków. Miłość i przywiązanie, które kiedyś popychały tutejszych ludzi do walki o zachowanie polskości, polskiego języka, polskiej kultury, polskiego — przynajmniej w części — Śląska. Cios zadał temu komunizm, chociaż i II Rzeczpospolita miała na swoim sumieniu w tej materii sporo grzechów. Dzisiaj odwrócenie złej przeszłości, wyrównanie narosłych krzywd wymaga wielkiej pracy. Jej rezultaty są niepewne, dopóki Polacy nie spojrzą krytycznie na własną historię i nie rozszerzą ciasnej formuły polskości, w której Polskę określają jedynie naród i wyznanie. Nie chodzi tylko o syndrom Polaka-katolika. Równie ważne jest wyrugowanie ze świadomości społecznej lęku przed wszelką innością, odmiennymi zachowaniami, kulturą i obyczajem, które budzą strach, a podważając przekonania o sobie i mityczny obraz Polski potęgują agresję wobec obcych. Także i wobec Śląska, który wciąż pozostaje odrębny, cudzy.

W takiej pracy nad poszerzeniem polskości, obszaru polskiej kultury specjalne zadanie przypada w udziale literaturze, tej tworzonej na Śląsku i tej o Śląsku. Dla ostatecznego kształtu nowej wersji polskiej kultury mniej ważne jest za to, skąd płyną impulsy, które podważają samozadowolenie i uroszczenia do przewagi nad innymi. Znamienna dla Śląska podwójna tożsamość polsko-niemiecka może odegrać wielką rolę i przywrócić Polsce jej dawne znaczenie, które opierało się na wielości, synkretyzmie kultur, różnorodności. Zaryzykuję tezę, że język polski i niemiecki winny zostać równouprawnione na terytorium Śląska. Ale język jest tylko środkiem przekazu treści. Liczą się one. I nade wszystko wartości, jakie za pomocą językowego przekazu trafiają do społeczeństwa. Dopiero w imię tych wartości można odbudować porozumienie polsko-śląskie.

Stanisław Bieniasz jest w takiej perspektywie — przypominając znane określenie Irzykowskiego — budowniczym mostów.

Jego twórczość literacka otwiera drogę porozumienia i dialogu, bo otwiera na Śląsk. Pokazuje tutejszych ludzi, ich postawy, ich walkę o własną prawdę, ich codzienny etos, któremu tyle uszczerbku zadał totalitarny system: najpierw hitlerowski, a potem komunistyczny. Śląsk przeszedł piekło i o tym piekle traktuje pisarstwo Bieniasza. W najlepszych swoich utworach przekazuje nam śląski pisarz niemalże dantejskie przerażenie krzywdą, niesprawiedliwością, pogardą jednych dla drugich, złem. I zarazem jego dzieło literackie jest poszukiwaniem drogi ku oczyszczeniu, w stronę wolności, która wybawi od wszelkich zniewoleń. Z tego się bierze charakterystyczny dla pisarstwa Bieniasza motyw wiecznej ucieczki w nadziei odnalezienia prawdy i absolucji za winy swoje i cudze. Kłopot w tym, że najczęściej nie ma dokąd uciec, że droga prowadzi donikąd, a piekielne kręgi, jakie oplatają Śląsk, są trudniejsze do sforsowania od tych, po jakich wędrował florentyński poeta...

Bieniasz szuka wyjścia dla swego Śląska, mitycznego i prawdziwego zarazem, który pod jego piórem urasta do archetypu ziemi przeklętej, odrzuconej przez Boga. I dobrze wie, że w tym celu trzeba sięgnąć wyżej, poza ramy tej małej śląskiej ojczyzny, tej *Heimat*, z której pisarz nigdy i nigdzie nie wyjechał, chociaż w rzeczywistości od dziesięciu lat mieszka w Niemczech. Śląsk jest częścią sprawy ogólnej i dlatego Bieniaszowy głos brzmi wyraziściej niż wymagają tego wymogi śląskiej egzotyki, bo chce wyczulić słuchacza na racje uniwersalne, bez których nie da się zrozumieć losu tej małej ziemi. Książki Bieniasza dotykają skomplikowania polskiej historii, a tak naprawdę to również i przyczyn destrukcji form europejskiej kultury i sposobu życia w dwudziestym wieku.

Bieniasz nieustannie podejmuje wielki temat zdradzonej i zdradzającej Europy, który sprowadza do konkretnego pytania o miejsce człowieka w historii. Miejsce w niej Śląska. Historyczne kategorie są dla pisarza zagrożeniem, gdyż łatwo w ich ramach cynicznie uzasadnić niesprawiedliwość, zbrodnię. Dlatego wzorem innych, którzy w podobny sposób bronili praw małych ojczyzn, przeciwstawia los pojedynczy temu, co ogólne, a prawdę indywidualnej biografii kłamstwu wszelkich utopijnych całości. Zarówno tych czarnych, brunatnych, czerwonych jak i każdych innych, nawet takich, które wyrosły na gruncie usprawiedliwionej walki o prawa etniczne, narodowe czy o wolność religii, gdyż zbyt łatwo przeradzają się w swoje przeciwieństwo i przyznają sobie monopol racji. Pisarstwo Bieniasza kontynuuje krytyczną linię europejskiej literatury, której głośnym przedstawicielem był w latach pięćdziesiątych Albert Camus. Demaskowanie iluzji, odrzucanie prostych recept prowadzi bohaterów twórczości Bieniasza do sceptycyzmu. Nie ufają nikomu i niczemu i uciekają

przed wszystkim, co może zagrozić ich wolności. Najczęściej zresztą ucieczka jest bez sensu i ociera się o absurd. Z niego nie ma wyjścia, jedynie w śmierć. Takiego wyboru dokonał Ryszard Szyma, uciekający bohater wydanej ostatnio w warszawskim „Czytelniku" powieści Stanisława Bieniasza „Ucieczka"*.

Za wcześnie jest przesądzać o walorach tej prozy, gdyż zweryfikują je czytelnicy. Nie ulega jednak wątpliwości, że po raz pierwszy pojawiła się na krajowym rynku literackim udana powieść o stanie wojennym. Bieniasz, który już wtedy żył poza krajem, co potwierdza znaczenie dystansu artysty wobec przedmiotu jego sztuki, trafnie odczytał podstawowe figury operetkowego polskiego *coup d'état* w wykonaniu generała Jaruzelskiego. Sprowadzony na grunt realiów śląskiego miasteczka, mechanizm groźnego puczu, który z perspektywy Warszawy i pod piórem usłużnych kronikarzy (również zachodnich) miał przynosić polskie rozwiązanie społecznych problemów i bronić narodu przed agresją z zewnątrz (interwencją sowiecką?), w warunkach prowincji był tyleż śmieszny, co groźny. Był groźny, gdyż ginęli ludzie, na Śląsku liczniej niż gdziekolwiek indziej, i śmieszny, gdyż ujawnił całą pokraczność systemu, jego ledwo maskowane hipokryzją lokalnych władz tchórzostwo cywilne oraz ideową apatię. Liczyły się pozorne gesty, słowny frazes, pocieszanie się formą, z której dawno wyciekło życie. Opisywane przez Bieniasza miasto jest martwe, gdyż zostało zarażone przez śmierć oficjalnej ideologii, zarazkami systemu w stanie rozkładu. Stan wojenny jest ostatnią fazą destrukcji komunistycznego państwa. Jego grabarzem okazuje się dowódca armii i pierwszy sekretarz partii Jaruzelski, który swoją operacją wojskowo-policyjną chciał odsłonić ukryte symbole komunizmu. W mieście, gdzie toczy się akcja „Ucieczki" (górnośląskie Zabrze) zamiast dawnych symboli ujawniły się atrapy. Może dlatego, że i tak mało kto wierzył tutaj w nieefektywny, oparty na fikcji ustrój, niemożliwy do porównania z tym, co Ślązacy znali dobrze: z rzeczywistością Niemiec Zachodnich.

Na prostym pokazaniu bezsensu systemu w jego pogrudniowym wcieleniu — za Kazimierzem Brandysem można go nazwać „nierzeczywistością" — opiera się uniwersalizm powieści Bieniasza. Zamknięty świat Zabrza i jego okolic odgrywa w „Ucieczce" rolę strukturalnie podobną do hrabstwa Yoknapatahwa u Faulknera czy Skotoprigoniewska u Dostojewskiego. Tym, których mogą razić podobne porównania, poddaję myśl, że nie chodzi o odpowiednio wysokie usytuowanie Bieniasza w hierarchii literackiej, czy odnalezienie dla niego pisarskich antenatów, lecz o uwyraźnienie funkcjonalnej zwartości i siły paraboli

* Stanisław Bieniasz: *Ucieczka*. Czytelnik, Warszawa 1991, s. 251.

powieściowej. Jej konstrukcja jest prosta i przejrzysta. Z jednej strony pisarz przekazał precyzyjny obraz zachowań, myśli, namiętności kilkorga bohaterów „Ucieczki", poprzez który można dostrzec jak w zwierciadle poddany niszczeniu, wynaturzony mikroświat polskiej prowincji, śląskie miasto stanu wojennego. Niedalekie od prawdy będzie stwierdzenie, że pogrudniowa rzeczywistość nakłada się w powieści Bieniasza na koszmar dziesiątków lat wcześniejszych, kiedy to przez Śląsk przetoczył się walec zniszczenia i deprawacji. Stan wyjątkowy był tu codziennym prawem komunizmu i miał na celu przerwanie tkanki społecznej śląskiego regionu. Degradacja obyczaju, moralności, pracy odkładała się przez długi czas, żeby wreszcie wybuchnąć w powszechnych chorobach sowietyzowanego człowieka: alkoholizmie i frustracji. Z tego rodziła się mieszanka agresji i niemocy. Wróg był nierozpoznany albo odległy, nie dawało się go dosięgnąć. Bezsilność prowadziła do samozniszczenia. Społeczeństwa komunistyczne kończyły samobójczym pijaństwem. Genialnym tego potwierdzeniem jest poemat wręcz metafizyczny w swojej przenikliwości socjalnych i etycznych źródeł komunizmu: „Moskwa — Pietuszki" niedawno zmarłego Wieniedikta Jerofiejewa. Realizm „Ucieczki" Bieniasza jest podobnego rodzaju.

W powieści tej mamy do czynienia ze świadomym przeniesieniem sytuacji w wymiar uniwersalny. Pijackie wędrówki odkrywają metody zniewalania ludzi, nędzę struktur oficjalnych i zbudowany na antynomii wobec dobra świat komunistycznego kłamstwa. Halucynacje, którym podlega co pewien czas bohater, zbliżają go do prawdy o sobie i otaczającej rzeczywistości. Pod pozornie solidnymi fundamentami uregulowanego życia, śląskiego zaakceptowania przymusowego systemu, mieszczańskich form, chlupocze bagno, które wciąga wszystko i każdego po kolei. Nie ma przed nim ratunku. Toteż parabola Bieniasza jest jeszcze jedną powieścią o docieraniu do strefy cienia, o wchodzeniu w mrok, w conradowskie „jądro ciemności", z którego nie ma wyjścia. Ale na szczęście dla pisarza „Ucieczka" nie powiela ambitnych wzorców w sposób bezkrytyczny. Bieniasz zatrzymuje się na progu jednej tylko formuły literackiej i unika zbyt oczywistego przypisania do modnych poetyk współczesnych. Sygnalizuje swoje powinowactwa z prozą absurdu egzystencjalnego czy politycznego i jednocześnie nie łamie modelu powieści obyczajowej. Najważniejszą wartością książki jest swoista zgoda narratora na tradycyjną rolę tego, który wie lepiej. Kryje się za tym rodzaj uniku, gdyż w gruncie rzeczy narrator „Ucieczki" nie sięga dalej niż bohater (Ryszard Szyma) w którego imieniu prowadzi opowieść. Także w tym widać zrównoważenie wszystkich elementów struktury powieści Bieniasza. Taką równowagę

można uznać za umiejętność przydania miary rzeczom, ludziom i zdarzeniom.

„Ucieczka" jest dzięki temu powieścią o wielu warstwach, które nakładają się na siebie i w efekcie dają jednolitą materię artystyczną. Trudno w niej wydzielić poszczególne układy elementów, gdyż każde takie odczytanie grozi zubożeniem. I zarazem różne, nawet sprzeczne ze sobą interpretacje są w zupełności uprawnione.

Dla jednych będzie to opowieść o alkoholiku, który po raz kolejny wpada w sidła swojej choroby i rezygnuje z okruchów życia, jakie dotąd udawało mu się ocalić spod nawrotów pijaństwa; rezygnuje z resztek małżeństwa, z przyzwoitości wobec innych. Rzuca wszystko, co go łączyło ze światem, z rodziną, normami moralnymi i idzie w tzw. polski cug, w ostatni już trans alkoholowy. Ginie w jego trakcie, ale nie od nadmiaru wódki, tylko od przypadkowej kuli milicyjnego patrolu.

Odczytywany w taki sposób realizm „Ucieczki" jest drastyczny. Powieść dotyka wstydliwego kształtu polskości, którą od lat naznacza pijaństwo. Zarazem Bieniasz przesyca swoją prozę realiami, rzetelnie opisuje polskie formy życia, polską prowincję, wreszcie Śląsk i sprawia, że „Ucieczka" wyrasta w wielką alegorię.

W jej ramach powieść realistyczna staje się przypowieścią o niemożności, o uwikłaniu społecznym i politycznym, o więzach, co zamykają człowieka, odbierają wolność i niszczą nadzieję. Powieściowe miasto, Zabrze, przypomina wtedy camusowski Oran z „Dżumy". Realne, a zarazem zmitologizowane; prawdziwe, ale i poddane kreacyjnemu wyostrzeniu konturów, przetworzone w sztuce literackiej. Poprzez to pisarz może oddać prawdę o ludziach i o świecie w głębszy, prawdziwy sposób.

Bohater powieści Bieniasza ucieka przed sobą, przed innymi, przed życiem społecznym, przed polityką i zarazem cały czas jest w oku cyklonu. Nie może i nie umie się wyrwać, rzucany siłą żywiołu i poddany okolicznościom zewnętrznym. Jego niezdolność do przeciwstawienia się rzeczywistości jest skutkiem braku oparcia w wartościach. Zabrała mu je wódka, ale w takim samym stopniu zniszczony został przez system, który przekreślił dawny świat, tradycyjne normy. W ich miejsce nie ma niczego. Pozostała pustka, w której nie da się żyć. Toteż co chwila naokoło bohatera „Ucieczki" znikają fragmenty rzeczywistości. Ginie miasto, odpadają w liszajach stare domy, zapadają się wyrobiska kopalniane, popełniają samobójstwo przyjaciele, wyjeżdżają znajomi. Jedni naprawdę, inni tylko symbolicznie popełniają moralne *auto da fé*, zatracając siebie, swoją osobowość, swoje życie. Ginie też i Szyma. Jego śmierć jest po części z własnego wyboru. W gruncie rzeczy wybrali jednak za niego —

także i ten ostatni moment — inni.

„Ucieczka" Bieniasza jest bowiem powieścią — tym razem już na wszystkich planach interpretacji — o niewoli, o tym współczesnym rodzaju okupacji, jakim był i gdzieniegdzie wciąż pozostaje komunizm. Z tego się bierze jej sens polityczny. Jednocześnie wyraża ona metafizyczne tęsknoty za prawdą, światem dobra, wybaczeniem. Zarówno jej polityczna jak i metafizyczna strona są próbą zakwestionowania ideologii. Odrzuceniem utopii w imię niepełności. Takiej, w jakiej żyje człowiek, rzucony w świat, który nie zna swego początku ani końca.

„Ucieczka" łączy w sobie wiele różnych warstw, co pozwala oświetlić jej sens z różnorodnych perspektyw. Jest wielowymiarowa, gdyż oglądany świat powieściowy nie podlega prawom jednego tylko kodu interpretacyjnego. Wszystko jest tak, jak zostało pokazane, ale i mogło potoczyć się inaczej. Nie ma miejsca na determinizm, chociaż fatalistyczne sprzężenie czynników społecznych, politycznych i biograficznych popchnęło bohatera w kierunku śmierci. Zapewne w takiej rzeczywistości trudno się ostać czystym, ale czy jest to możliwe? Bieniasz nie odpowiada na takie pytania. Dla jego Szymy nie ma wyjścia, chociaż o mało co nie znalazł szansy. W każdym razie zginął po właściwej stronie. To dużo w świecie, gdzie śmierć bywa ważniejsza od życia. I mniej ważne, że zginął głupio.

Dlatego niektórzy z czytelników powiedzą po przeczytaniu książki Bieniasza: nie trzeba było tyle pić. I wcale taka interpretacja nie będzie zbytnio naiwna. Rzeczywiście niepotrzebnie tyle pił Ryszard Szyma, aż przepił swoje życie. Mógł wybrać inaczej swój los, swoją przyszłość, swoją śmierć.

Czy naprawdę mógł? Czy też może za niego wybrali inni? Ci, którzy zgotowali taki właśnie los Polsce i taki los Śląskowi. Ludzie odpowiedzialni za zło polityczne i społeczne czterdziestolecia, którzy pomagali w odebraniu wolności narodowi, a potem wprowadzili stan wojenny, żeby dalej utrzymać swoją władzę. Nie wahali się przed niczym: zmuszali do kłamstw, wciągali w milicyjne sieci, niszczyli każdą niezależność, a w końcu gotowi byli strzelać. Szyma ucieka przed nimi. Za długo jednak żył w systemie, żeby zachować polityczną i moralną nienawiść. W ostatecznym sensie ucieka również przed sobą. Boi się siebie, gdyż nie ma szans. Stracił ja razem ze swoją małą ojczyzną: Śląskiem. Przeciw niemu są wszyscy. A stare formy, dawny obyczaj, normy moralne są za słabe, żeby powstrzymać presję ideologii, która niszczy świat Szymy. Śląska tradycja nie wystarczy bohaterowi „Ucieczki". Jej czas minął już bezpowrotnie.

Dlatego bohater powieści Stanisława Bieniasza ginie jak Maciek Chełmicki z „Popiołu i diamentu" Jerzego Andrzejew-

skiego na śmietniku, trafiony przypadkową kulą, bez sensu. Jego życie kończy się absurdalnie w sposób podobny temu jak żył on i jak żyli inni. Ale zarazem śmierć, dziwna i niepotrzebna, pozwala uciec Szymie przed stanem wojennym, pokusą pracy w milicji, upokorzeniami dnia codziennego. Przynosi wyzwolenie i otwiera zamkniętą drogę. Pozwala stanąć w ostatniej chwili życia po właściwej stronie. Szyma ginie jak ten, który stawiał opór i pozostaje człowiekiem. Zwyciężył w nim Śląsk.

W powieści Bieniasza wiele jest elementów, które wskazują na śląską proweniencję autora. Można je traktować jak rodzaj hołdu złożonego tej ziemi przez pisarza, gdyż w niej odnalazł prawdę o człowieku i historii. Odnalazł i poszedł dalej, bowiem Bieniasz wymyka się jednoznacznym formułom i nie poddaje w swoim pisarstwie łatwym próbom zaklasyfikowań. Ucieka przed przyporządkowaniem. Zarazem jednego nie zapomina i nie pozwala na podważenie, gdyż ta jednoznaczność zapewnia mu pisarską równowagę: miłości do śląskiej ziemi, do ojczyzny, z której wyszedł przed laty. Z niej czerpie ten rodzaj energii artystycznej, w którym nie ma miejsca na marnowanie czegokolwiek.

„Wózek pełny był żelastwa: kolanek od pieców, błotników rowerowych, jakichś wygiętych prętów i sprężyn z ram łóżek. Stary ciągnął z wysiłkiem, powoli jak wół. Ryszard aż przystanął, tak bardzo mężczyzna był podobny do dziadka Maksymiliana, który tak samo woził złom na Zabrze, do zbiornicy, przy ulicy Lompy. Dziadek nie musiał tego robić, dostawał emeryturę, która od biedy wystarczała na życie, lecz nie mógł znieść myśli, że cokolwiek mogłoby się zmarnować".

W pisarstwie Stanisława Bieniasza można rozpoznać ten kształt wysiłku, w którym chodzi o zachowanie wszystkiego, co było, a co niezapisane mogłoby się zmarnować. Jest ono ocaleniem prawdy o nas wszystkich. O Śląsku, ale także i o Polsce. Jego bohaterowie uciekają przed polską rzeczywistością, w końcu jednak dokonują wyboru za Polską. Tyle, że marzą o Polsce innej, otwartej, demokratycznej, która nie będzie marnować wysiłku ludzi i da szanse małym ojczyznom. I w której nikt nie będzie się czuł intruzem.

Marek ZIELIŃSKI

Obserwatorium

Bóg tak chce

Motto: Czym zajmuje się etyka?

„Należy przyjąć jako zasadę, że byt ludzki, który może i powinien być ochrzczony, istnieje od chwili poczęcia. Formalny sprzeciw rodziców niweczy ten obowiązek, ale nie znosi prawa dziecka od ochrzczenia.

Sytuacje szczegółowe powstają w przypadkach różnego typu patologii okołoporodowej. W przypadkach porodów niewczesnych, nie rokujących noworodkowi przeżycia, można chrzcić już wówczas, gdy polewany lub nacięty worek płodowy pozwala wodzie dotknąć ciała dziecka. Przyjmuje się nawet możliwość ochrzczenia w czasie porodu przez wstrzyknięcie sterylnej wody destylowanej do pęcherza płodowego. Gdy tego wstrzyknięcia dokonuje się przez powłoki brzuszne, wówczas mówi się o chrzcie wewnątrzmacicznym. Tego typu chrzest może być zastosowany, gdy nie ma pewności co do życia dziecka, a nawet rozpoznaje się jego śmierć. Gdy w czasie porodu zagraża dziecku śmierć, można dokonać tak zwanego „chrztu ułomnego" chrzcząc pępowinę.

Szczególne wątpliwości powstają w przypadkach płodów obarczonych wadami rozwojowymi — chodzi o to, czy mamy do czynienia z tworem wadowym nie mającym charakteru ludzkiego czy z istotą ludzką. W takim przypadku chrztu wątpliwego chrzcząc trzeba wypowiedzieć formułę sakramentalną warunkową: „Jeżeli jesteś człowiekiem, ja ciebie chrzczę w Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego".

Oczywiście nie należy chrzcić zaśniadu ani płodu niedonoszonego w wyniku zwyrodnienia, kiedy płód jest oczywiście martwy od dłuższego czasu.

Płody nawet obarczone ciężkimi wadami należy chrzcić warunkowo. W przypadku zroślaków należy chrzcić każdą głowę. Trzeba jednak podkreślić, że obecnie unika się wymienionych drastycznych form chrztu w łonie matki".

„REFLEKSJE NAD ETYKĄ LEKARSKĄ"
pod redakcją Krystyny Osińskiej
Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej
Warszawa 1990, str. 166
za zgodą Kurii Metropolitalnej Warszawskiej,
14 maja 1990, nr 2736/K/90
ks. bp St. Kędziora
Notariusz ks. Marcin Wójtowicz

1. Tak jak się rzeczy miały na początku maja, prezydent Wałęsa nie zdołał zapewne powitać papieża w Polsce Dziennikiem Ustaw z tekstem o zakazie i karalności aborcji. Ale nie uciekło, co się odwlekło. Tymczasem, w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie, jednego można być pewnym: sprawa skrobanek będzie istotnym elementem jesiennej kampanii wyborczej i, co więcej, posłuży to promowaniu kandydatów, którzy zajmują w tej kwestii stanowiska wyraźne i skrajne. Są bowiem w elektoracie pokaźne grupy ludzi, którzy pójdą do urn właśnie po to, by inicjatywę senacką poprzeć lub potępić, natomiast postawy pośrednie i kompromisowe nie mobilizują nikogo, a wśród aktywnych „wyborców skrobankowych", tych „za" i tych „przeciw", budzą li tylko politowanie. Żałosny więc będzie ten uboczny skutek całej debaty, bo poszkodowani okażą się niejednokrotnie ludzie przyzwoici i niegłupi, umiejący docenić racje i motywy obu stron. Ale, niestety, w polskim parlamencie ludzie środka, pragmatyczni poszukiwacze kompromisów są też nazbyt często pozbawieni wyraźnego profilu: ich umiarkowanie robi wrażenie nijakości i niezdecydowania. Uwaga ta dotyczy wielu parlamentarzystów solidarnościowych z Klubu Unia Demokratyczna, lecz także z OKP. Wypada im jednak przyznać, że mają się politycznie czego lękać: w żadnej innej sprawie polski parlament nie był w toku obecnej kadencji pod taką presją jak właśnie w sprawie ustawy o zakazie i karalności aborcji, mimo że nie brak przecież w kraju karkołomnych trudności gospodarczych i rozległych przemian ustrojowych. Te nonsensowne polityczne proporcje tłumaczą się, oczywiście, bezwzględnym i bezkompromisowym zaangażowaniem Kościoła katolickiego, jego hierarchii i jego papieża.

Po doświadczeniach kampanii prezydenckiej kierownictwo Kościoła w Polsce nie chce już, by narzucano mu rolę podpory dla tej czy innej partii, która autentycznie bądź z wyrachowania

określa się jako katolicka lub chrześcijańska; nie chce nie dlatego, iżby większość episkopatu nie miała całkiem wyraźnych w tej dziedzinie preferencji, ale dlatego, że Kościół nie zamierza podporządkować swojej polityki i własnych zasadniczych opcji — priorytetom, sporom i wartościom koncentrującym uwagę partii świeckich. Jest w szczególności wysoce nieprawdopodobne, by Kościół w Polsce chciał przekształcić w jakieś polityczne zalecenia wyborcze najnowszą encyklikę papieską, komentowaną dość powszechnie jako „antykapitalistyczna" i pozwolić się w ten sposób wciągnąć np. w ryzykowny „spór o Balcerowicza". Zawarte w nowej encyklice wskazania wymierzone przeciw nadużyciom liberalizmu ekonomicznego i lekceważeniu kwestii socjalnej pozostaną w Polsce nauką moralną, nie zaś polityczną: liberałowie wszelkich obediencji nie powinni się więc z tej racji niepokoić o swoje szanse wyborcze, choć, oczywiście, ugrupowania chadeckie i narodowokatolickie, zapewne również lewica, nie omieszkają się powołać na ten nowy dokument nauki społecznej Kościoła. Ale na naukę tę powołań jest w Polsce tak wiele, od tak dawna i tak bezskutecznych, że zwolna nawet szczerzy jej zwolennicy przywykli traktować ją jak dekalog: zbiór przykazań niezmiennie ważnych i nieustannie gwałconych.

Zamiast zadowalać się rolą alianta czy choćby nawet arbitra w cudzych, mimo wszystko, sporach Kościół podjął decyzję, by w 1991 samemu przyczynić się, i to w rozstrzygającej mierze, do zabudowy polskiej sceny politycznej: narzucić tematykę kampanii i zwycięstwo właściwych opcji, nawet jeśli by się to miało dokonać kosztem istotnych dla świeckiego bytu narodowego decyzji.

2. Sprawa zakazu i karalności aborcji nazywa się w języku proponentów ochroną dziecka poczętego. Zwolennicy proponowanej ustawy są zapewne przeświadczeni, że właśnie o życie ludzkie walczą, toteż nie przebierają w środkach. W kościele w Dobrzanach pod Szczecinem Grób Pański był w tym roku sporządzony z fotela ginekologicznego z zakrwawionym prześcieradłem, w misce obok ułożono laleczkę o pourywanych członkach — i ta aranżacja dobrze ilustruje emocjonalne napięcie i poetykę toczącej się debaty, bynajmniej nie tylko na dole. A mimo to jest dość oczywiste, że Kościołowi chodzi o coś więcej i o coś, z jego punktu widzenia, ważniejszego niż życie poczętych. Takie stwierdzenie nie powinno szokować. Nie oznacza to w żadnej mierze, by w obronie nienarodzonych Kościół stawał nieszczerze lub traktował ją instrumentalnie. Wszelako owym czymś więcej i czymś dla Kościoła ważniejszym niż życie poczętych jest miejsce Boga wśród ludzi i jego Kościoła we współczesnej cywilizacji.

Gdyby chodziło tylko o zminimalizowanie liczby aborcji — a w polityce mającej w warunkach demokracji, przy przestrzega-

niu swobód indywidualnych, oddziałać na zachowanie obywateli, nigdy nie może chodzić o całkowitą eliminację zachowań nagannych czy nawet uznanych za zbrodnicze — gdyby zatem chodziło tylko o skuteczne zwalczanie plagi skrobanek, Kościół nie mógłby okazywać tak wyniosłej pogardy wobec argumentacji polemistów o moralnej niedopuszczalności radosnego *crescite et multiplicamini* w obliczu ludzkiej nędzy, o szkodliwych skutkach penalizacji, o krzywdzie kobiet itd. I nie mógłby, oczywiście, zwalczać jednym tchem i aborcji i antykoncepcji. Trudno bowiem uznać za poważne argumenty, że antykoncepcja sprzyja rozwiązłości, rozwiązłość zaś ciążom niechcianym i w rezultacie aborcjom — jak to niedawno wywiódł pewien ksiądz w korespondencji z sejmową komisją nadzwyczajną.

Przejdźmy jednak do argumentów poważnych, najpoważniejszym zaś jest twierdzenie, że wszystko, cokolwiek się powoła na usprawiedliwienie aborcji, może stanowić co najwyżej okoliczność łagodzącą: aborcja pozostaje zabójstwem, i to szczególnie ohydnym, gdyż dokonanym na istocie najzupełniej niewinnej i całkowicie bezbronnej. Jeśli ta istota jest człowiekiem, w takim razie interwencja prawa i prokuratora staje się nieuchronna. Jeśli — bo jednak tylko życiu człowieka przypisujemy wartość szczególną i tylko człowiekowi przysługuje „prawo przyrodzone do życia", państwo zaś jest obowiązane prawa tego przestrzegać i chronić.

Zwolennicy bezwzględnego zakazu i karalności aborcji zwykli w tym miejscu stwierdzać apodyktycznie, że „nauka dowiodła ponad wątpliwość", iż człowiek istnieje od momentu poczęcia, połączenia komórek rozrodczych, czyli powstania zygoty (tylko najostrożniejsi dodają: i jej implantacji). Ale nauka niczego takiego nie dowiodła i dowieść nie mogła, ponieważ nauka nie zajmuje się w ogóle definiowaniem człowieka. Człowieka — w rozumieniu wartości, owej istoty, której przysługują prawa przyrodzone i której zabijać nie wolno. Nauka (medycyna, genetyka, morfogeneza, biologia) zajmuje się wyłącznie procesami biologicznymi, analizuje, kraje, zestawia i kombinuje. „Człowiek" oznacza dla niej istotę wyposażoną w pewien komplet genów. Może go być więcej lub mniej: „człowiek" biologiczny jest podzielony. Teraz właśnie opracowuje się biologiczny inwentarz człowieczeństwa, pełny opis genotypu. I nawet produkuje się leki, które będą wymieniać geny uszkodzone. Nie darmo inżynieria genetyczna już *in statu nascendi* przejmuje grozą...

We współczesnym świecie, kto tylko chce coś sprzedać lub o czymś przekonać — powołuje się na naukę. Można więc zrozumieć propagandystów kościelnych, choć od profesorów wyższych uczelni i akademii teologicznych wolno jednak wymagać więcej refleksji. Któż jednak, jeśli nie nauka, rozstrzygnie, kiedy

zaczyna się człowiek? Odpowiedź jest zapewne złożona i na pewno niedoskonała. Na poziomie codzienności wystarcza nam doświadczenie potoczne: po prostu rozpoznajemy się wzajemnie, choć gdybyśmy spotkali Yeti, byłyby kłopoty, w czasach zaś Szekspira o człowieczeństwo Indian toczono spory. W przypadku natomiast gdy chodzi o powstawanie człowieka (a także jego śmierć) jesteśmy w istocie zdani na naszą własną arbitralność — przynajmniej w takich granicach, jakie wyznacza doświadczenie potoczne, np. na pewno jest człowiekiem dziecko narodzone i na pewno nie są człowiekiem rozkładające się zwłoki. Wynika z tego, że Kościół ma oczywiście pełne prawo uznać zygotę za człowieka, ale jest to właśnie prawo do arbitralności. Paradoks sporu o definicję człowieka, który toczy się, choć niedopowiadany, na obrzeżach debaty o aborcji, polega na tym, że dyskutowana ustawa, przedstawiana przez proponentów jako wniosek z owej definicji, będzie, wprost przeciwnie, definicję taką fundować i narzucać.

Jednakże rozwój nauki skomplikował nasz definicyjny problem w sposób znacznie jeszcze bardziej perfidny. Jest w ogólności tak, że rozwój nauk (choć przecież oskarżanych często o nadmierną specjalizację i jednostronność) powoduje, że coraz trudniej jest nam dostrzegać i rozumieć rzeczywistość metodą z Tuwimowego wiersza: wszystko z oddzielna. A jest to sposób nie tylko „strasznych mieszczan", również zwykłych ludzi. To właśnie owo widzenie potoczne: koń to koń, drzewo to drzewo, Stasiek to Stasiek... Otóż nauki konstruują stopniowo obraz świata, w którym w rezultacie rozszczepienia wszystkiego na coraz mniejsze całostki, fenomeny poszczególne rozpuszczają się jak cukier w herbacie, wszystko ze wszystkiego wynika, jedno zjawisko przechodzi w inne stopniowo, coś jest czymś w takim aspekcie, czym innym zaś w aspekcie odmiennym... Tak więc owa zygota, mikroskopijny zarodek ludzki, jest istotnie dla nauki „życiem ludzkim"... w pewnym aspekcie, mianowicie jako zasób genetyczny. Ale w innym jest tylko cząstką organizmu kobiety: ani się poza nim nie uchowa, ani nie rozwinie...

Kiedy nauka nic nie wiedziała jeszcze o zjawiskach niedostępnych spostrzeżeniu potocznemu, fantazja, magia, filozofia i teologia miały pełną swobodę. W szczególności żadnemu teologowi nie mogłoby wówczas przyjść do głowy, żeby się tego, kiedy powstanie człowiek, dowiadywać od nauki: człowiekiem stawała się glina ludzka otrzymując od Boga duszę („tchnienie"). Procedura animacji pozostawała oczywiście tajemnicą Bożą, można się było co najwyżej spierać, co jest sygnałem dla ludzi, iż ożywienie już nastąpiło: sam dopiero poród, pierwszy ruch płodu, ustanie menstruacji? Żeby już nie wdawać się w teorie

bardziej fantazyjne, o duszach nienarodzonych oczekujących na przydział cielesności od początku świata: a bywało i tak, że pod pierwszym mikroskopem szukano potwierdzenia koncepcji, iż przyszłe pokolenia, jedne w drugich, maleńkie i coraz mniejsze, tkwią gotowe i czekają na swoją kolej, każde w plemniku poprzedniego... Sporów zatem sobie nie szczędzono, ale w każdym bądź razie nie mogło być mowy o arbitralności ludzkiej. Rozstrzygała wola Boża. Tylko że potem, krok po kroku, w miarę jak poznanie naukowe podporządkowywało sobie coraz nowe fakty, Bóg teologów coraz rzadziej interweniował w przyrodę w sposób jednostkowy i arbitralny, trudniąc się kreacją poszczególną, coraz częściej zdawał się natomiast na mechanizmy z góry już przez siebie ustanowione... Pytanie o moment animacji traciło sens; zastępowało je poczucie, że w jakiś sposób sam proces biologiczny wytwarzania człowieka jest zarazem, z ustanowienia Bożego, równoważny owej animacji uświęcającej, stanowi kreację osoby ludzkiej. Świadoma interwencja człowieka w którymkolwiek momencie procesu reprodukcji może zakłócić to ustanowienie i jest wobec tego niedopuszczalna: to dlatego właśnie Kościół zwalcza antykoncepcję na równi z aborcją. Projekt ustawy o zakazie i karalności tylko aborcji jest więc ze strony Kościoła swoistym kompromisem: ze wszystkich zwrotnych momentów procesu reprodukcji obiera się połączenie komórek rozrodczych, jako chwilę, od której poczynając procesowi reprodukcji nie wolno już przeszkadzać. Ryzyko, że naruszy się w ten sposób zrządzenie Boże jest zbyt wielkie.

Kościół wyprowadza z rozwoju cywilizacji naukowo-technicznej wnioski odwrotne do naszych potocznych zachowań i pragnień ludzi i społeczeństw. Dla nich cywilizacja ta jest zachętą, by w rosnącej mierze kształtować i wytwarzać świadomie siebie i własne losy; dla Kościoła, wprost przeciwnie, każdy krok naprzód w nauce oznacza konieczność wzmożonej ostrożności. Im człowiek jest potężniejszy, tym bardziej winien się lękać własnej siły; im więcej wie, tym niebezpieczniejsze może się dla niego okazać to, czego się dowie w następnym kroku.

Niech mi będzie wolno, właśnie jako polemiście, wyrazić pogląd, że takie obawy Kościoła są u schyłku XX wieku aż nazbyt dobrze uzasadnione i że kościelne zalecenie ostrożności jest cenną i potrzebną składową naszej cywilizacji, czynnikiem niezbędnej równowagi. Ale niech mi też wolno będzie stwierdzić, że sposób, w jaki Kościół w Polsce zabiega o zwycięstwo własnych racji, prowadzi wprost do klęski.

3. Ów sposób można scharakteryzować najkrócej: od społeczeństwa do państwa. Kiedy nie udaje się przekonać, chce się nakazywać.

W biuletynie Sekretariatu Episkopatu z 24 kwietnia br. ogłoszone zostały dokumenty przesłane z pismem przewodnim abp. Bronisława Dąbrowskiego z 16 czerwca 1990 na ręce pani senator Alicji Grześkowiak, przewodniczącej senackiej komisji konstytucyjnej, w odpowiedzi na ankietę konstytucyjną rozpisaną przez tę komisję. (Pierwszy smaczek całej historii w tym, że pół roku wcześniej te same dokumenty abp Dąbrowski przesłał był, z własnej inicjatywy, ówczesnemu premierowi Mazowieckiemu i przewodniczącemu sejmowej komisji konstytucyjnej, Bronisławowi Geremkowi, o czym w biuletynie się dyskretnie milczy). Główny dokument pt. „Stanowisko Episkopatu Polski w sprawie założeń aksjologicznych nowej konstytucji" głosi m.in.:

„Konstytucyjne uregulowanie stosunków między Państwem a Kościołem Katolickim winno zostać oparte na zasadach wzajemnego poszanowania, suwerenności i niezależności oraz zdrowego współdziałania dla dobra wspólnego, czyli tworzenia tych warunków życia społecznego, dzięki którym osoba, rodzina i zrzeszenie mogą pełniej i łatwiej osiągnąć swoją doskonałość. Podstawowe wartości, w imię których Kościół spełnia swoją misję, oraz zasadnicze cele realizowane przez Państwo są w istocie swej komplementarne. Z tego punktu widzenia należy szczególnie mocno zaakcentować konieczność współdziałania Państwa i Kościoła Katolickiego, u podstaw którego leży dobro osoby, będącej w naszych warunkach w ogromnej większości członkiem obu tych wspólnot jednocześnie. Z tych też względów należy wyłączyć z konstytucji formułę o rozdziale Kościoła Katolickiego od Państwa. Budzi ona negatywne skojarzenia z okresu systemu totalitarnego, kiedy była wykorzystywana dla dominacji państwa nad Kościołem, ponadto jest nieprecyzyjna, może bowiem prowadzić do pominięcia tych wartości, o których piszemy. Konstytucja powinna uznać Kościół Katolicki za osobę prawną prawa publicznego. Dlatego też należy przywrócić systemowi prawa polskiego podział osób prawnych na osoby prawa publicznego i osoby prawa prywatnego.

Jednocześnie wyrażamy nadzieję, że w konstytucji znajdą swoje miejsce podobne uregulowania dotyczące współdziałania Państwa z innymi, korzystającymi w pełni ze swobód religijnych Kościołami i związkami wyznaniowymi".

Drugi dokument pt. „Katolickie postulaty konstytucyjne" jest kopią memoriału wystosowanego przez episkopat do rządu 26 lutego 1947; interesująco brzmi wobec tego uwaga abp. Dąbrowskiego, iż dokument sprzed 44-ch lat „zachował także dziś swą pełną aktualność", choć tymczasem upadły rządy komunistyczne i odbył się Sobór Watykański II. Dodam wreszcie, że zacytowane postulaty znalazły się w „projekcie nowej konstytucji" sporządzonym przez komisję senacką i 3 maja wrę-

czonym uroczyście prymasowi Glempowi. Projekt rozpoczyna się od słów „W imię Boga Wszechmogącego!" — i nie ma żadnej wagi prawnej, ponieważ senatowi nie przysługuje inicjatywa konstytucyjna...

„Konieczność współdziałania" państwa i Kościoła, o której mowa w piśmie biskupów, została przez nich samych zinterpretowana, choć zapewne mimo woli, w uchwałach podjętych przez 246 Konferencję Episkopatu (30 kwietnia — 2 maja) na Jasnej Górze.

Odrzucając stanowczo projekt referendum w sprawie zakazu i karalności aborcji zgłoszony w Sejmie przez Jacka Kuronia i grupę posłów z różnych klubów, biskupi pisali m.in.: „Istnieją wartości, które nie podlegają plebiscytowym ustaleniom. Żadne referendum nie jest w stanie usankcjonować rasizmu, gwałtu, kradzieży, czy terroryzmu (...) Głosowanie nad zalegalizowaniem niszczenia życia ludzkiego nie tylko łamie prawo człowieka, ale godzi wręcz w cały porządek naturalny (...) Ewentualne dopuszczenie do takiego głosowania mogłoby w konsekwencji doprowadzić do innych czynów niegodziwych, np. eutanazji czyli pozbawiania życia ludzi chorych jako nieużytecznych dla społeczeństwa. Najbardziej radykalną formą kwestionowania prawa do życia w oparciu o powyższe kryteria były, jak wiemy, obozy koncentracyjne".

Jeśli pominąć histeryczny ton, rozumowanie zaprezentowane oznacza: w sprawach istotnie doniosłych społeczeństwo nie ma głosu, niech decydują wąskie gremia władzy państwowej, jak sejm, ale w rzeczywistości i one nie powinny głosować, lecz tylko potwierdzać. Jakoż argument, że moralność nie podlega głosowaniu, jest słuszny, ale poprzednio ci sami autorzy oświadczyli równie stanowczo, że aborcja nie jest także sprawą sumienia: nie jest grzechem jedynie, lecz zbrodnią, i wymaga sankcji prawa. Otóż prawo ktoś musi jednak przegłosować. Chyba, że w „koniecznym współdziałaniu" o tym, co słuszne decyduje po prostu Kościół, jako właściwy znawca woli Bożej.

Biskupi poświęcili wiele uwagi środkom masowego przekazu, które oskarżyli, obok innych grzechów przeciw Kościołowi i etyce zawodowej, o agnostycyzm, zakładający czysto laicką wizję człowieka i świata, lekceważenie duchowego wymiaru człowieka i propagowanie zachowań takich, jak gdyby Boga wcale nie było. Takim językiem episkopat polski nie przemawiał od czasów Soboru Watykańskiego Drugiego. Agnostycyzm zwłaszcza, czyli zawieszenie sądu na temat istnienia bądź nieistnienia Boga, był za sprawą soborowego *aggiornamento* postawą, której Kościół, rzecz jasna, nie pochwalał, ale której też, jako takiej, nie atakował i której przedstawicielom nie odmawiał *a priori* ani dobrej woli, ani też zdolności do owocnej współpracy ze wspólnotami wie-

rzących. Dzięki temu otwarciu Kościół w Polsce pozyskał życzliwość i nawet oddanie bardzo szerokich rzesz inteligencji, zwłaszcza młodzieży, o religijności skądinąd całkiem wątpliwej. Nie potrafiłbym powiedzieć, czy nowy język i wręcz arogancja najnowszych wypowiedzi rzeczników Kościoła wobec niedawnych sojuszników są skutkiem zaniepokojenia czy też raczej okażą się przyczyną spadku społecznego wpływu Kościoła, zawsze, cokolwiek by powiedzieć, mediatyzowanego przez inteligencję. Kościół w Polsce przeżył już raz po wojnie taki regres i nie było to bynajmniej w epoce prześladowań i szykan, ale odwrotnie, w okresie stosunkowo dobrej współpracy z komunistycznym państwem w latach 1957-1960. Nawet tak relatywne jak wówczas swobody kulturalne, otwarcie na Zachód i skromna nadzieja na polepszenie bytu, cywilizację minikonsumpcji, wystarczyły, by pojawiły się nad wpływami Kościoła znaki zapytania i w odpowiedzi — pokusa ucieczki w tradycjonalizm. Wtedy jednak, jeszcze przed Soborem, znaleźli się w Kościele polskim ludzie zdolni do wielu rewizji i do przygotowania *aggiornamento*. Był wśród nich młody biskup krakowski, Karol Wojtyła. Ale to już historia.

6 maja 1991

Krzysztof WOLICKI

WAWEL
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli, z Moskwy i z Kijowa

ŻYCIE PO GORBACZOWIE

Kiedy byłem niedawno w Moskwie i w Kijowie, pytanie jakie stało przed historią brzmiało: czy istnieje życie po Gorbaczowie? Czy też po nim może już nastąpić tylko potop, chaos, anarchia? Inaczej mówiąc, czy przekonanie, że dla Gorbaczowa nie ma alternatywy, to aksjomat czyli prawda absolutna, czy tylko hipoteza czyli założenie robocze?

Próba odpowiedzi zakłada dwa paradoksy. Pierwszy polega na tym, że kwestia ta jest coraz bardziej otwarcie i poważnie rozważana nie na Zachodzie — gdzie perspektywa zmiany na Kremlu ciągle paraliżuje polityków — a w Związku Sowieckim, gdzie nie ma już dnia bez dyskusji czy artykułu, w którym ktoś, w taki czy inny sposób, nie zaproponowałby scenariusza życia bez Gorbaczowa.

Drugi polega na tym, że otwarty charakter debaty nad przyszłością Gorbaczowa to znaczy nad przyszłością Związku Sowieckiego, stanowi zarówno zwycięstwo *głasnosti*, które jest i zostanie wielkim dziełem Gorbaczowa, jak i dowód jego rosnącej słabości. To dzięki *głasnosti* perspektywa odejścia Gorbaczowa nie stanowi już tabu, a jak to mogłem osobiście stwierdzić — tylko jeden z tematów wielkiej debaty z ZSSR.

Gazeta Niezależna — pismo moskiewskie, którego tytuł chyba naprawdę odpowiada treści — zamieściła na przełomie marca i kwietnia długie studium na temat „alternatywy dla Gorbaczowa". Pismo uważa, że chodzi o najzupełniej realistyczny scenariusz i że „społeczeństwo, wszystkie siły polityczne, a nawet sam prezydent" poważnie się nad tym zastanawiają. Zdaniem autora, Walerego Trietiakowa — naczelnego redaktora i właściwie założyciela *Gazety Niezależnej*, uchodzącego za dobrze zorientowanego w kulisach Kremla — pogląd, że nie ma alternatywy dla Gorbaczowa to już tylko anachroniczny dogmat.

Trietiakow uważa, że Gorbaczow może zostać zmuszony do odejścia i przez prawicę i przez lewicę. Pierwsza ma większość w parlamencie, no i w partii komunistycznej, wojsku i KGB. Demokraci zaś mogą działać poprzez strajki i manifestacje. *Gorbaczow ma sojuszników już tylko na Zachodzie* — powiada w konkluzji Trietiakow. To przesada, bo Gorbaczow ma jeszcze sojuszników także w ZSSR, ale przesada znamienna.

W tym samym okresie podobną analizę, ale zakończoną wprost przeciwnymi wnioskami, ogłosiła jak najbardziej zależna, bo rządowa agencja TASS. Jej ton był oficjalnie ponury i groźny. *Nikt z tych* — wołała agencja — *którzy wzywają do dymisji Gorbaczowa nie ma jasnego poglądu na konsekwencje takiego kroku.* TASS nie wyklucza jednak samej hipotezy odejścia Gorbaczowa. Autor komentarza uważa tylko, że taka operacja musiałaby się odbyć zgodnie z „mechanizmami konstytucyjnymi przewidzianymi dla wymiany przywódców" i że jej „warunkiem wstępnym jest powstanie konstruktywnej alternatywy".

Jeżeli nawet nie bardzo wiadomo co to wszystko znaczy i kto miałby decydować, że „alternatywa" jest właśnie „konstruktywna", a nie „destrukcyjna", to stwierdzić trzeba, że w życiu politycznym Związku Sowieckiego zaszła zasadnicza zmiana. Hipotezy, które jeszcze kilka miesięcy temu — chociażby wtedy, kiedy Jelcyn wołał o dymisję Gorbaczowa — uchodziły za skandal, awanturnictwo polityczne i szarganie świętości, dziś stanowią prawie banalny aspekt kawiarnianych rozmów.

TASS — nie trzeba wymagać dużo — nie ryzykował lansowania nazwisk. Ale *Niezależna Gazeta* nie krępuje się i cytuje kandydatury, mniej lub bardziej poważne, do schedy po Gorbaczowie. Na przykład kandydatura obecnego premiera Pawłowa dla tych, którzy go znają (był niedawno w Brukseli) brzmi śmiesznie, zaś przewodniczącego parlamentu Łukianowa (był niedawno w Paryżu) brzmi nudno, natomiast kandydatura Borysa Jelcyna (był niedawno w Strasburgu i Paryżu) może brzmieć groźnie albo radośnie, ale nigdy śmiesznie czy nudno.

Mniejsza o spekulacje personalne. Wcale nie wykluczone, wiele osób tak uważa, że obaj panowie dojdą do wniosku, że są sobie nawzajem potrzebni i że, jeżeli nie przejdą szybko z beznadziejnej wojny inwektyw do prawdziwej, demokratycznej reformy państwa prowizorycznie zwanego sowieckim, to obaj przegrają obecny, być może decydujący, wyścig z czasem. Zwolennicy takiej tezy uważają, że Związek już nie jest sowiecki, ale że jakiś nowy typ konfederacji czy wspólnego rynku mniej lub

bardziej niepodległych republik — po odrzuceniu ugrupowań i poglądów skrajnych — będzie musiał być rządzony z centrum, z politycznego środka, razem przez Gorbaczowa, Jelcyna i im podobnych.

Być może. Podpisanie z końcem kwietnia „wspólnej deklaracji" Gorbaczowa z Jelcynem i dziesięciu republikami (bez Bałtów, Gruzinów, Ormian i Mołdawów) mogłoby potwierdzać taki horoskop. Zresztą, nawet jeżeli, jak mnie się wydaje, chodziłoby tu tylko o typowe „granie na czas", o zawieszenie broni a nie o trwały pokój — nawet jeżeli Gorbaczow i Jelcyn są za ambitni i mają, choć każdy w innym stopniu, za mało prawdziwej kultury politycznej, aby przemóc w sobie nienawiść osobistą i zastąpić ją pojęciem tak egzotycznym w Sowietach jak nadrzędność służenia państwu i społeczeństwu — to i tak wniosek się narzuca; czy się nam to podoba czy nie, Borys Jelcyn pozostanie, w każdej konfiguracji, jednym z głównych, jeżeli nie głównym aktorem sowieckiej sceny politycznej. Sowieckiej czy rosyjskiej, to znaczy europejskiej i światowej. Niepodległa przyszłość pokaże. Na razie walka trwa. I weszła w nową fazę.

Na podbój Francji

Jelcyn jest niewątpliwie bardziej popularny w Rosji i w kilku innych republikach niż Gorbaczow. Jelcyn jednak wie, że ma bardzo zły *image* za granicą, a zwłaszcza na Zachodzie, wie, że jego ubiegłoroczne podróże na Zachód, do USA, Francji i nie pamiętam gdzie jeszcze, pozostawiły złe wrażenie, pozostawiły obraz, mówiąc po polsku, populistycznego demagoga, że to czego mu właśnie bardzo brak w konkurencji z Gorbaczowem, to wymiaru zagranicznego, to uznania międzynarodowego.

Z tym hasłem na ustach, po cięgach i lekcjach ubiegłorocznej wyprawy, Jelcyn wyruszył w kwietniu 1991 na nowy podbój Zachodu. Zaczął od Francji. Niesłusznie...

Ale po kolei. W pierwszej chwili można było odnieść wrażenie, że coś się na Zachodzie ruszyło. Że zaczęto myśleć nie kategoriami „braku alternatywy dla Gorbaczowa" i „potopu", a realiami politycznymi Związku Sowieckiego. Można było np. sobie wyobrazić, że chodzi tu o inaugurację ciekawej operacji, dzięki której Zachód mógłby — a byłaby to bardzo rzadka okazja — odegrać ważną rolę na płaszczyźnie wewnętrznej polityki sowieckiej.

Naturalnie, jedna podróż, nawet najbardziej udana — a to przecież wcale nie było pewne — nie wystarczy aby nadać prowincjonalnemu (bo tak jest) politykowi światowy czy międzynarodowy wymiar. Ale wydawało się, że godząc się na przyjęcie Jelcyna właśnie w momencie dużego zaostrzenia jego rywalizacji z Gorbaczowem, Francja chce uczestniczyć w operacji nadania rosyjskiemu politykowi międzynarodowej rangi. To znaczy nadania mu cechy, której mu było całkowicie brak, a której posiadanie jest ostatnim argumentem Gorbaczowa, ostatnim filarem jeszcze się broniącym gorbaczowowskiej *pieriestrojki*.

Udział Zachodu w nadaniu Jelcynowi takiego wymiaru — i co za tym idzie zwiększeniu jego szans w walce o władzę przede wszystkim z Gorbaczowem i o przyszły kształt ZSSR w ogóle — byłby operacją delikatną i ryzykowną, ale zrozumiałą i logiczną. Mogła ona być sygnałem narodzin nowej strategii Zachodu wobec ZSSR, zrozumienia, że także na Kremlu nie ma ludzi niezastąpionych, że w każdym razie należy grać na wielu instrumentach, że, mówiąc poważnie, Zachód naturalnie powinien rozmawiać z Gorbaczowem, ale tylko pod warunkiem, że rozmawiać będzie równocześnie z Jelcynem w Rosji, na Ukrainie, i na Litwie czy w Gruzji.

W płaszczyźnie bardziej ogólnej, mniej lub bardziej ostentacyjne przyjęcie Jelcyna mogłoby oznaczać, że Zachód nareszcie zrozumiał, iż komunizm i imperium sowieckie nie są reformowalne, ale że republiki mogą być zreformowane. Że dekolonizacja jest wstępnym warunkiem wszelkiej demokratyzacji. Że przyszły Związek być może będzie się nadal nazywać sowieckim, ale nie będzie kolonialny. I że Zachód, jeżeli mu tak zależy na Gorbaczowie, powinien mu pomagać nie w utrzymaniu imperium sowieckiego, bo to już nawet na krótką metę jest niemożliwe, a w rozparcelowaniu tego imperium. Że tylko w ten sposób, przy pomocy Jelcynów, uda się dekolonizację przeprowadzić bez konwulsji i eksplozji, których odłamki nie wiadomo gdzie i jak będą padać.

Prawdziwy priorytet

Naturalnie „operacja Jelcyn" jest wielowymiarowa. Wszystkie interwencje Wałęsy czy Havla w Brukseli i na Zachodzie w ogóle zmierzają do udowodnienia, że Europa jest jedna i że w interesie bezpieczeństwa kontynentu nie leży zastąpienie — jak to nazwał polski prezydent — muru z kamienia murem z pieniędzy. Wałęsa ma tylko pozornie rację. W istocie bowiem, z murem czy bez, Europa, ta od Atlantyku po Bug, jest i tak podzielona, jest i tak skazana na rozwój dwubiegunowy, na posuwanie się, i to jeszcze przez dziesięciolecia, dwoma torami i dwiema szybkościami.

Otóż — i tu mógł się był otworzyć nowy rozdział historii pojałtańskiej — operacja pod nazwą Jelcyn mogła oznajmić powsta-

nie obok tych dwóch także trzeciej Europy: narodziny w Rosji czy na Ukrainie czy Białorusi, prawdziwej Europy wschodniej, wprowadzenie w europejski proces trzeciego biegu, nadanie procesowi desowietyzacji i dekolonizacji Związku Sowieckiego charakteru właśnie europejskiego.

Godne i polityczne, w dobrym sensie tego słowa, przyjęcie Jelcyna nie tylko w najlepszej restauracji w Strasburgu i w najlepszym hotelu w Paryżu, ale także w kilku gabinetach, to byłoby coś więcej niż kronika towarzyska. To byłby znak, że Zachód także myśli o alternatywach na Kremlu, że chce mieć w tej sprawie coś do powiedzenia.

Nadanie dekolonizacji ZSSR rangi priorytetowej to byłby dla świata moment ważny. Pro-jelcynowska — nazwijmy ją w skrócie — opcja zachodnia proklamowałaby nowy układ geopolityczny, nową strategię wspólnoty i Paktu Atlantyckiego. Ale nie trzeba się łudzić, to w polityce rzecz niebezpieczna. Z okazji swej niedawnej wizyty w Brukseli prezydent Wałęsa chciał odwiedzić siedzibę Paktu Atlantyckiego, ale dano mu do zrozumienia, że moment jest niedobry. Rzeczywiście. Niedawna wizyta Havla w NATO i jego aluzje do nadziei, jakie Europa środkowa wiąże z rolą Paktu Atlantyckiego w systemie bezpieczeństwa europejskiego, bardzo ostudziły entuzjazm NATO wobec gości z tej drugiej Europy.

Inaczej mówiąc, NATO uważa, że nie Rosja, Ukraina, Gruzja (niepotrzebne skreślić) ani Europa środkowa, a Związek Sowiecki stanowi bezkonkurencyjny priorytet w obecnej strategii Zachodu, że Zachód nie powinien podejmować żadnej akcji mogącej skomplikować sytuację Gorbaczowa i podważyć spójność, czyli okowy i pancerze państwa sowieckiego. Przed kilku tygodniami, w debacie przed telewizją francuską, w aluzji zapewne do nieodwzajemnionej miłości Polaków do Zachodu, Bronisław Geremek wołał z ironią: „Któż mógłby sobie wyobrazić kilka lat temu, że największym zmartwieniem Zachodu w 1991 roku będzie to, żeby się nam Gorbaczow nie przeziębił".

Rzeczywiście, śmieszne. Pytanie tylko dla kogo.

Na pewno nie dla Jelcyna. Już formalny pretekst jego podróży do Francji był podejrzany. Jelcyn, jakby nie było przewodniczący parlamentu 150-milionowej republiki rosyjskiej, znalazł się we Francji jako gość mało znanej instytucji pod nazwą „Międzynarodowe Forum Polityczne", założonej i prowadzonej przez byłego, dziś już poza partią, ideologa komunistycznego, historyka Jeana Ellensteina.

Reszta była jeszcze bardziej podejrzana, albo powiedzmy skandalicznie jasna. I głupia. Jelcyn odwiedził Strasburg i Paryż. Spotkał się bardzo krótko z przewodniczącym parlamentu europejskiego i sekretarzem generalnym Rady Europy, z przewodniczącymi frakcji poselskich, był na *lunchu* z byłym prezydentem Francji Giscard d'Estaing i spotkał się z byłym premierem, merem Paryża, Chiraciem, odwiedził senat w Paryżu i został przyjęty przez socjalistycznego, bliskiego Mitterrandowi, przewodniczącego parlamentu francuskiego Laurenta Fabiusa. Przewodniczącemu parlamentu rosyjskiego i przyszłemu, po 12 czerwca, prezydentowi Federacji Rosyjskiej, udało się nawet — choć nie było to wcale w programie francuskich gospodarzy — uścisnąć w kuluarach parlamentu europejskiego w Strasburgu dłoń sekretarza generalnego ONZ, pana Perez de Cuellar.

No i — ale to na deser — Jelcyn odbył dyskusję, *pardonnez l'expression*, z p. Jean-Pierre Cotem, francuskim przewodniczącym frakcji socjalistycznej parlamentu europejskiego i otarł się o osobę prezydenta Francji p. François Mitterranda.

Świat według Cota

Pan Jean-Pierre Cot przyszykował Jelcynowi coś w rodzaju linczu politycznego. Czyniąc tak, i on sam i inni, którzy mu w tym nie przeszkodzili, a niektórzy nawet pomagali, postąpili nie tylko błędnie, ale i głupio. Oblali egzamin z propedeutyki polityki. To taka zachodnia odmiana dziecinnej choroby lewicowości, jak ktoś to kiedyś określił. Dziwne. Przyjmowano tu rozmaitych Chruszczowów i Pol Potów, adorowano Castro i Mao, jadano z ręki jakiegoś Mobutu, jeżdżono na polowanie z kanibalem Bokassą czy byle Gierkiem, ale żadnemu z nich, nawet takiemu Amin Dada, nie zgotowano przyjęcia jakie wydano, że tak powiem, na cześć Jelcyna.

Jelcyn to nie rewelacja, z urodzenia, wychowania czy zamiłowań (choć gra w tenisa) to nie jest angielski lord. Niektórzy twierdzą nawet, że to niesympatyczny gbur, takie zresztą robi wrażenie, bardzo źle wypada także, co jest na Zachodzie nie do wybaczenia, w telewizji. Do bardziej wysublimowanych salonów na razie nie nadaje się. Na przykład, rzeczywiście niegrzecznie i niemądrze, zlekceważył umówiony ogólnofrancuski wywiad radiowy w Strasburgu. Albo, w ostatniej chwili, anulował podróż do Grenoble. Albo — szczyt bezczelności — bez śladu szacunku dla ceremoniału i etykiety obowiązującej na dworze prezydenta Francji, określanego (przez satyryków) w skrócie „bogiem", poprosił o spotkanie z François Mitterrandem.

No dobrze, rzeczywiście nietakt. Ale przecież Jelcyn to nie Saddam, nie wygazował Kurdów, nie wysłał Scudów na Paryż. Nic nie usprawiedliwia więc (ani w ogóle, ani w szczególe, jeżeli chodzi o Jelcyna) zwyczajnego chamstwa jakim było inauguracyjne, od razu, od pierwszego wejrzenia, obrzucenie go przez

pana Cota epitetami w stylu „nieodpowiedzialny demagog", „populista" i wskazanie mu drzwi, tak jakby Jelcyn wyłamał wrota lub wybił okno i wkradł się za plecami straży do gmachu parlamentu europejskiego i gabinetu p. Cota. Warto tę scenę odtworzyć ku pamięci współczesnych i na użytek przyszłych historyków.

Już wstęp p. Cota był swoiście zachęcający.

Jest pan postacią, powiedział socjalistyczny deputowany zanim Jelcyn zdążył był otworzyć usta, *sympatyczną i demagogiczną, która się otacza kilku socjaldemokratami, ale przede wszystkim licznymi prawicowymi ekstremistami.*

A ponieważ panu Cotowi wydawało się to za mało, od razu dołożył: *My tu na Zachodzie*, zauważył subtelnie, pchając głębiej ostrze swej polemicznej szpady, *podziwiamy pana Gorbaczowa za rolę jaką odegrał w demokratyzacji krajów wschodnich i w zjednoczeniu Niemiec.*

Jelcyn się zorientował, że p. Cot ma mu coś za złe i, starając się przerwać potok parlamentarnej francuszczyzny p. Cota, wtrącił: *Niech pan przestanie moralizować*, na co p. Cot, silny wyraźnym poparciem sali, zwiększył dawkę: *My tu znajdujemy się*, wykrzyknął europejski polityk, *na sali demokratycznie wybranego parlamentu. Jeżeli nie ma pan ochoty mnie słuchać, może pan wyjść.*

Jelcyn nie wyszedł. Ani z sali, ani, przede wszystkim, z siebie. Nie rzucił mięsem, choć mu się to rzekomo zdarza na jego własnym podwórku. Udało mu się tylko powiedzieć, że *nie zasłużył sobie na takie oskarżenia* i poinformował pana Cota, że jest w Strasburgu *na zaproszenie m.in. pana Crespo, przewodniczącego parlamentu europejskiego.*

Ta informacja wywołała zresztą natychmiastową lawinę zaprzeczeń: nikt się mianowicie nie chciał przyznać do zaproszenia Jelcyna do Strasburga i wszyscy się tłumaczyli, jakby Jelcyn był chory na *aids*, że spotkali się z nim z litości, *wyłącznie na jego prośbę.*

Co gorzej, p. Crespo dał dowód politycznej niedojrzałości, która byłaby zjawiskiem na jego stanowisku niebezpiecznym, gdyby parlament europejski odgrywał jakąś istotną rolę w Europie (nie odgrywa). Zamiast bowiem wykorzystać sytuację i raz na zawsze stworzyć precedens normalnych stosunków z parlamentami republik sowieckich, p. Crespo, rumieniąc się, oznajmił, że jego parlament — znaczy europejski — *normalne, instytucjonalne stosunki utrzymywać może wyłącznie z Radą Najwyższą Związku Sowieckiego.*

Pani Lumière, generalny sekretarz Rady Europy, też podkreśliła z niezbędnym naciskiem, że spotyka Jelcyna *na jego prośbę* i także, a jakże, oznajmiła, że *z określeniem naszych stosunków z Rosją należy poczekać do końca negocjacji na temat nowego Związku* i że *do tego czasu naszym rozmówcą jest Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich.* Kropka.

Farsa w Europie

P. Cot twierdził potem , że demokracji trzeba się uczyć i że Jelcyn powinien był skorzystać z okazji, jaką — pod tym względem — stanowiło spotkanie z europejskimi parlamentarzystami. Polityki także trzeba się uczyć. Szkoda, że p. Cot zmarnował okazję, jaką było spotkanie z Jelcynem.

Rzeczywiście nie chodzi o gry salonowe, a chodzi o politykę. Pobyt Jelcyna mógł stać się świetnym zajęciem praktycznym nie z małej, wyimaginowanej zresztą, *real*-polityki, ale z polityki opartej o realia. Byłem 28 marca w Moskwie, oglądałem manifestację, w czasie której kilkaset tysięcy pro-jelcynowskich moskwiczan stało twarzą w twarz z kilkudziesięciu tysiącami pro-gorbaczowowskich (oficjalnie) żołnierzy. Byłem pewny, że krew się poleje. Polała się wódka, i to znacznie później, w mieszkaniu L.B.

P. Cot ma za złe p. Jelcynowi nie złe maniery, a jego opozycję wobec Gorbaczowa. P. Cot twierdzi mianowicie, że *czuje się bezpieczniej z Gorbaczowem niż z Jelcynem.* Kilkadziesiąt milionów Rosjan, i nie tylko Rosjan, jest jednak innego zdania i czuje się bezpieczniej z Jelcynem niż z Gorbaczowem.

P. Cot jest klasycznym przedstawicielem zachodnioeuropejskiej kasty intelektualno-politycznej, która niepomna długoletniego padania na kolana przed portretami Stalina i Mao czy pisania biografii państwa Ceausescu, ciągle uważa, że wie lepiej i uważa się za powołaną do udzielania innym lekcji. I ciągle myśli, że być intelektualistą zwalnia od obowiązku prawidłowego myślenia i znajomości podstaw kurtuazji.

Mniejsza o farsę ze Strasburga. Niestety, prezydent Mitterrand nie nadrobił gafy swego towarzysza partyjnego. On także czuje się bezpieczniej z Gorbaczowem niż z Jelcynem. On także tak się zachowywał, jakby Jelcyn był zadżumiony. Mitterrand nie znalazł czasu na przyjęcie Jelcyna w prezydenckim gabinecie, choć przyjmował już tam z wielką pompą małych bałkańskich stalinków i afrykańskich kanibali, nie wspominając o przywódcach ZSSR, generale Jaruzelskim i prezydencie Honeckerze.

Jelcyn doznał więc zaszczytu uściśnięcia dłoni prezydenckiej, ale w izolacji i bez fotografów, tak jak to kiedyś odbyło się w Białym Domu, kiedy prezydent Ford w ten właśnie sposób wywinął się ze spotkania z Sołżenicynem. W biografii Sołżenicyna to tylko epizodzik, w biografii Forda — kompromitacja. Wniosek się sam narzuca.

Otóż mówię o tym dlatego, że 12 czerwca wieczorem, kiedy *Kultura* zacznie dochodzić do Czytelników, zadżumiony Jelcyn zostanie — nie ma co do tego dzisiaj żadnej wątpliwości — pierwszym wybranym w głosowaniu powszechnym prezydentem Federacji Rosyjskiej. Będzie to państwo zamieszkałe przez 150 milionów obywateli, rozłożone na trzech czwartych terytorium obecnego Związku Sowieckiego, dysponujące 80% jego bogactw naturalnych i prawdopodobnie, w dalszej — ale realnej, jak o tym nieco dalej opowiem — perspektywie, całym jego arsenałem nuklearnym.

Jak się wchodzi do historii?

Groteska w Strasburgu stanie się wtedy tylko epizodzikiem w biografii Jelcyna. Natomiast poseł do parlamentu europejskiego Jean-Pierre Cot przejdzie dzięki niej do historii: jako ten mianowicie polityk, który pewnego kwietniowego dnia roku 1991 chciał właśnie tego prezydenta wyrzucić za drzwi. Razem z nim przejdzie do historii „strasburski model" uprawiania polityki. Stanie się synonimem strategicznej krótkowzroczności, a p. Cot będzie tego prorokiem. Będzie prototypem polityka, który od lat domaga się liberalizacji reżymu komunistycznego, aby potem nie przyjmować do wiadomości faktu, że na fali tej właśnie upragnionej liberalizacji powstały nowe siły i że uruchomiony został, i jest w trakcie, mechanizm demokratycznej sukcesji politycznej i wymiany elit w ZSSR.

W istocie nie chodzi o p. Cota, a o Zachód w ogóle. Ciągle nie jest on w stanie zrozumieć i pogodzić się z faktem, że historia nie kończy się na Gorbaczowie. Nikt rozumny nie kwestionuje zasług Gorbaczowa. Są nawet ludzie, którzy nie kwestionują jego pokojowej nagrody Nobla. Rządy zachodnie mają powody do udzielania pomocy Gorbaczowowi, który, od Afganistanu aż po zjednoczenie Niemiec, nie złamał, w zasadzie, słowa i nie przekreślił obietnic.

Nikt też nie chce niekontrolowanego, a zatem groźnego rozpadu państwa sowieckiego. Sporo polityków uważa zresztą, że przyszłość należy raczej do wielkich integrujących się organizmów polityczno-państwowych, że kiedy Europa zachodnia szuka w bólach spójni i nowych więzów, celowe byłoby utrzymanie w jakiejś formie, choć na nowych zasadach, także i Związku obecnie zwanego sowieckim.

Wiele osób, także w moim bliskim otoczeniu, nie ufa Jelcynowi, nie może sobie wyobrazić demokracji z prezydentem Jelcynem na czele. Ale czy tylko dlatego, że nie jest on sympatyczny lub nie odpowiada naszej wizji gentelmana, należy wobec

niego stosować taryfę specjalną, odmawiać mu domniemania niewinności, wytaczać mu, zanim w ogóle zaczął coś robić, proces o intencje? Czy nie byłoby karygodną lekkomyślnością z góry przekreślać jego szanse? No i jaką te same osoby mają gwarancję, że Gorbaczow zawsze będzie lojalny, że zawsze będzie chciał demokracji, że będzie kontynuował proces cywilizowania swego kraju, kiedy np. okaże się, że demokratyzacja zakłada, *à terme*, koniec imperium i jego własnej posady?

Dziś widać już gołym okiem, że okres Gorbaczowa-cudotwórcy się skończył. W swej obecnej postaci państwo sowieckie już się przeżyło, jest hamulcem postępu i reformy. Widać już, że rewolucje zjadają nie tylko swoje dzieci, ale i swoich ojców, zwłaszcza w Związku Sowieckim. I że wobec tego nie należy wygrywać jednego polityka sowieckiego przeciwko drugiemu, a rozmawiać z jednym i drugim, z dziewięcioma, z piętnastoma, nie wyrzucać ich za drzwi, a poważnie ich traktować. Widzieć w nich nie tylko tych, jakimi się wydają, ale tych jakimi będą: szefami niepodległych państw mającymi prawo głosu w ONZ.

W listopadzie ubiegłego roku można jeszcze było, na żądanie Gorbaczowa, wyrzucić Bałtów — i nie wpuścić Ukraińców — z sali szczytu europejskiego w Paryżu, który miał uchwalić i uchwalił *ausgerechnet* wielką kartę praw ludzi i narodów. Próby takiego traktowania dziś Rosjan to więcej niż zbrodnia, to błąd. Gorbaczow nie tylko już układa się z Jelcynem i wymienia z nim depesze gratulacyjne z okazji 1 maja, ale zawiera z nim nawet tajne porozumienia, z których wyraźnie wynika, że Gorbaczow sam rozumie, iż przyszłość leży w republikach, a nie w Moskwie. Nie chcą się z tym jednak pogodzić mocarstwa zachodnie.

Śmiać się nie ma z czego. W swym obecnym składzie ani parlament europejski ani p. Cot osobiście nie są w stanie wypracować stosownej do tej rzeczywistości strategii europejskiej. Ale w parlemencie ukraińskim w Kijowie spotkałem kogoś, kto już się nad tym zastanawia.

Pawłyczko zamiast Cota

Dmytro Pawłyczko urodził się na Ukrainie w roku 1929 (to nie był dobry rocznik w tamtych stronach świata), ale nie czekał na gorbaczowowską *głasnost* aby się zainteresować polityką. Pierwsze poważne ostrzeżenie otrzymał w roku 1957, kiedy wziął na serio pierwszą odwilż i wieszczo zauważył, że Torquemady mijały, ale więzienia zostawały.

Trzydzieści pięć lat później Pawłyczko nie zmienił zdania, ale działa w kierunku osłabienia rejonu promieniowania (jesteśmy

niedaleko Czarnobyla) tej prawdy. Dziś jest przewodniczącym ukraińskiej Partii Demokratycznej, jednym z założycieli i przywódców Ruchu, „parasola" głównych partii niepodległościowych i demokratycznych na Ukrainie. Jest także posłem do sowietu ukraińskiego w Kijowie, gdzie przewodniczy komisji spraw zagranicznych, i do sowietu sowieckiego w Moskwie.

A poza tym Pawłyczko jest poetą, tłumaczem literatury i poezji... polskiej, mówi płynnie po polsku ze śpiewnymi ukraińskimi naleciałościami i prawie lwowskim akcentem. Zna naturalnie *Kulturę* („paryską", jak mówi) i prasę polską, i słucha Wolnej Europy... po polsku, sam zresztą uczestniczy w programie ukraińskim z Monachium.

Kiedy dowiedział się, że mój pobyt w Kijowie został nagle skrócony, przyjechał natychmiast do hotelu, choć sam był przed odlotem do USA. Rozmowa trwała właściwie do jego odjazdu na lotnisko. Odbyła się 1 kwietnia, kiedy ani on, ani ja nie wiedzieliśmy naturalnie, jak się zachowa Mitterrand czy też, że Jelcyn zostanie „ojcem zadżumionych" wersja 1991. Tym bardziej warto poznać pogląd Pawłyczki, który twierdzi, że tak jak on myśli większość dzisiejszej elity ukraińskiej. Jeżeli to prawda, to historia nie tylko się nie kończy, ale dopiero się zaczyna. Dla Ukraińców. Ale także dla Rosjan. I dla Polaków.

Rozmowa z Pawłyczką wydała mi się najlepszym komentarzem do zachodnioeuropejskiej strategii, a raczej jej braku, wobec Gorbaczowa i Związku Sowieckiego w ogóle. Oto jej odredagowany zapis, dotyczący przede wszystkim spraw najbardziej wpisanych w obecny kontekst polityczny. Moje pytania, czy kwestie raczej, często polemiczne, są naturalnie bardzo skrócone. Odpowiedzi Pawłyczki, to także naturalne, są potraktowane z większym szacunkiem.

Dialog pod Czarnobylem

Leopold UNGER: — *W referendum 17 marca Ukraińcy głosowali w dziwny sposób: 70% za Związkiem proponowanym przez Gorbaczowa i 80% za niepodległością Ukrainy. To nielogiczne. Skąd ta sprzeczność?*

Dmytro PAWŁYCZKO: — Sprzeczność jest tylko pozorna. Ci, którzy głosowali za Związkiem, głosowali nie za Związkiem Sowieckim, a za czymś zupełnie innym. Za Związkiem koniecznym na okres przejściowy od komunizmu do demokracji, za wspólnotą kulturalną, wspólnym rynkiem, strefą wolnego handlu, federacją złożoną z państw suwerennych i niepodległych, zrzeszonych z własnej i nieprzymuszonej woli, wokół precyzyjnie

określonych potrzeb. Za Związkiem, który będzie mógł funkcjonować tylko pod warunkiem, że będzie pozbawiony możliwości narzucania decyzji i zmuszania do jej wykonywania.

L.U.: — *Bez rządu centralnego i aparatu wykonawczego?*

D.P.: — Bez żadnej władzy centralnej. Każdy będzie gospodarzem u siebie. Władza wykonawcza, rządy itd. będą wyłącznie w dyspozycji republik. Bez możliwości ich „zdublowania" czy okrążenia z zewnątrz. „Czapką" nad nimi może być jakaś rada Federacji złożona z prezydentów republik.

L.U.: — *Bez prezydenta Gorbaczowa?*

D.P.: — Kwestia jest otwarta. Może być prezydent Rady Federacji. Może nim być nawet Gorbaczow. On ma spore zasługi i na pewno jest godzien szacunku. No, ale będzie to prezydent o prerogatywach porównywalnych z tymi, jakie posiada królowa brytyjska. Dziś jest to, niestety, mało realne. Gorbaczow sprzeniewierzył się swym początkowym ideom, bije się dziś nie o zdemontowanie imperium, a o jego utrzymanie, a nawet ulepszenie. Jest to zarówno niemożliwe, jak i całkowicie sprzeczne z naszymi aspiracjami.

L.U.: — *Pozostawicie mu jednak politykę zagraniczną, wojsko i pieniądze?*

D.P.: — Nie leży to w naszych zamiarach. Politykę zagraniczną prowadzić będą republiki. To one będą podmiotami prawa międzynarodowego. Ukraina jest jednym z największych, najstarszych i potencjalnie najbogatszych krajów Europy. My mamy nasze ukraińskie cele i interesy w sferze polityki międzynarodowej.

L.U.: — *Ale nie pozwolono wam, ani Bałtom zresztą, na obecność, nie mówiąc już o udziale, w szczycie europejskim w listopadzie ubiegłego roku w Paryżu. Bałtów usunięto z sali, was nawet nie wpuszczono.*

D.P.: — To prawda. My odmówiliśmy udania się do Paryża w ramach delegacji sowieckiej, a Francuzi zachowali się tak, jakby nas w ogóle w Paryżu nie było. Ale byliśmy w kuluarach i coś nie coś zdziałaliśmy. Lekceważenie Bałtów czy nas to naturalnie błąd, ale Zachód też nie jest w łatwej sytuacji, jest rozdarty mię-

dzy poparciem dla Gorbaczowa a realiami końca imperium. Nie bardzo wie, jak się zachować, a nas jeszcze nie słucha. Ale już coś się rusza. Pomijając sferę stosunków z innymi republikami (to inny temat), naszym celem na krótką metę jest doprowadzenie do stosunków *de facto* dyplomatycznych lub prawie dyplomatycznych przede wszystkim z sąsiadami: Polską, Czechosłowacją itd., a także z krajami, w których żyje silna diaspora ukraińska: USA, Kanada, Francja, Anglia, Australia. Kreml nam proponuje miejsce dla Ukrainy w ramach ambasad ZSSR. Jesteśmy pragmatykami i tam gdzie nie mamy innych możliwości, godzimy się i na to. Ale u sąsiadów i tam gdzie możemy liczyć na diasporę, tam chcemy się zainstalować samodzielnie i oddzielnie.

L.U.: — *Macie przecież misję ukraińską w ONZ. Kto was tam reprezentuje?*

D.P.: — To Ukrainiec, ale mianowany naturalnie przez Kreml. Zaczniemy go powoli emancypować... W Waszyngtonie będziemy mieli niedługo własną siedzibę, republika rosyjska zresztą także.

L.U.: — *No a wojsko?*

D.P.: — Każdy kraj niepodległy powinien mieć własne wojsko. Już teraz nasi poborowi odbywają służbę tylko na terytorium Ukrainy i w żadnym razie nie mogą być użyci do gaszenia wewnętrznych, np. etnicznych, konfliktów w ZSSR. Naturalnie są wyjątki. Rosjanie żyjący na Ukrainie mogą służyć gdzie indziej. No i ukraińscy ochotnicy, np. do lotnictwa czy oceanicznej marynarki, mogą służyć poza granicami Ukrainy, chociaż flota czarnomorska, to znaczy nasza, w niedalekiej przyszłości, mogłaby wystarczyć.

L.U.: — *No a guzik atomowy? To prawdziwy postrach świata. Czy zamiast ZSSR świat będzie miał do czynienia z piętnastoma państwami dysponującymi bronią atomową?*

D.P.: — Nie. My proponujemy, aby cały arsenał nuklearny przeszedł do dyspozycji Republiki Rosyjskiej. Sprawa będzie jasna. To i tak generałowie rosyjscy kontrolują ten arsenał, a Federacja Rosyjska i tak będzie największym i najpotężniejszym wojskowo państwem w Europie.

L.U.: — *A Rosja się zgodzi?*

D.P.: — To jej sprawa. My atomu nie chcemy. Ani cywilnego, ani wojskowego. Na Ukrainie i na Białorusi opad, dosłownie i w przenośni, po Czarnobylu można porównać tylko z opadem jaki pozostawiła w Europie druga wojna światowa, a w Japonii bomba z Hiroszimy. To wystarczy. Jeżeli chodzi o bombę, to stanowisko Ruchu jest kategoryczne: Ukraina będzie państwem neutralnym, bez broni atomowej. Przeciwko komu?

L.U.: — *To nie wystarczy, aby uspokoić Zachód.*

D.P.: — No to co mamy zrobić? Zachód jest ciągle pod wrażeniem zaskakującego żywiołowego i niekontrolowanego rozpadu imperium we Wschodniej Europie. Boi się więc przyczynić do podobnego wybuchu w ZSSR, do żywiołowego rozpadu imperium wewnętrznego, do destabilizacji ZSSR.

L.U.: — *Może i boi się, ale przede wszystkim nie wie, jak pomagać w emancypacji republik, a zarazem uniknąć implozji Związku?*

D.P.: — Zachód powinien powoli nasilać model dyplomacji podwójnej, rozległej wobec ZSRR i republik. Trzeba, naturalnie, przez jakiś czas jeszcze utrzymywać stosunki z ZSSR i jego prezydentem, np. Gorbaczowem, ale należy skupiać coraz większą uwagę na republikach. Trzeba z nami podpisywać możliwie największą ilość rozmaitych umów międzynarodowych, gospodarczych, kulturalnych, wszystkich innych.

L.U.: — *Czekając, aż się wszystko rozleci...*

D.P.: — My też nie chcemy, aby imperium się rozleciało nagle, gwałtownie wybuchło od środka. Jeśli nastąpiłaby niekontrolowana reakcja łańcuchowa w imperium sowieckim, jeżeli ten ogromny gmach wyleciałby w powietrze, tak jak dach nad reaktorem nr 4 w Czarnobylu, to gruzy opadłyby wszędzie, nie wiadomo nawet gdzie, nie tylko u nas. Interweniowałaby może armia sowiecka, wróciłaby może nie tylko do nas, ale i sąsiadów, Polski czy Czechosłowacji, i to nie na krótko. Zachód nie rozumie, że jeżeli obecny system przetrwa, jeżeli przeżyje obecne konwulsje, to pozostanie groźbą dla świata na bardzo długi okres. Jest tylko jedna rada: niepodległość republik. Tylko niezależna Rosja, Ukraina, Bałtowie czy Gruzja mogą wyeliminować ostatecznie imperialne niebezpieczeństwo komunistyczne.

L.U.: — *A co wy zrobicie z komunistami?*

D.P.: — *That is the question.* Związek Sowiecki to jedyny kraj uprzemysłowiony, gdzie partia komunistyczna, która zniknęła praktycznie jak w Polsce, czy moralnie i ideowo jak we Francji, nie tylko przeżyła, ale nabiera na nowo znaczenia i siły. Dzieje się tak dlatego, że w ZSSR partia nie jest komunistyczna (jest absolutnie pusta ideowo), a państwowa. To partia-państwo, to maszyna do rządzenia, to instrument zachowania imperium. Dlatego zresztą Gorbaczow, który przede wszystkim stara się uratować państwo-imperium, nadal jest sekretarzem generalnym tej partii. Partia będzie tak długo żyć, jak długo istnieć będzie imperium.

L.U.: — *Zdelegalizujecie u Was partię komunistyczną?*

D.P.: — Nie godzimy się na istnienie partii politycznej kierowanej i finansowanej zza granicy. W tej sytuacji jest tylko partia komunistyczna Związku Sowieckiego. Natomiast ukraińska partia komunistyczna zajmie takie miejsce, jakie jej dadzą wyborcy, w normalnej ukraińskiej przestrzeni politycznej, demokratycznej i pluralistycznej.

L.U.: — *Trudno uwierzyć. Ukraińcy nie mają dobrej reputacji na świecie. Oskarża się Was o szowinizm, nacjonalizm, antysemityzm. Czy nie zachodzi ryzyko, że niepodległość, widać to na innych przykładach, zaostrzy te resentymenty?*

D.P.: — Wiem, że nie mamy dobrej opinii. Ale to klisze. Ciągle żyjecie wspomnieniami o niedobrych czasach, kiedy rzeczywiście prześladowano tu nie tylko zresztą Żydów, ale Żydów specjalnie. Była to część dobrze wam znanej, tradycyjnej, prymitywnej i reakcyjnej operacji kozła ofiarnego, często zresztą inspirowanej z Rosji, nakładającej się na wszystkie typy kryzysów, których nigdy tu nie brakowało. Ciągle się to odzywa, nie tylko u nas. Za granicą, w Polsce, choć tam w ogóle nie ma już Żydów — też. Także w naszej diasporze. Obecna masowa emigracja Żydów z Ukrainy to dla mnie osobiście i dla moich przyjaciół prawdziwa tragedia. Bez Żydów państwo ukraińskie będzie okaleczone. Żydzi stanowili bardzo istotną część składową ukraińskiej kultury i historii, są obecni w całej duchowej spuściźnie ukraińskiej. Ukraina była przecież kolebką kultury żydowskiej, *yidish* przede wszystkim. Wystarczy wspomnieć Szolema Alejchema. Ruch uważa likwidację antysemityzmu za jedno ze swoich naczelnych zadań. To Ruch inspirował powstanie Stowarzyszenia Żydów Ukrainy, do którego, choć nie jestem Żydem, sam także należę. Niech nam demokraci zaufają: antysemityzm

nie jest częścią świadomej polityki elity ukraińskiej. Niepodległa Ukraina wyzwoli się z tej trucizny.

L.U.: — *A Polacy?*

D.P.: — To inny wymiar. Ja wiem, że są Polacy, którzy się obawiają niepodległej Ukrainy. Niesłusznie. Trzeba wyjść ze spuścizny trylogii Sienkiewicza. Dla nas Bandera nie jest źródłem inspiracji ideowej. Tysiąc lat zabijania się wystarczy. Czas zmądrzeć i żyć godziwie, po sąsiedzku. Inaczej inni nas zjedzą.

L.U.: — *A Rosjanie?*

D.P.: — Ci, którzy będą chcieli żyć w niepodległej Ukrainie, będą naturalnie traktowani jak wszyscy obywatele. Zresztą, za niepodległością Ukrainy głosowały masowo w czasie referendum miasta „rosyjskie", to znaczy zamieszkałe, tak jak np. Sewastopol, w większości przez Rosjan. Oni także mają już dosyć życia po sowiecku.

L.U.: — *No to co Pan proponuje?*

D.P.: — Uznajcie oficjalnie na początek państwa bałtyckie...

L.U.: — *...nawet Polska tego nie zrobiła...*

D.P.: — To błąd. Trzeba to zrobić. Gorbaczowowi to ani nie pomoże ani nie zaszkodzi, a prawu i sprawiedliwości stanie się zadość. No i wielki proces ruszy z miejsca. Potem będzie łatwiej nawiązać stosunki, mniejsza o nazwę, ale bliskie i praktyczne, z tymi republikami, które już proklamowały niepodległość, jak np. Gruzja.

L.U.: — *No a w Rosji?*

D.P.: — W Rosji należy poprzeć Jelcyna.

L.U.: — *Czy Pan mu ufa?*

D.P.: — Tak. Znam go. Byłem jednym z sygnatariuszy pierwszego układu rosyjsko-ukraińskiego, podpisanego m.in. przez Jelcyna. To pierwszy, od długiego czasu, Rosjanin wielkiego kalibru.

Wzdychanie Mitterranda

To nie przypadek, że spisywanie rozmowy z Pawłyczką zakończyłem czy przerwałem na osobie Jelcyna. Następnym razem, kiedy Pawłyczko będzie w Paryżu, prezydent Mitterrand powinien skorzystać z okazji i porozmawiać z tym Ukraińcem. Ale nie ukradkiem i na chybcika. Będzie to rozmowa na pewno ciekawsza i bardziej pożyteczna niż rozmowa np. z p. Jean-Pierre Cotem.

Prezydent Mitterrand był tym politykiem zachodnim, który, zresztą z okazji wydarzeń w Polsce w grudniu 1981, głęboko wzdychając, bez większych złudzeń wyraził pogląd, że *czas już zacząć wychodzić z Jałty*. No i, prędzej niż on sam i ktokolwiek inny się spodziewał, *wyszło się*.

Prezydent Mitterrand powinien teraz westchnąć, że *czas już zacząć wychodzić z imperium*. Może mu się znowu uda. Ale rady szukać powinien nie u pana Cota, a u pana Pawłyczki.

Pisane 8 maja 1991

LEOPOLD UNGER

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Kraj

Bezpieczeństwo Polski

STRESZCZENIE ZAGAJENIA WYGŁOSZONEGO PODCZAS DYSKUSJI U PANI MAŁGORZATY BOCHEŃSKIEJ, W SALONIE 101, W WARSZAWIE W STYCZNIU 1991 r.*

O wyborze tematu zdecydowały okoliczności. Po pierwsze rozwój sytuacji wokół Polski i wewnątrz kraju budzi niepokój. Po drugie, z racji swej pracy stykam się stale z problemami bezpieczeństwa kraju.

Teza, którą pragnę rozwinąć, brzmi krótko: kraj nasz jest dziś w sytuacji narastających zagrożeń i niewystarczających przygotowań obronnych.

Zacznę od spraw obrony. Ogólnie można powiedzieć, że system bezpieczeństwa w kraju tworzą:

1) władze kraju, tj. kierownictwo państwa,
2) wola obrony panująca w społeczeństwie,
3) środki obrony oraz system jej funkcjonowania.

We wszystkich tych trzech wymiarach sytuacja, moim zdaniem, przedstawia się źle.

Ad 1

Obecny rząd jest koalicyjny, niespójny i rozbity na zwalczające się grupki. Są w jego składzie również i tacy ludzie z daw-

* Ze względu na obecność na spotkaniu wielu osób zajmujących wysokie stanowiska w rządzie i partiach politycznych, nie podajemy nazwiska autora wystąpienia ani treści dyskusji, która nastąpiła po wygłoszeniu zagajenia.

nego reżimu, na których lojalność w trudnej sytuacji, a nawet dziś, trudno liczyć. Panuje chaos w sferze przygotowań obronnych, w kierowaniu pracami z zakresu bezpieczeństwa kraju. Jest za dużo organów odpowiadających za te problemy. Jest prezydent, jest KOK, czyli obecna Rada Bezpieczeństwa Narodowego wraz z Biurem Bezpieczeństwa Narodowego, funkcjonuje Komisja Reformy Systemu Obronnego przy premierze powołana w grudniu. Jest w końcu odpowiedzialna za sprawy obronności Rada Ministrów, a w jej składzie minister kierujący MON. Mamy więc pięć elementów, które próbują wywierać wpływ na decyzje lub decydować w sferze obrony. Struktury te, moim zdaniem, wzajemnie sobie przeszkadzają.

Ad 2

Odnośnie punktu drugiego, tj. woli obrony w społeczeństwie, uważam, że nasze społeczeństwo jest zmęczone, złamane i patriotycznie rozbrojone. Lata komunistycznego ucisku wyczerpały zarówno masy, jak i kadrę polityczną. Zastanówmy się, ilu wartościowych opozycjonistów odpadło, wyjechało, popadło w jakieś obsesje bądź uciekło w prywatną inicjatywę. Uważam, że ponieśliśmy bardzo duże straty, straty niekrwawe, w ludziach. Trudności życia codziennego, napięcia, konspiracja wypalają ludzi. Popatrzmy, co się stało z takimi ludźmi jak Gwiazda, Jaworski, Walentynowicz, Morawiecki. Przecież to są wartościowi ludzie i bardzo oddani krajowi, którzy po prostu nie odnaleźli się w obecnej sytuacji i nie wiem, czy uda się dla nich znaleźć jakieś miejsce. Zniszczyły ich, po prostu, warunki konspiracyjne, zniszczyła ich walka. Są to, moim zdaniem, straty ostatnich kilkunastu lat.

W końcu społeczeństwo jest złamane, zwłaszcza młodzież. Istotną przyczyną tego jest fakt, że odmawiano młodemu pokoleniu w stanie wojennym prawa do oporu, prawa do obrony, a przez to nastąpiło zakwestionowanie sensu walki, sensu poświęcenia dla kraju. Opór czynny jest czymś zupełnie innym niż opór cywilny i stąd twierdzę, że społeczeństwo jest rozbrojone. Przez wiele lat opozycyjna elita polityczna uprawiała zamiast refleksji politycznej moralizatorstwo. Zamiast wpajać przekonanie, że skrzywdzony ma prawo się bronić, namawialiśmy ludzi do pokory, do wybaczania, do modlitwy, do edukacji, do wydawania gazetek. To wszystko ma swoje skutki, wpłynęło na świadomość polityczną, a w konsekwencji wypaczyło polski patriotyzm. I w końcu za czasów premiera Mazowieckiego i ministra Skubiszewskiego wmówiono społeczeństwu, że rozbicie komunizmu oznacza, że kraj jest już zupełnie niepodległy, zupełnie suwerenny i że zniknęły wszelkie zagrożenia, a państwo jest nasze. Tak jednak nie jest. Otóż twierdzę, że mamy do czynienia z demobilizacją społeczeństwa, a tymczasem kraj nasz, wydaje mi się, jest zagrożony i to również militarnie.

Ad 3

Trzeci element systemu obrony, to sprawa środków i systemu obrony. Otóż siły naszej armii nie da się opisać wyłącznie podaniem ilości dywizji, czołgów, samolotów, rakiet. Warto pamiętać, że siła każdej armii jest kombinacją czynników wojskowych i pozawojskowych. W obu tych sferach jest źle. Armia ma za mało żołnierzy, a przede wszystkim podoficerów. Generałowie są nie tacy, jakich potrzebujemy, zaś korpus oficerski jest rozczarowany, bo nie zrobiono debolszewizacji w wojsku. Armia nasza jest źle rozśrodkowana, dyslokacja wojsk na terenie kraju jest błędna. Jesienią 89 roku pod wpływem nastrojów pacyfistycznych rozwiązano dwie brygady, które chroniły wschodnich granic Polski. Dzisiaj te brygady są bardzo potrzebne i dlatego należy je odtwarzać, a to oczywiście wymaga zarówno pieniędzy, jak i czasu. Armia jest źle uzbrojona. Brakuje jej przede wszystkim uzbrojenia i sprzętu nowoczesnego. Nie mamy doktryny obronnej odpowiadającej obecnej sytuacji, jak również właściwych planów strategicznych.

Jeśli idzie o pozawojskowe elementy obrony, to wspomnę o niektórych. Po pierwsze, system rezerw państwowych. Jego istnienie i funkcjonowanie jest zagrożone. Ministerstwo Rynku Wewnętrznego, które było dysponentem rezerw państwowych, ulega rozwiązaniu. Obawiam się, że przy fuzji z Ministerstwem Przemysłu rezerwy te mogą ulec likwidacji. Wszelkie próby wszczynania alarmu, że konieczne jest na przykład utrzymywanie pewnych zapasów strategicznych są daremne: nikogo to nie obchodzi. Dziś wojsko nie jest w ogóle zainteresowane ani odpowiedzialne za to, czy jest odpowiednia ilość surowców do produkowania materiałów wybuchowych, czy też jej nie ma. Jest to sprawa, która leży w gestii Ministerstwa Przemysłu. Z kolei to ministerstwo ma mało pieniędzy i jest zainteresowane w tym, żeby magazyny, w których przechowywane są zapasy, po prostu zlikwidować. Nie uwzględnia przy tym pytania, czy są one potrzebne na czas wojny czy nie, lecz tylko ile kosztują. Otóż obserwujemy tu kolosalny partykularyzm przemysłu w dążeniu do fałszywie pojmowanych oszczędności.

System obrony cywilnej jest całkowicie rozbity. Nie ma przepisów, które pozwalają określić zadania wojewodów, samorządów lub dyrektorów przedsiębiorstw. Budżet centralny nie daje na obronę cywilną wystarczających środków. Wojewodowie, samorządy i przedsiębiorstwa są samodzielni i właściwie robią łaskę, że zajmują się sprawami obronnymi. Można natomiast powiedzieć, że uczyniliśmy jeden wielki krok naprzód w dziedzinie przemysłu zbrojeniowego, a mianowicie zerwaliśmy formalne więzi ze Związkiem Sowieckim w zakresie przemysłu obronnego. W grudniu 1990 r. polska delegacja wycofała nasz kraj z tak zwanej Stałej Komisji RWPG do Spraw Współpracy w zakresie Przemysłu Obronnego. Oczywiście trzeba sobie zdawać sprawę z faktu, że więzi faktyczne oraz pewne uzależnienia będą jeszcze trwały przez szereg lat. Nasze fabryki korzystają wciąż z sowieckich licencji, są często poddostawcami produktów montowanych w Związku Sowieckim, jak również potrzebują dostaw części ze Związku Sowieckiego. Nasza armia ma z kolei sprzęt sowiecki. Obecnie jesteśmy za biedni, żeby ten sprzęt natychmiast wyrzucić, musimy z niego korzystać, a do tego potrzebne są nam części sowieckie. Mamy dokładny spis tego, co nam jest potrzebne, wiemy które części jesteśmy w stanie sami robić, które możemy kupić zastępczo na Zachodzie. Ewentualne embargo ze strony sowieckiej na części niezbędne przy remontach może być groźne, lecz sądzę, że jesteśmy w stanie sobie z tym poradzić, chociaż będzie to nas trochę kosztowało. Jednocześnie sądzę, że im szybciej takie embargo by nastąpiło, tym szybciej pozbylibyśmy się pewnych złudzeń. Od grudnia ubiegłego roku nie ma zwierzchniej sowieckiej kontroli nad polskim przemysłem zbrojeniowym. Nasze przedsiębiorstwa „S" mogą kooperować z kim chcą, mogą uruchamiać każdą produkcję, dla której jest zapotrzebowanie w kraju lub za granicą. Nie musimy pytać Moskwy o zgodę. Dziś głównym problemem naszego przemysłu zbrojeniowego jest utrzymanie mocy wytwórczych w warunkach spadku zamówień. Zdolności produkcyjne przemysłu zbrojeniowego są wykorzystywane średnio w 40%, zaś w niektórych przypadkach nawet w kilkunastu procentach. Utrzymanie tych nieczynnych mocy produkcyjnych w zakładach „S" kosztuje. Fabryki muszą płacić podatki od gruntów, budynków, pokrywać koszty konserwacji parku maszynowego. Przedsiębiorstwa mające status przedsiębiorstwa przemysłu obronnego, to grupa około 100 zakładów. Ponadto funkcjonują tak zwani producenci wyrobów finalnych typu „S", których ilość wynosi około 120-tu. Przedsiębiorstwa obu tych grup posiadają obecnie całkowitą samodzielność. Wobec tego jeżeli państwo nie zapewni im zamówień lub zwrotu ponoszonych kosztów, to mogą wejść w różne spółki, zamknąć działy produkcji wojskowej bądź sprywatyzować się. W ten sposób stracimy bezpowrotnie istniejące moce produkcyjne w przemyśle obronnym. Próby uzyskania środków finansowych na ratowanie części potencjału przemysłu obronnego napotykają na mur niechęci i niezrozumienia ze strony Ministerstwa Finansów. Nie jest to tylko mur niechęci polegający na dążeniu do oszczędności, na skąpstwie, jest to niezrozumienie podstaw suwerenności oraz faktu, że przemysł zbrojeniowy jest czynnikiem bezpieczeństwa kraju. Doszło do tego, że Polska weszła w obecny rok bez tak zwanego planu RO, czyli planu dostaw na czas wojny, przy czym ten plan powinien być opracowany jesienią 1990 r. Jego przygotowanie zostało zablokowane przez Ministerstwo Finansów. Na to, żeby złamać tę blokadę, trzeba by ominąć jego szczebel. W tym celu doprowadzono w połowie grudnia ubiegłego roku do podjęcia specjalnej decyzji KOK.

Może to dziwne, ale uchwałę KOK-u, która umożliwiała podjęcie przygotowań planu mobilizacji gospodarki na czas wojny, podpisał Jaruzelski, człowiek który akurat doskonale rozumiał, czym jest zostawienie armii bez planu mobilizacji gospodarki na czas zagrożenia. Zatem część kłopotów przemysłu zbrojeniowego to spadek zamówień, inne wynikają z braku środków na utrzymanie mocy produkcyjnych w zakładach zbrojeniowych, koniecznych na czas zagrożenia. Jeżeli nie znajdziemy na to środków, to utracimy potencjał, który komuniści zbudowali. Jestem zdania, że teraz, kiedy wyrwaliśmy się z bloku wschodniego, na nasz kraj i na nasz system obronny spływają nowe, większe zadania. Jednym słowem uważam, że nie możemy dopuścić do sytuacji, w której nastąpi likwidacja bądź nadmierna redukcja potencjału przemysłu obronnego. Przemysł ten musimy modernizować, a być może powinniśmy go nawet wzmacniać. Po prostu zwiększona suwerenność wymaga zwiększonych wysiłków. Kiedy byliśmy satelitą Moskwy, nie odpowiadaliśmy za bezpieczeństwo naszego kraju. Obecnie na nas spoczywa pełna odpowiedzialność za zachowanie zdolności obronnej i suwerenności Polski.

●

Przedstawiłem szereg elementów, które składają się na system bezpieczeństwa kraju. Ich analiza skłania mnie do negatywnej oceny czynników zabezpieczających obronność naszego kraju. Uważam również, że zachowujemy się obecnie tak, jak gdyby Polsce nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Odpowiednio do takiej oceny traktujemy nasz stan przygotowań obronnych. Można jednak zapytać, czy rzeczywiście naszemu krajowi nic nie grozi. Odpowiedź na tak sformułowane pytanie będzie miała

decydujące znaczenie dla polityki obronnej państwa, bowiem przygotowania obronne muszą być proporcjonalne do zagrożeń.

Coraz więcej przesłanek przemawia za tym, że kończy się okres stabilizacji w Europie. Związek Sowiecki odrzuca dotychczasowe porozumienia o kontroli i redukcji zbrojeń. Postępujący rozpad imperium grozi dalszym wzrostem chaosu na Wschodzie. Trwa tam również militaryzacja systemu politycznego. Rzeczywista władza w Związku Sowieckim znajduje się pod rosnącym wpływem KGB i wojska. Wydaje się, że polityka Gorbaczowa ponosi klęskę, gdyż za dużo dokonywał on zmian, a za mało umacniał przeprowadzone reformy. Oczywiste jest, że siły policyjno-wojskowe nie rozwiążą żadnego problemu ekonomicznego ani politycznego w Związku Sowieckim. Związek Sowiecki będzie krajem pogłębiającego się kryzysu, rządzonym metodami policyjnymi. Niestety, jest to jednocześnie kraj silnie uzbrojony i sąsiadujący z nami. Wiarygodna wydaje się hipoteza, że Związek Sowiecki wszedł w etap umacniania stagnacji politycznej i gospodarczej. Jednocześnie nie ma żadnych przesłanek do przypuszczeń, że oficerowie, którzy przejmują tam wpływy, spełnią taką samą rolę jak oficerowie brazylijscy lub tureccy, to znaczy potrafią wyprowadzić swój kraj na drogę rozwoju. Przedmiotem mojej troski jest jednak nie to, co w tej chwili dzieje się wewnątrz Związku Sowieckiego, lecz to, że zmiany, które tam obserwujemy, negatywnie odbijają się na jego polityce zagranicznej. Porozumienia rozbrojeniowe, które Związek Sowiecki podpisał z Zachodem, znajdują się prawie w koszu. Powoduje to, że nasza sytuacja międzynarodowa ulega bardzo gwałtownemu pogorszeniu. Obawiam się, że mamy przed sobą tylko miesiące spokoju. Pierwsze sygnały niebezpieczeństwa miały już miejsce. Mam na myśli m.in. odmowę wycofania z Polski jednostek armii sowieckiej w terminie uzgodnionym z rządem RP. Przypomnę, że w styczniu br. mieliśmy do czynienia z sowieckim ultimatum, a właściwie z werbalną groźbą agresji na Polskę. Przedstawił ją generał Dubinin w towarzystwie I-go wiceministra obrony narodowej Związku Sowieckiego. Przy czym generał Dubinin spełnia podwójną rolę. Jest on bowiem nie tylko dowódcą Północnej Grupy Wojsk Armii Sowieckiej, które stacjonują w Polsce, lecz także pełnomocnikiem rządu sowieckiego do wycofania wojsk sowieckich z Polski i tranzytu z RFN. Ultimatum miało miejsce 10 stycznia br. Następnie wydał on rozkaz, w którym informował swoich oficerów i żołnierzy, że armia sowiecka będzie postępować w Polsce tak, jak będzie chciała i wyjdzie wówczas, kiedy będzie chciała i jak będzie chciała. Nadszedł czas, aby zapytać, co to wszystko znaczy. Co na to polski rząd? Otóż wydaje się, że jest to próba

powrotu do polityki siły wobec Zachodu i wobec Polski. Jest to jednocześnie próba utrzymania wobec Polski nie tylko kontroli politycznej, lecz i militarnej. Należy się liczyć z najróżniejszymi prowokacjami. Może na przykład powstać „Komitet Ocalenia Publicznego w Polsce", mogą się uaktywnić siatki dawnych agentów. Nie tak dawno mieliśmy do czynienia z prowokacją, która polegała na tym, że strona sowiecka usiłowała przeprowadzić przez Polskę, pod pretekstem transportu humanitarnego, transporty wojskowe. Możemy się spodziewać, że lada dzień transport taki będzie usiłował wjechać do Polski w eskorcie czołgów. Jednym słowem, wojska sowieckie będą usiłowały przejeżdżać przez Polskę bez naszej zgody. Przypomnę przy tej okazji, że armia sowiecka ogłosiła na terenie Litwy jednoznacznie, że nie obowiązuje jej nawet konstytucja Związku Sowieckiego: żołnierzy armii sowieckiej obowiązują wyłącznie regulaminy wojskowe. Przedstawiciele Północnej Grupy Wojsk AR twierdzą również, że nie mają obowiązku przestrzegać polskiego prawodawstwa. Jednocześnie całkowicie ignorują postanowienia polskich władz. Zasadniczy wniosek wynikający z tego sformułuję krótko: obawiam się, że czas rokowań ze Związkiem Sowieckim skończył się. Myśmy ten czas przegapili. Jesteśmy, jak państwo wiedzą, za Niemcami, za Czechosłowacją, za Węgrami, a nawet za Mongolią, jeśli chodzi o termin wycofania wojsk sowieckich. Wszystkie wymienione kraje, przynajmniej na papierze, uzgodniły czas i sposób wycofania się wojsk sowieckich z ich terytorium. My nie załatwiliśmy tych problemów nawet od strony traktatowo-prawnej. Sądzę, że nowej polityki wschodniej już nie będzie. W chwili obecnej nie powinniśmy się zatem koncentrować na rokowaniach ze Związkiem Sowieckim, lecz na tym, w jaki sposób bronić kraju przed sowieckim dyktatem. W tej sytuacji powstaje zasadnicze pytanie, jak należy dalej postępować. Sądzę, że mamy do wyboru dwie orientacje, orientację Bolesława Piaseckiego albo Józefa Becka. Otóż, możemy dążyć do utrzymania dobrych stosunków z Kremlem za każdą cenę i skarżyć się werbalnie na to, że jednostki armii sowieckiej naruszają w Polsce przepisy drogowe. Alternatywną postawą jest przeciwstawianie się obcej sile z całą stanowczością. Pragnę podkreślić przy tym, że presja sowiecka nie musi oznaczać obalenia obecnych władz naszego kraju. Rosjanom wystarczy, że obecne władze staną się posłuszne wobec Kremla. Są już sygnały świadczące o miękkości rządu znajdującego się pod wpływem liberałów, rośnie liczba proradzieckich niekomunistów u władzy.

Kwestionuję również tezę naszego MSZ, która głosi, że w miejsce teorii dwóch wrogów możemy wprowadzić teorię dwóch bliskich sąsiadów. Zwłaszcza jeden z tych sąsiadów, sąsiad na Wschodzie, zaczyna pokazywać pazury. Ze strony Związku So-

wieckiego grozi nam, moim zdaniem, powrót do doktryny Breżniewa ograniczonej suwerenności krajów Europy Wschodniej. Polityka zagraniczna Związku Sowieckiego zmienia się z dnia na dzień. Obserwujemy, że coraz większą rolę w jej kształtowaniu odgrywają siły wojskowe. Nawet na terenie Polski siły te zaczęły przejmować pewne funkcje ambasad. Dowódcy sowieccy usiłują prowadzić korespondencję z polskim MSZ-tem. Jest to sytuacja, jakiej nigdy dotąd nie było.

W kontekście powyższych rozważań pragnę przypomnieć, że budżet militarny Związku Sowieckiego, mimo głębokiego kryzysu ekonomicznego, został zwiększony. Otóż nie łudźmy się. Wydatki militarne tego kraju nie wzrosły po to, żeby zdobywać środki do rozbijania stacji telewizyjnej w Wilnie czy w jakiejkolwiek innej republice. Można natomiast sądzić, że w Związku Sowieckim zwyciężyła następująca teza: skoro Zachód prowadzi otwartą, jawną wojnę na Bliskim Wschodzie, to Związek Sowiecki może zdjąć maskę Rycerza Pokoju. Przy czym Europa Wschodnia nie jest Związkowi Sowieckiemu potrzebna jako przedpole strategiczne. Przy współczesnych środkach walki nie jest to takie istotne. Nie jest to również potrzebne dla zaspokojenia sowieckich ambicji imperialnych. Dążenie do ponownego podporządkowania sobie krajów Europy Wschodniej wynika z faktu, że znajduje się w nich 100 milionów ludzi oraz znaczny potencjał produkcyjny i gospodarczy. Gospodarka sowiecka, która jest w stanie załamania, na dłuższą metę nie udźwignie dotychczasowych zbrojeń, nie mówiąc już o większych. Podejmowane będą zatem próby wymuszania środków od innych krajów, a więc — jak sądzę — także próby utrzymania dotychczasowego *status quo*, utrzymania Polski i wszystkich innych byłych KS-ów w zależności. Ostatnio grupa marszałków, generałów i wyższych dowódców armii sowieckiej z różnych okręgów zażądała usunięcia Jelcyna z zajmowanych przez niego funkcji. Jest to pierwszy od lat jawny bunt armii w Związku Sowieckim. Jest to bunt armii przeciwko władzom cywilnym. Obojętnie co się o tym myśli, władze te znajdowały się pod wpływem społeczeństwa. Szanse na to, że Gorbaczow, Jelcyn czy ktokolwiek inny zdoła zrobić czystkę i usunie ambitnych generałów, są minimalne. Żaden cywilny polityk w ZSSR nie ma dostatecznej siły i środków, żeby to uczynić. Nie chcę występować w roli obsesjonata, który sądzi, że zło grozi nam tylko ze Wschodu. Występują także pewne niebezpieczeństwa i zależności naszego kraju ze strony Zachodu. Mają one przede wszystkim charakter polityczny i ekonomiczny. Wyrazem tego jest np. luka technologiczna, uzależnienie kredytowe czy problem zadłużenia. Ma także miejsce zależność intelektualna większości naszych ekonomistów od polityki Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Niezmiernie istotne jest również to, że Zachód, obawiam się, nie zechce udzielić nam poparcia politycznego, wzmacniającego naszą pozycję w stosunku do Związku Sowieckiego. Zachód woli nie drażnić Kremla i nie będzie gotów poprzeć jednoznacznie naszej polityki niezależności wobec Związku Sowieckiego.

Zagrożenia zewnętrzne nie wyczerpują spraw, które powinny być przedmiotem refleksji nad dalszymi losami naszego kraju. Państwo doskonale wiedzą, jak wygląda sytuacja polityczna wewnątrz kraju. Brak na przykład wykrystalizowanych struktur partyjnych i politycznych. Fakt, że polityka u nas kojarzy się z pospolitym ruszeniem, jest kolosalną słabością. Powoduje to, że wybory parlamentarne, które mają się odbyć za parę miesięcy, są właściwie „czarną dziurą". Obecnie nikt nie potrafi przewidzieć, jak będzie wyglądała sytuacja po wyborach, kto będzie rządził krajem, jacy ludzie, jakie partie i w jakim kierunku. Występowanie tak dużego obszaru niepewności uważam za zjawisko groźne. Osobną sprawą jest sprawa kalendarza wyborczego, który nie jest skorelowany z przebiegiem procesów gospodarczych. Ekonomizacja cyklu wyborczego i politycznego jest zjawiskiem znanym na całym świecie co najmniej od pierwszej wojny światowej. Tymczasem w Polsce, w okresie gdy zbliża się termin wyborów, produkcja spada, zaś rosną ceny. Co więcej — mimo że w ustawie budżetowej zapisano 5-procentowy wskaźnik wzrostu gospodarczego, można już dzisiaj otwarcie powiedzieć, że żadnego wzrostu ekonomicznego w tym roku nie będzie, będzie natomiast pogłębiająca się recesja. Jak mają być zatem przeprowadzone wybory w tej sytuacji? Czy można przewidzieć kto je wygra? Ta sytuacja jest wręcz niepokojąca. Dzisiaj biednieje nie tylko społeczeństwo, ale biednieje również państwo. Brakuje nam coraz częściej środków na zaspokojenie podstawowych potrzeb społecznych, przy czym potrzeby te nie są wygórowane i utrzymują się na nie zmienionym poziomie. Państwo traci zdolność do ich zaspokojania. Recesja prowadzi do sytuacji, w której nie tylko pojedynczym osobom i rodzinom żyje się gorzej, lecz również do tego, że zaczniemy zamykać szpitale, teatry, szkoły, instytuty, domy opieki. Już wkrótce możemy nie być w stanie przeprowadzić w kraju operacji serca, przeszczepów nerek, kończyn itd. Po prostu, gdy pogłębia się recesja, to nie starcza na wiele ważnych rzeczy, w tym również na rekonstrukcję systemu obrony. Uważam, że nie ma żadnych zwiastunów wzrostu ekonomicznego bez względu na to, co jest ogłaszane w prasie przez liberalny rząd. Utrzymywanie się przez dłuższy okres recesji groźne jest nie tylko dla gospodarki, nie tylko dla społeczeń-

stwa, nie tylko dla stabilności politycznej. Uważam, że recesja grozi zachwianiem suwerenności Polski. Nie możemy pozwolić na to, żeby budżet wojskowy starczał tylko na wydatki wegetatywne. Próbujemy oderwać się od zależności od Związku Sowieckiego i przejść do suwerenności. Oznacza to jednak zwiększenie wydatków na obronność, zwiększenie odpowiedzialności za kraj.

Przedstawione procesy oraz ich ocena dostatecznie uzasadniają tezę, że w wielu płaszczyznach bezpieczeństwo naszego kraju jest zagrożone. Są to zarówno zagrożenia militarne, jak i pozamilitarne. Proszę o zastanowienie się nad przedstawionymi problemami i pytaniami. Wszystko zaczyna się, moim zdaniem, od rozstrzygnięcia kwestii, czy chcemy być suwerennym narodem. Jeżeli tak — w co nie wątpię — to należy pamiętać, że oznacza to jednocześnie pewne obowiązki oraz znaczne koszty, które musimy ponieść. Dążenie do suwerenności oraz jej utrzymanie wymaga bowiem od społeczeństwa znacznie więcej wysiłku niż ograniczona suwerenność. Płaciliśmy dużą cenę za brak suwerenności. Obecnie musimy ponieść kolejne wyrzeczenia, by utrzymać wolność. Jednocześnie zdajemy sobie sprawę z tego, że nasza słabość prowokuje naszych przeciwników. Nasi sąsiedzi są od nas silniejsi, zaś jeden z nich zachowuje się coraz bardziej agresywnie. W tej sytuacji nie możemy — moim zdaniem — pozwolić sobie na bezbronność, na bezradność, na to, aby między Odrą a Bugiem istniała próżnia polityczno-militarna. Dlatego za najważniejsze zadanie uważam wypracowanie nowej doktryny obronnej oraz nowej ustawy o powszechnym obowiązku obrony Ojczyzny. Nie mam na myśli banałów mówiących o tym, że obrona jest najświętszym obowiązkiem każdego obywatela. Za niezbędne uważam szybkie określenie podstaw prawnych, określających obowiązki organów władzy, administracji organów samorządowych i podmiotów gospodarczych, w tym przedsiębiorstw. Należy również wypracować taki system ekonomiczno-finansowy, który służyć będzie realizacji zadań obronnych. Za równie ważną uznaję konieczność określenia zasad funkcjonowania narodowej gospodarki rynkowej w okresie zagrożenia. Istnieje ponadto potrzeba ustalenia zasad funkcjonowania obrony cywilnej. Działaniom powyższym powinno towarzyszyć odmładzanie kadry MON-owskiej, kadry MSW, służb specjalnych, dyplomacji.

Na zakończenie pragnę zaakcentować niezmiernie istotny problem. Uważam, że musimy koniecznie przejść do polityki wzrostu ekonomicznego, bez względu na to, co sobie ktoś o tym myśli i jakie są żądania zagranicznych instytucji politycznych i gospodarczych. Tylko polityka wzrostu gospodarczego jest zdolna stworzyć przesłanki zabezpieczenia potrzeb silnej armii, bez której utracimy to, co dotychczas osiągnęliśmy. Dzisiaj głównym, wewnętrznym „wrogiem" naszej suwerenności nie jest komunizm, lecz recesja, która nie pozwala poczynić niezbędnych przygotowań obronnych. Nie twierdzę, że powinniśmy rozpoczynać wojnę lub nawet ogłaszać stan bezpośredniego zagrożenia państwa. Jednak brak zdecydowanej postawy, brak dostatecznej siły może spowodować, że będziemy spychani na margines życia politycznego Europy, a w końcu możemy nawet zostać zaatakowani. Mam nadzieję, że po usłyszeniu powyższych, dość kategorycznych sformułowań, zechcą państwo wypowiedzieć się na temat zagrożeń i szans polskiej suwerenności i naszego bezpieczeństwa.

Zadłużenie Polski

Według klasyfikacji Międzynarodowego Funduszu Walutowego Polska należy do grupy tak zwanych *official borrowers*, to jest dłużników, których zobowiązania wobec rządów innych państw oraz organizacji międzynarodowych przekraczają dwie trzecie całości ich zadłużenia zagranicznego. Do grupy tej należy 68 rozwijających się krajów. Spośród innych krajów Europy środkowo-wschodniej Węgry należą do grupy 21 krajów dłużników rynkowych (*market borrowers*), których zobowiązania wobec banków handlowych i innych wierzycieli niepaństwowych przekraczają dwie trzecie całości zadłużenia zagranicznego, a Rumunia i Jugosławia do grupy mieszanej (*diversified borrowers*), to jest tych dłużników netto, którzy nie są zaliczeni do żadnej z powyższych dwóch grup (jest takich krajów 35). Czechosłowacja i Bułgaria nie zostały objęte w roku 1990 statystyką międzynarodowych instytucji finansowych[1].

Zaliczanie do grupy krajów z większością długów międzypaństwowych utrudnia, ale nie uniemożliwia Polsce uczestniczenia w tak zwanym planie Brady'ego, który ma na celu zmniejszenie najpoważniejszego zadłużenia rynkowego i dotyczy głównie dwóch pozostałych grup krajów. Dla grupy z większością dłu-

1. International Monetary Fund, *World Economic Outlook*, Washington, D.C.: October 1990, str. 107-108.

gów międzypaństwowych istnieje jedynie specjalny program pomocy Banku Światowego (*Special Program of Assistance*), który jest przeznaczony dla najbiedniejszych. Obejmuje on 23 kraje afrykańskie. Polska nie kwalifikuje się ze względu na zbyt wysoki dochód narodowy na głowę.

Obniżenie zadłużenia międzypaństwowego Polski mogło więc nastąpić tylko w trybie specjalnym, biorąc pod uwagę szczególnie ważne względy polityczne. Wymagało to jednak zgody wszystkich rządów państw wierzycielskich. Takie uzgodnienie decyzji jest niezmiernie trudne i miało miejsce, włączając teraz sprawę Polski, zaledwie cztery razy od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Republika Federalna Niemiec była pierwszym krajem, wobec którego zastosowano tę procedurę. Miało to miejsce w okresie zagrożenia Europy zachodniej przez Związek Sowiecki i chodziło o wzmocnienie obronności tego regionu. W wyniku umowy zawartej w Londynie w 1953 roku obniżono zagraniczny dług Zachodnich Niemiec, łącznie z zadłużeniem przedwojennym, jak się obecnie oblicza o około 70%. Drugim krajem, który potraktowano w sposób specjalny ze względów politycznych, była Indonezja po upadku reżymu prezydenta Sukarno w 1966 i zastąpieniu go przez prezydenta Suharto, co było niezmiernie ważnym wydarzeniem dla stabilizacji politycznej na Dalekim Wschodzie. W kwietniu 1970 roku reprezentanci państw wierzycielskich zgrupowani w tak zwanym Klubie Paryskim uzgodnili z Indonezją przefinansowanie zadłużenia tego kraju. W wyniku szeregu różnych ulg nastąpiło obniżenie długu o 57%[2].

Podobnie strategiczną rolę odgrywa obecnie na Bliskim Wschodzie Egipt. Biorąc pod uwagę niezmiernie ważny udział tego kraju w koalicji sformowanej w celu uwolnienia Kuwejtu, straty jakie poniósł on w wyniku blokady Iraku i wojny w Zatoce Perskiej, które są obliczane na 20 mld dolarów, oraz rolę jaka mu przypadła w stabilizacji tego regionu, kraje wierzycielskie uznały, że jest to wypadek szczególny. Stany Zjednoczone umorzyły już pożyczkę zbrojeniową, wynoszącą około 7 mld dolarów, kraje arabskie umorzyły długi na 6 mld dolarów, a Klub Paryski zgodził się obniżyć poważną część pozostałego długu, który wynosi 40,2 mld dolarów. Decyzja co do rozmiarów tej obniżki ma być powzięta w maju tego roku[3]. Obecnie mówi się o umorzeniu 30% pod warunkiem przyjęcia przez Egipt programu uzdrowienia gospodarki uzgodnionego z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Podobnie jak w wypadku Polski, program ten wymaga przeprowadzenia niezbędnych reform gospodarczych i bardzo twardej polityki stabilizacyjnej, która poważnie obniży stopę życiową w najbliższym okresie[4]. Uwarunkowanie takie jest uważane za konieczne, aby nie dopuścić do zmarnowania udzielonej pomocy oraz dla wyprowadzenia gospodarki z kryzysu i zapewnienia jej możliwości dalszego rozwoju. Ten punkt należy mocno podkreślić, gdyż w Polsce na ogół nie rozumie się roli, jaką spełniają warunki MFW i panuje na ten temat dużo zamieszania[5]. Są one czasem wręcz przedstawiane jako jakieś specjalne szykany ze strony nieżyczliwego Zachodu, co jest jeszcze jednym przykładem, jak wiele różnych opinii szerzonych przez propagandę komunistyczną zostało podświadomie przyjętych nawet przez ludzi, którzy tę propagandę starali się odrzucić.

2. Mike Faber, „Renegotiating Official Debts" [Renegocjacje długów międzypaństwowych] *Finance and Development*, V.27, No.4, December 1990, str. 19-21.

3. Clyde H. Farnsworth, „Egypt's Reward: Forgiven Debt" *The New York Times*, April 10, 1991.

Nie ulega wątpliwości, że Polska została potraktowana w sposób bardzo specjalny jako pierwszy kraj, który wyzwolił się spod panowania komunizmu oraz przystąpił do budowy państwa demokratycznego i gospodarki rynkowej. Klub Paryski zdecydował się obniżyć polskie zadłużenie z tytułu długów międzypaństwowych o 50%, a Stany Zjednoczone, będące zwolennikiem jeszcze większej redukcji, zmniejszyły polski dług o 70%. Decyzje te podjęto dlatego, że Zachód przywiązuje poważną rolę do powodzenia polityki stabilizacyjnej i transformacji systemu gospodarczego w Polsce jako przykładu dla innych krajów ze Związkiem Sowieckim włącznie. Dokonana redukcja polskiego zadłużenia międzypaństwowego jest korzystniejsza niż ulgi, jakie byli w stanie otrzymać w ramach planu Brady'ego najważniejsi dłużnicy z większością długów rynkowych, tacy jak Meksyk, Wenezuela czy ostatnio Brazylia. Przy czym właśnie fakt, że obecnie szereg poważnych dłużników jest zmuszonych do przefinansowywania zadłużenia, był jednym z głównych powodów, dla których tak trudno było osiągnąć zgodę wszystkich wierzycieli na częściowe umorzenie polskich długów międzypaństwowych i tak długo to trwało. Obawiano się bowiem stworzenia precedensu, na który wszyscy będą się powoływać. Decyzja w sprawie zadłużenia Polski spowodowała zresztą natychmiastową reakcję innych krajów pokomunistycznych. Na przykład węgierski minister finansów, dowiedziawszy się, że Polska uzyska umorzenie części długów wyraził opinię, że jego kraj, który pomimo borykania się z ogromnymi trudnościami nie za-

4. Youssef M. Ibrahim, „Egypt's Price for Aid: Dose of Economic Pain", *The New York Times*, April 18, 1991.

5. Marek Misiak, „Warunki MFW: Bliżej życia", *Życie gospodarcze* Nr 3, 20.1.1991, str. 8.

wiesił spłat długów, bardziej zasługuje na specjalne traktowanie niż Polska, która od dłuższego już czasu nie wywiązuje się ze swoich zobowiązań[6].

Potraktowanie Polski ze względów politycznych w sposób uprzywilejowany nie musi jednak oznaczać, że obniżka zadłużenia jest wystarczająca, aby umożliwić wyjście z kryzysu. Rząd polski w dyskusjach z Klubem Paryskim starał się o redukcję długów międzypaństwowych w wysokości 80 % i zapowiedział, że pragnie uzyskać podobną redukcję ze strony Klubu Londyńskiego, zrzeszającego przedstawicieli wierzycieli bankowych. Nie mając dostępu do materiałów polskiego ministerstwa finansów, nie można ustalić, w jaki sposób wyliczono, że potrzebna jest ta właśnie wysokość redukcji, o jaką rząd zabiegał ani ocenić, czy stopa umorzenia, jaką Polska otrzymała, może być uważana za wystarczającą.

Dodatkowa trudność polega na tym, że różne źródła podają różne wielkości całego zadłużenia jak i jego poszczególnych części. Jest to częściowo powodowane tym, że całość zadłużenia międzynarodowego jest liczona w dolarach amerykańskich, podczas gdy większość polskiego długu była zaciągnięta i ma być spłacana w innych walutach wymienialnych. Wielkość długu wyrażona w dolarach zmienia się więc w miarę zmian stopy wymiany tych walut na dolary, niekoniecznie powodując rzeczywiste zmiany wielkości jakie należy zapłacić wierzycielom. Wiadomo na przykład, że zadłużenie wzrosło w roku 1990 o 5,8 mld dolarów, przy czym niezapłacone odsetki, które zostały skapitalizowane, wyniosły 3,1 mld dolarów, a pozostałe 2,7 mld dolarów reprezentuje spadek wartości dolara w stosunku do innych walut w których długi zostały zaciągnięte[7]. Przedstawiony tu rachunek należy więc traktować z dużą ostrożnością, jako pewnego rodzaju przybliżenie.

Zadłużenie wolnodewizowe Polski pod koniec 1990 roku wyniosło 46,5 mld dolarów, z czego 30,9 mld dolarów przypadało na pożyczki międzypaństwowe i zobowiązania gwarantowane przez rządy państw wierzycielskich, a więc będące przedmiotem restrukturyzacji w ramach Klubu Paryskiego. Zobowiązania wobec banków, które podlegają decyzjom Klubu Londyńskiego, wyniosły 10,6 mld dolarów, długi międzypaństwowe nie będące przedmiotem restrukturyzacji 0,5 mld dolarów, płatności wolnodewizowe wobec ZSSR i banków RWPG 2,4 mld dolarów oraz zobowiązania z nowych pożyczek zaciągniętych po rozpoczęciu restrukturyzacji 2,1 mld dolarów[8]. Jeżeli zadłużenie wobec

6. *Financial Times*, March 6, 1991.
7. *Rzeczpospolita*, 2 lutego 1991.
8. Monika Sowa, „Zadłużenie Polski i ciężar jego obsługi", *Rynki zagraniczne*, 23.II.1991.

Stanów Zjednoczonych, które wynosiło 3,8 mld dolarów, zostało zmniejszone o 70 %, a reszta długów podlegających restrukturalizacji w ramach Klubu Paryskiego, to jest 27,1 mld dolarów, o 50 %, to zadłużenie międzypaństwowe zostało obniżone z 30,9 mld do 14,7 mld dolarów, a całe zadłużenie wolnodewizowe Polski zmniejszyło się z 46,5 mld do 30,3 mld dolarów, czyli o 35 %.

Płatności rat kapitałowych i odsetek nie rozkładają się równo z roku na rok. Zależą one od tego, kiedy dana pożyczka została zaciągnięta, na jaki okres, jaka była karencja, to jest początkowy okres kiedy jeszcze nie trzeba zacząć dokonywania spłat, jak wysoką ustalono stopę procentową. Spłaty ogólnego polskiego zadłużenia, jakie przypadają na poszczególne lata, są więc bardzo nierówne. Z danych z czerwca 1990 roku wynika, że 67,8 % ówczesnych długów międzypaństwowych powinno być spłacone w latach 1991-1997, z tym, że 9,3 % spłat wypadało na rok 1991, 9,7 % na rok 1992, 16,5 % na rok 1993, 12,2 % na rok 1994 oraz 12,0 % na rok 1995. W następnych latach miał już nastąpić spadek. I tak tylko 3,4 % długów gwarantowanych przez rządy krajów wierzycielskich miałoby być spłacone w roku 1996 oraz 4,7 % w roku 1997[9]. To rozłożenie w czasie wymaganych płatności mogło się od tego czasu zmienić, ale zapewne najbliższych kilka lat nadal pozostanie najtrudniejszym okresem, aczkolwiek istnieje również możliwość bardziej dogodnego rozłożenia płatności w czasie poprzez dalszą restrukturyzację zadłużenia.

Według szacunków polskiego Ministerstwa Finansów bez umorzenia części zadłużenia Polska musiałaby zapłacić z tytułu należnych spłat kapitału i odsetek 6,8 mld dolarów w roku 1991, 7,2 mld w 1992, 8,6 mld w 1993, oraz 8,4 mld w 1994[10]. Spłaty kapitału i odsetek są różne dla różnych długów i nie można powiedzieć bez znajomości szczegółów, jaki będzie wpływ uzgodnionej obniżki polskiego zadłużenia na płatności w danym roku. Jeżeli jednak założymy, jako bardzo daleko idące uproszczenie, że uzgodniona obniżka będzie miała proporcjonalny wpływ na roczne spłaty rat kapitałowych i odsetek, że ulgi rozkładają się równomiernie na każdy rok, to płatności te obniżałyby się każdego roku o 35 %. Wyniosłyby więc w powyższych latach odpowiednio: 4,4 mld, 4,7 mld, 5,6 mld i 5,5 mld dolarów.

Wolnodewizowy eksport osiągnął w 1990 roku wartość 11,9 mld dolarów. Trudno powiedzieć, ile wyniesie w roku bieżącym i jeszcze trudniej przewidzieć, jaka będzie sytuacja w dalszych latach. Polska prognoza rządowa zakłada 11 % jako prawdopodob-

9. Dane Narodowego Banku Polskiego z dnia 30.06.1990.
10. Sowa, *op.cit.*

ny wzrost wolnodewizowego eksportu w roku 1991[11]. Jeżeli przyjmiemy założenie, że eksport ten będzie wzrastał o 10% każdego roku w okresie 1991-94, wartość jego wyniosłaby 13,0 mld dolarów w 1991, 14,4 mld w 1992, 15,8 mld w 1993 oraz 17,4 mld w 1994. Odejmując od tych wartości eksportu obniżone spłaty rat kapitałowych i odsetek, to jest odpowiednio 4,4 mld, 4,7 mld, 5,6 mld i 5,5 mld otrzymamy tę część dochodu z eksportu, która będzie mogła być przeznaczona każdego roku na sfinansowanie bieżącego importu: 8,6 mld w 1991, 9,7 mld w 1992, 10,2 mld w 1993 i 11,9 mld w 1994. Wielkości te odpowiadają rocznym stopom wzrostu importu: 7,5%, 9,7%, 10,2% i 11,9%.

Z tego bardzo przybliżonego rachunku wynika, że jeżeli udałoby się osiągnąć stopę wzrostu eksportu w wysokości 10% rocznie, można by było, po zapłaceniu przypadających rat kapitałowych i odsetek, jeszcze sfinansować stosunkowo znaczne stopy wzrostu importu. Ponieważ w polskim bilansie płatniczym występuje każdego roku dość poważne saldo przekazów prywatnych zza granicy, powinno to pozwolić nabyć każdego roku nieco więcej dóbr i usług z importu, niż wynikałoby z powyższego obliczenia.

Już w 1990 roku wartość wolnodewizowego importu była wyższa niż kiedykolwiek przedtem, ale powyższe stopy wzrostu importu okazywały się prawdopodobnie ledwie wystarczające dla potrzeb szybkiej odbudowy, modernizacji i restrukturyzacji polskiej gospodarki oraz zapewnienia jej możliwości dalszego rozwoju. Należy przy tym liczyć się z tym, że będzie konieczne zastąpienie importu dawniej rozliczanego w rublach transferowych importem wolnodewizowym, gdyż obecny bardzo poważny kryzys gospodarczy w ZSSR będzie się zapewne pogarszał, a trudności związane z transformacją systemową w innych krajach dawnego bloku będą ograniczały przez jakiś czas ich zdolność do zwiększania eksportu. W dodatku, podobnie jak Polska, będą one starały się przede wszystkim rozbudować swój eksport na Zachód. Utrzymanie importu z tego obszaru na obecnym poziomie może więc okazać się niemożliwe, zupełnie niezależnie od przejścia na ceny światowe w dolarach w obrotach wzajemnych krajów dawnego RWPG. Część zwiększonego importu z Zachodu będzie więc zapewne konieczna po prostu dla skompensowania spadku importu z dawnego bloku. Z drugiej strony, Polska dotychczas wyzyskuje tylko w bardzo małym stopniu ostatnio udostępnione kredyty międzynarodowych organizacji finansowych

11. Centralny Urząd Planowania, Ministerstwo Finansów, Ministerstwo Pracy i Polityki Socjalnej, „Założenia polityki gospodarczo-społecznej na 1991 rok", Warszawa, 20 listopada 1990 r., Aneks, str. 2.

i państw zachodnich, które razem wynoszą 8,5 mld dolarów[12]. Pełne wyzyskanie tych możliwości umożliwiłoby dalsze zwiększenie corocznego importu na cele rozwojowe, podczas gdy spłaty następowałyby dość daleko w przyszłości, kiedy można oczekiwać że sytuacja już ulegnie poprawie w takim stopniu, iż spłaty te nie będą przedstawiały większego problemu. Biorąc pod uwagę wpływ tych dwóch czynników, działających w przeciwnych kierunkach, można przyjąć, że już samo częściowe umorzenie długów międzypaństwowych przez Klub Paryski daje zapewne możliwość wyjścia z kryzysu dzięki zapewnieniu gospodarce polskiej dopływu pewnego minimum niezbędnego importu.

Sytuacja uległaby dalszej poprawie gdyby Klub Londyński zdecydował się na zredukowanie polskiego zadłużenia. Jeżeli w wyniku różnych ulg zadłużenie wobec banków zachodnich zostałoby zmniejszone również o 50%, to jest z 10,6 mld do 5,3 mld dolarów, całe zadłużenie wolnodewizowe obniżyłoby się z 25 mld dolarów (14,7 mld Klub Paryski, 5,3 mld Klub Londyński oraz 5,0 mld pozostałe obciążenia). Byłaby to redukcja całego zadłużenia wolnodewizowego o 46%. Na podstawie tego samego założenia co poprzednio można obliczyć, że roczne płatności wyniosłyby w takim wypadku 3,7 mld w 1991, 3,9 mld w 1992, 4,6 mld w 1993 i 4,5 mld w 1994 roku. Przyjmujemy, że wolnodewizowy eksport zwiększa się tak jak w poprzednim wypadku o 10% rocznie i wynosi wobec tego 13,0 mld w 1991, 14,4 mld w 1992, 15,8 mld w 1993 i 17,4 mld w 1994. Odejmując nowe obniżenie płatności, otrzymujemy tę część przychodów z eksportu wolnodewizowego, która może być użyta na opłacenie importu w danym roku. Ta wolna wartość eksportu po dokonaniu spłat przypadających na dany rok wynosiłaby 9,3 mld w 1991, 10,5 mld w 1992 roku, 11,2 mld w 1993 oraz 12,9 mld w 1994 roku. Stopy wzrostu importu wynosiłyby odpowiednio: 14,8%, 12,9%, 6,7% oraz 15,2%. Byłaby to bardzo poważna już możliwość zaspokojenia potrzeb importowych związanych z rozwojem kraju.

Jeżeli przyjęte założenia są poprawne, wydaje się, że już sama decyzja Klubu Paryskiego stwarza możliwe warunki do wyjścia z kryzysu. Gdyby Klub Londyński obniżył długi wobec banków w tym samym stopniu, w jakim Klub Paryski obniżył długi międzypaństwowe, warunki te byłyby prawdopodobnie zupełnie już dobre. Wszystko zależeć będzie jednak od tego, czy rzeczywiście uda się zwiększać eksport wolnodewizowy o 10% rocznie. Powolniejsze tempo wzrostu eksportu obniżyłoby możliwości zapewnienia niezbędnego importu zaopatrzeniowego i

12. Iwona Ryniewicz, „Kredytowy rachunek sumienia", *Gazeta Bankowa*, 23-29 IX 1990.

inwestycyjnego, co niewątpliwie utrudniłoby wyjście z kryzysu i zapewnienie dalszego rozwoju. Natomiast przy osiągnięciu wyższych stóp wzrostu eksportu wychodzenie z kryzysu byłoby szybsze i łatwiejsze do osiągnięcia.

Wzrost eksportu jest więc w obecnej sytuacji czynnikiem decydującym. Na tym odcinku powinna koncentrować się uwaga kierownictwa gospodarczego kraju. Należy stworzyć jak najszybciej odpowiednią strukturę instytucjonalną przez niezwłoczną prywatyzację przedsiębiorstw handlu zagranicznego i stworzenie odpowiednich zachęt finansowych i innych ułatwień dla powstawania prywatnych firm handlowych. Działalność radców handlowych polskich przedstawicielstw za granicą musi wreszcie zostać rozszerzona i zdynamizowana. Uwaga zachodnich firm brokerskich i personelu firm zachodnich dokonywującego zakupów zagranicznych musi zostać zwrócona na Polskę. Polscy eksporterzy powinni nawiązać kontakty z zagranicznymi importerami. Bardziej energiczna akcja jest konieczna dla przyciągnięcia bezpośrednich inwestycji zagranicznych i rozwinięcia różnych form współpracy przemysłowej i handlowej. Cała infrastruktura techniczna handlu zagranicznego, włącznie z systemem bankowym, telekomunikacją i transportem, musi być uznana za ważny priorytet. Najważniejszą rzeczą jest jednak to, aby wzrastała produkcja na eksport. Należy więc nie tylko zachęcać krajowych producentów do produkowania na eksport towarów odpowiedniej jakości przez zapewnienie znacznych ulg podatkowych, ułatwień kredytowych i odpowiedniej polityki kursowej, ale wręcz zmuszać ich do tego przez kontrolowanie tak zwanej absorpcji krajowej, czyli wewnętrznego popytu, przez utrzymanie względnie restrykcyjnej polityki pieniężnej i fiskalnej.

Niestety większość ekonomistów polskich ciągle jeszcze nie potrafi myśleć kategoriami nowoczesnej gospodarki otwartej, wykorzystującej efektywnie międzynarodowe stosunki gospodarcze i integrującej się szybko z gospodarką światową. A równocześnie po latach sztucznego odizolowania Polski od gospodarczego świata zachodniego szczególnie wyraźnie występuje dotkliwy brak doświadczenia na tym właśnie odcinku, który jest dziś decydujący dla przyszłości kraju. Stanowi to obecnie znacznie większą barierę dla szybkiego wyjścia z kryzysu i dalszego rozwoju niż nieuzyskanie przez Polskę większej redukcji zadłużenia wolnodewizowego, takiej na przykład, o jaką ubiegał się rząd polski.

Zbigniew M. FALLENBUCHL

Czytając prasę

Andrzej Drzycimski w wywiadzie dla *Przekroju* (17 marca) wyznaje: „Uważam, że złośliwości, które pojawiają się w *NIE*, jak gdyby obniżają rangę tego pisma..." Określenie tego co pojawia się w piśmie Urbana jako złośliwości sprawiło, że wyobrażam sobie człowieka, który wpada na podobny pomysł jako braciszka z Zakonu Franciszkańskiego zapędzonego do sporządzenia Urzędowego Wykazu Druków. Zwrot o obniżaniu rangi pisma upewnił mnie, że szanowny gentelman użył tego wyrażenia w znaczeniu czysto pickwickowskim. Styl pickwickowski jest jednak — wbrew pozorom — szalenie trudny i choć tym razem incydent był prawdziwie błahy, odradzałabym na przyszłość rzecznikowi Pana Prezydenta żarty w tym rodzaju.

W *Tygodniku Literackim* jeszcze w styczniu młody autor poświęcił wiele uwagi najpopularniejszej postaci literackiej ostatnich lat: Adamowi Michnikowi. Pamflet Andrzeja Horubały sprowokował aż trzy riposty. Profesor Jan Błoński, jak przystało na pedagoga, udzielił obu stronom pożytecznych wskazówek. Horubałę chwali za zręczność, gani za uproszczenia. Michnika zachęca, by „ubezpieczał się częściej ironią". Żywiej zareagował Piotr Matywiecki, zastępca redaktora naczelnego *Tygodnika*. W Polsce zastępcy naczelnych redaktorów stanowią dziś najszybciej rozwijającą się klasę i w wyborach proporcjonalnych niechybnie wprowadzą swego przedstawiciela do nowego parlamentu. Zastępca redaktora poucza, że książka „Z dziejów honoru w Polsce" powstała w więzieniu, co ma uzasadniać używanie w niej wielkich słów. Podobny argument prowokuje do uwagi, że w więzieniu powstały, to znaczy zostały pomyślane i stworzone, choć jeszcze wtedy nie zapisane na papierze, „Rozmowy z katem" Kazimierza Moczarskiego. Książka, która właśnie z dyscypliny słowa i dyskrecji czerpie swą siłę. Pani Irena Maciejewska w liście do redakcji dziwi się, że artykuł Horubały „bardzo pisarsko odległy od sposobu wysławiania się polskiego Demostenesa", został wydrukowany. Pani Maciejewska jest żoną ówczesnego (bo od tego czasu skład redakcji uległ zmianom) redaktora naczelnego. Tak więc spory o Michnika osiągnęły wymiar lokalnej afery Dreyfusa, prowadząc do podziałów wewnątrz polskich rodzin. Wszystkie strony traktują twórczość M. dość sumarycznie. Skłonna jestem sądzić, że w książce „Z dziejów honoru w Polsce" są może jakieś myśli w środku ale nie da się już jej czytać rozpoczynając od pierwszej strony. Gdyby spróbować od-

czytać na jakimś wieczorze literackim obszerny wstępny cytat z Jaruzelskiego, sala zacznie pustoszeć w ciągu kilku minut. Ta sama publiczność z upodobaniem i rozbawieniem gromadzi się by wysłuchiwać Janusza Szpotańskiego odczytującego opis swych aresztanckich przygód. Szpotański, dzięki upodobaniu do realizmu, zamiast grzęznąć w polemiki z Rakowskim czy Jaruzelskim, woli opowiedzieć o Szmaciaku, który:

pije scotch z wiśniowym sokiem.
Pije, bo się straszliwie martwi
pod kątem własnym i przyszłości
i bardzo źle myśli o partii
a o kierownictwie w szczególności.

A jednak, oprócz bohaterskiej biografii Adam Michnik ma nie dający się zakwestionować dorobek. By uniknąć lekkomyślnych opinii po raz któryś przeczytałam teraz esej o Rudinie z *Zeszytów Literackich* i nie mam cienia wątpliwości, że zasługuje on na miejsce w każdej antologii polskiego eseju, w niezbyt licznym przecież towarzystwie. Także pamflet „Zwierzątko" z roku 78 wciąż da się z powodzeniem czytać, choć dawno zostały zapomniane utwory, którym był poświęcony. Irena Maciejewska zachwyca się też, że M. niemal wprost z więzienia potrafił przystąpić do zwykłych zajęć, takich jak wydawanie codziennej gazety czy podjęcie prac parlamentarnych. No, w sejmie to nasz poseł wygłasza przemówienia ale rzadko wysiaduje na swoim miejscu. *Gazeta* jest redagowana dość niedbale a zarazem może nazbyt starannie. Nie znalazłam w niej oczywiście wiadomości o Majestacie pogryzionym przez psa, podanej przez należący już do Porozumienia Centrum *Express Wieczorny* na pierwszej stronie 7 marca. Niewielkie pieski walijskie znane są z agresywności. Mimo to są ulubieńcami dworu brytyjskiego. Właśnie wczoraj jeden z nich dotkliwie pogryzł Królową Elżbietę II-gą. Rany są tak duże iż monarchini założono kilka szwów. Pogryziony został szofer królowej, który próbował przyjść Jej z pomocą. Nie wiedząc przeciw komu to wydrukować, *Gazeta* nie udostępniła nam tej informacji. W artykule „Orzeł i reszta" dziennik zajął zdecydowane stanowisko w sprawie Józefa Orła (wykorzystywanie w podobny sposób nazwisk jest ulubionym chwytem pisma), który opuszczając kierownictwo *Tygodnika Solidarność* miał objąć ważne stanowisko w telewizji. Twierdzono, że solidarnościowy dziennikarz o wyraźnych poglądach politycznych zagrozi obiektywizmowi informacji. Stanowisko, zresztą o szczebel ważniejsze, zajął pan Sławomir Zieliński, towarzysz z PZPR zasłużony dla starego systemu jeszcze podczas kampanii wyborczej w czerwcu 1989, czyli doświadczony fachowiec.

Michnik nie dość widoczny jako redaktor zwraca jednak uwagę własnymi publikacjami. Pod tytułem „Paradoks partyjnego reformatora" ogłosił 16 marca obszerne omówienie książki M.F. Rakowskiego „Jak do tego doszło". Osobliwe wydaje się podniecenie tą dość kluchowatą prozą. Michnik tłumaczy, że rzecz ma „ciężar szczególny: opowiada bowiem jeden z wybitnych liderów obozu politycznego, który rządził Polską przez czterdzieści kilka lat i który przegrał". Ta próba opisu wydaje mi się całkiem fałszywa. Już samo nazwanie partii komunistycznej w powojennej Polsce obozem politycznym nie jest trafne. A sam Rakowski przez lata nie był liderem lecz zapobiegliwym kandydatem do władzy. Cierpliwie budował swoją karierę, godząc się praktycznie na wszystko, by nie wypaść z miejsca w kolejce. I jeszcze drugie zdanie w artykule Michnika wydaje się całkiem niemądre i nie odpowiadające realiom: „Rakowski, komunista, był redaktorem naczelnym *Polityki*, pisma o kapitalnym znaczeniu dla duchowej biografii inteligencji polskiej". *Polityka* była pismem ważnym i bardzo wpływowym dzięki cichej i wyraźnej, choć nigdy nie sformułowanej ugodzie, że w niej można proponować kompromisy w kwestiach szczegółowych: hodowania nadal wielu a nie już tylko dwu gatunków jabłek, zachowania pewnych tradycyjnych form działalności uniwersytetów, budowania także mniejszych a nie tylko gigantycznych mleczarni. Każda taka propozycja w *Tygodniku Powszechnym* zostałaby bądź skonfiskowana przez cenzurę bądź oceniona jako zagrożenie ustroju. Bez *Polityki* historia PRL-u byłaby jeszcze bardziej smutna i absurdalna. Z drugiej strony ilekroć zapadała decyzja o usunięciu kogoś ze stanowiska pismo, ku zadowoleniu ludności, zdążało w porę z reportażem opisującym nadużycia lub nieudolność odepchniętego towarzysza. Natomiast skromna reguła: *nie kłamać* nigdy nie obowiązywała uczestników tych chytrych gier. Tak więc mówienie z tej okazji o „duchowej biografii inteligencji polskiej" wydaje się egzaltacją bez umiaru. Nie odczytuję z roczników *Polityki* nawet duchowej biografii samego Rakowskiego, który pisywał tylko to, co uważał za praktyczne w perspektywie swej partyjnej pozycji. Nie wątpię, że wydarzenia marca 68 nie były w jego guście. Jakkolwiek nie wykazał wtedy żadnej gorliwości, to jednak jego tygodnik podążał drogą partii, tyle że z tygodniowym opóźnieniem. Michnik opowiada nam o ostatnim wybitnym reformatorze, atakowanym przez aparat za liberalizm.

Kto w szpony dostał się hipostaz
rzeczywistości już nie sprosta

Gdy słyszę o partyjnych liberałach przypominam sobie formułę Jakuba Karpińskiego: „Rakowski bywał liberałem w porów-

naniu do Kiszczaka, Kiszczak w porównaniu do Bieruta, Bierut w porównaniu do Stalina... Stalin zaś w roku 1937 różnił się co do swego liberalizmu w poszczególnych miesiącach, dniach i godzinach".

Dziś Michnik zdaje się toczyć dialog w spektaklu, który już przecież jakiś czas temu się zakończył; sztuka zeszła z afisza i widownia opustoszała. Historia Rakowskiego, niezmiernie nużąca w szczegółach, dopiero dzięki zakończeniu wydaje się komiczna jako całość. Nawet jedyny jego suwerennie dokonany akt — likwidacja PZPR — był aktem wolności jedynie w rozumieniu marksisty, którego nauczono, że wolność to uświadomiona konieczność.

Wkrótce po artykule Michnika, korespondent *Gazety* w Moskwie, któremu zresztą dziennik wiele zawdzięcza, opisał gościnne występy przebywającego tam Rakowskiego i jego wywiad dla sowieckiego pisma, w którym ostrzega towarzyszy przed polskim eksperymentem. Po powrocie R. nie szczędził wyjaśnień, z których wynika, że człowiek, który przez dwadzieścia lat redagował pismo, nie autoryzował swego wywiadu i jak dziecko padł ofiarą dziennikarzy, a zdanie umieszczone jako tytułowe wprawdzie wypowiedział, dziwi się jednak, że zostało w ogóle zauważone i wolałby, żeby znaczyło coś zupełnie innego niż znaczy.

Pod koniec marca udał się do Moskwy sam Michnik i przeprowadził wywiad z Eduardem Szewardnadze. To co mówi Szewardnadze jest nie do końca zrozumiałe. „Jeśli chodzi o kraje Europy Wschodniej, początkowo wierzyłem, że jest to autentyczna wspólnota. Spotykałem się z wieloma moimi kolegami — ministrami spraw zagranicznych, z przywódcami państw, działaczami politycznymi. Stosunki były bardzo dobre, szczere, otwarte. Rozmowy były przyjazne, w dobrej atmosferze. Ale stopniowo rodziło się we mnie wrażenie, że dłużej takie stosunki są nie do utrzymania, że dążenia narodów są inne niż to sobie wyobrażaliśmy". Nie jest jasne, czy to wrażenie zaczęło wynikać z przyjaznych lecz szczerych rozmów, czy też powstało w akcie intuicji, a szczere rozmowy były nie aż tak bardzo szczere? Michnik przeprowadza swój wywiad na kolanach, komunikując rozmówcy swój zachwyt dla jego historycznych przemówień i nie pyta co znaczą dyplomatyczne formuły. Szewardnadze opowiada też, że „Ówcześni przywódcy radzieccy — Breżniew, Susłow — już wtedy rozumieli, że wobec Polski siły nie da się zastosować, że tu wojska i czołgi będą nieskuteczne. Byłem świadkiem rozmowy telefonicznej Susłowa, który na pytanie swego rozmówcy odpowiedział: 'Chcą wkroczenia do Polski naszych wojsk? Powiedzcie im, że takiego rozkazu nie będzie'. Siedziałem wtedy w gabinecie Susłowa, przy jego biurku, słyszałem. Już tamto kierownictwo, dziesięć lat temu wiedziało, że zastosowanie siły nic nie da". Gdy jednak Michnik chwilę potem wraca do tematu i pyta: „Czy w roku 1981 była realna groźba interwencji radzieckiej?" w odpowiedzi słyszy: „Była, bez wątpienia — była. Byli ludzie, którzy tego chcieli, którzy żądali 'zaprowadzenia porządku' ". Historyk Michnik nie próbuje dowiedzieć się, która z dwu nieco sprzecznych wersji jakie usłyszał jest bardziej prawdziwa, bądź kto sprawił, że zagrożenie było rzeczywiste lecz nie realne. Nie spytał też, czy okrągły stół okazał się dla kierownictwa sowieckiego zaskoczeniem, radosną niespodzianką, interesującą choć oczekiwaną nowiną czy zastosowaniem się do udzielonych uprzednio przyjacielskich rad. Z tego wywiadu więcej niż o Szewardnadze dowiadujemy się o stanie umysłu samego Michnika i nie są to wiadomości krzepiące.

Zofia ZIEMIĘCKA

Szło stare

Gdyby Antoni Gołubiew kontynuował był swoją epicką panoramę Polski pierwszych Piastów, wówczas po tomie zatytułowanym „Szło nowe" być może powstałby kolejny: „Szło stare", który opisałby to, co się w Polsce wydarzyło po śmierci Bolesława Chrobrego, a co współcześni uczeni określają jako reakcję pogańską.

Samo zjawisko wynika z dialektyki dziejów, ale proszę łaskawie pamiętać, że ową dialektykę wynaleziono na grubo przed ojcami „socjalizmu naukowego", oni bowiem tylko ten znakomity wynalazek, jak i wiele innych, po prostu spartolili, z prawdziwej dialektyki lepiąc „diamat". A teraz, obserwując z zaświatów (a jeśli są te dolne, to właśnie z nich) nasze polskie piekiełko zapewne pękają ze śmiechu.

Zwłaszcza bowiem w dniach 21 i 22 marca, a więc z zaraniem kalendarzowej wiosny, można było obserwować nad Wisłą elementy współczesnej „reakcji pogańskiej". Manifestowały ją: w Łodzi pochody protestacyjne adherentów OPZZ, na polskiej prowincji „solidarnościowo"-"PSLowsko"-kmiece blokady, zaś w miastach stołecznych (więc w Warszawie i oczywiście w Krakowie) młodzieżowe zadymy, związane z „dniem wagarowicza", jedną z największych durności, jakie polska pomysłowość do życia powołała. Czy słusznie te tak rozmaite zjawiska wsypałem do jednego kubła? Wydaje mi się, że słusznie.

Przez całą Europę środkowo-wschodnią przechodzą protesty i próby rozpaczy lub gwałtu, ale nie da się ich powiązać wspólnym znakiem równania: jedne są bowiem antykomunistyczne, wszędzie tam gdzie komuniści jeszcze nie oddali pola, niektóre wyrastają na rozbudzonych i rozjadzonych erupcjach nacjonalizmu (republiki jugosłowiańskie, Słowacja). Osobnym jednak i ponurym zjawiskiem jest owa „reakcja pogańska" w krajach postkomunistycznych. Jej podstawą jest naiwne przekonanie, że kapitalistyczny „Zachód" jest zjawiskiem automatycznym. Że wystarczy wywołać czarodziejskie hasła „rynku", „prywatyzacji", „przedsiębiorczości" i już się wszystkim będzie działo jak na reklamach prasowych czy telewizyjnych, gdzie wszystko jest beztroskie i niezmiernie zamożne, kobiety zaś piękne i gustownie rozebrane. Oczywiście nikt z tych współczesnych „protestantów" nie wziął pod uwagę faktu, że właśnie w tym kapitalistycznym raju istnieją bezmiary ubóstwa i nikt mi nie chce wierzyć, że w USA widziałem ogromnie wiele nędzy, nieraz gorszej od tej którą widziałem w ZSSR.

Homo sovieticus, z którego rekrutują się w znacznej mierze współcześni „protestanci", swego czasu zbuntował się przeciwko realnemu socjalizmowi, bo ów w miarę dekompozycji coraz gorzej się wypłacał „robolom", którym aż dotąd płacił niezależnie od wszystkiego, a zwłaszcza od jakości pracy. *Homo sovieticus* teraz obraził się, bo gdy wyszedł na jaw cały sztuczny system totalnego zatrudnienia i rozpoczęło się bezrobocie, on pierwszy — jako olewacz i leser — znalazł się nie tyle na bruku, co na zasiłku. Tymczasem zewsząd, bo poprzez reklamę jako też przez realność masy towarowej, atakuje go owa kapitalistyczna zamożność, która — jak się obecnie przekonuje — wcale nie jest powszechnie dostępna.

Trudności bytowania w kraju, gdzie nagle zajarzyło się od sklepów, butików a nawet ulicznych stoisk, a także od kłębiącego się w nich towaru, którego — przynajmniej niżej podpisany — przez przeszło czterdzieści lat socjalizmu nad Wisłą nie oglądał, osobiście wydają mi się co nieco przesadne. *Homo sovieticus* powinien bowiem uświadomić sobie, że kapitalizm to nie „każdemu po równemu" (czyli wedle potrzeb), ale każdemu tyle, ile sobie wypracuje czy wygłówkuje. Że kończy się ekonomia uwłaszczeniowa, w której nikt nic nie ma, ale za to niezmiennie coś tam od „ONYCH" dostaje. *Homo sovieticus* powinien też wreszcie zrozumieć, że kończy się epoka „ONYCH", ponieważ współcześni „oni" wyzbywają się samochcący wielu totalitarnych zawłaszczeń, że społeczeństwo wchodzi (lub wchodzić powinno) w miejsca opuszczone, zaś mit o niepomiernych bogactwach byłej nomenklatury jest o tyle mitem, że nawet jeśli się uda jej wydrzeć owe resztki dóbr zawłaszczonych, to — gdyby je wedle ekonomicznej filozofii

homo sovieticus rozdzielić, wypadałoby po parę groszy na głowę mieszkańca tego kraju.

To jeden aspekt protestów: towaru nie było, towar jest, ale nie dla każdego dostępny. Jeśli się wszelako dobrze przyjrzeć, to cóż widzimy: tzw. masy pracujące jakoś wcale sobie nie krzywdują, żony owych masowców wykupują artykuły spożywcze i odzieżowe w tempie zaiste zdumiewającym, co zresztą samo w sobie jest zjawiskiem niezwykle pozytywnym (obieg pieniądza). Biedni rolnicy zawalili całą przestrzeń ekologiczną pustakowcowymi lub cementowymi pałacami (osobny model tworzą tu typowe dla Małopolski południowej pałace telewizorowe), zaś stopień zmotoryzowania rolnictwa jest najwyższy w świecie, bo każdy — choćby 5-hektarowy włościanin — musi mieć koniecznie własny traktor, by nim jeździć do GSu na piwo, a w ciągu kilku dni w roku także na pole (Mrożkowe: „A może by my co zaorali?"). Tymczasem kogoś do pomocy w domu, do posiedzenia przy unieruchomionej staruszce znaleźć bardzo trudno, bo to się naszym cierpiętniczo-nędzarskim rencistom... „nie opłaca".

Homo sovieticus nie potrafi się wyzbyć także myślenia klasowego: nadal wierzy w istnienie „klasy robotniczej", w „masy pracujące" złożone z robotników i chłopów, gdy w rzeczywistości te zamierzchłe określenia nie pasują do niczego, jeśli się ich nie traktuje czysto zawodowo. Jakaż jest bowiem realna różnica pomiędzy robotnikiem, chłopem i niżej podpisanym, czyli profesorem uniwersytetu? A no przede wszystkim ta, że choć zarabiamy mniej więcej to samo, to ów chłop i robotnik mogą protestować, a ja — nawet gdybym chciał (bo absolutnie nie chcę) protestować przeciw „nowemu" i tęsknić za dobrym „starym", to nie byłbym w stanie: bo niby jak? Z mieszkania czy z uczelni? I co mógłbym oflagować, co okupować, co blokować i gdzie głodówkować? I czy ktokolwiek dostrzegłby taki protest?

Ja bardzo proszę, aby mistyfikatorzy przestali się wygłupiać z dawno już nierealnymi podziałami „klasowymi" i aby intelektualiści-dobroczyńcy przestali nam wmawiać niedole mas i w ogóle wobec tych mas zachowywać się tak, jak się niegdyś zachowywali wobec władców importowanych z sowietolandii. Ja bardzo proszę subtelnych intelektualistów, aby wreszcie przestali hamletyzować i sami siebie potępiać, bo skończył się czas samokrytyk. Niechże się nie boją powiedzieć w oczy nieintelektualistom, że są ciemni i głupi, że się nie rozumieją na najbardziej podstawowych sprawach. Rozumiem ów strach przed ogromną *silent majority*, która nagle zaczęła nie tylko mówić, ale przemawiać, bełkotać, pokrzykiwać. Powie kto: to jest koszt demokracji. A no jest. Tylko my się ze swej strony do tego nie

włączajmy. Solą współczesnego społeczeństwa jest bowiem inteligencja i jeszcze raz inteligencja. A jest ona po trosze wszędzie: wśród mieszczan i tzw. robotników, wśród chłopów, w wojsku, policji, a czasem nawet wśród kleru i pedagogów.

Polacy byli zawsze (czytać historię nie umajoną, rodacy, uczyć się na własne konto!) niezmiernie pazerni. Solą w oku była cudza własność, stąd i łatwość złodziejstwa rozpowszechniona nad Wisłą nie teraz (bo „za moich czasów" jakoby jej nie było), ale od króla Ćwieczka. Doskonałym tego wykładem jest przewspaniała broszurka pt. „Krótka nauka budownicza dworów, pałaców, zamków podług nieba i zwyczaju polskiego" (Kraków 1659), której anonimowy autor, najprawdopodobniej magnat lub bywały po świecie zamożny szlachcic, poucza swych panów-braci, jak budować i tak jeden z rozdziałów konkluduje: „I to, rozumiem, nie od rzeczy consideratia tak dom stawiać, żeby z okna sąmsiada nie widział".. — Czyli: jeśliś bogaty i włość rozległa, stawiaj na pagórku i nawet na kilka pięter, lecz jeśliś niezamożny, to w dolince i o jednym piętrze. „Albowiem, moim zdaniem, niepiękny i niewesoły jest prospekt na bliskiego nazbyt sąmsiada". A ja dodałbym od siebie, że dla Polaka najpaskudniejszy widok, to na „sąmsiada" majętnego, jest to bowiem z jego strony przywara niewybaczalna. Polska zawiść i pazerność ożenione w niemal 40 milionach „intelektów" przynoszą to, co się obecnie ogląda co dzień: protesty, krytyki, pokrzykiwania i nienawiść, nienawiść, jeszcze raz nienawiść. Płomienna, choć platoniczna. Mamy w kraju blisko 40 milionów, a łącznie z wychodźstwem ileś tam dalszych Nekandów Trepków, co by chętnie żywot strawili na poszukiwaniu przyczyn cudzej zamożności i dążyli do tego, by tych zbrodniarzy owych majętności pozbawić, nie bez własnego, przy okazji, przybytku.

Nasi współcześni „protestanci": więc i ci z ulicy, tramwaju i kolei (bowiem tymczasem kolejki zanikły całkiem) dzielą się na kilka specjalności. Na najniższym poziomie stoją flagelanci, to znaczy ci, co z powodu zbyt małych jakoby zarobków coś tam oflagowują. Jestem zdania, że parlament powinien uchwalić ustawę antyflagelacyjną (pożyteczniejsza byłaby od antyaborcyjnej), ponieważ hańbienie na co dzień symboli narodowych przez jakichś „protestantów" jest czymś niedopuszczalnym. Proszę: chcecie więcej zarabiać , no to pracujcie lepiej, lepiej dbajcie o własną produkcję, a jeżeli to niezbędne, no to protestujcie, strajkujcie, ale po co zaraz do tego mieszać narodowe barwy i znaki. Nie jesteście bojownikami o wolność, ale o własne brzuchy i wara od pospolitowania białego orła: nie po to przywracaliśmy mu na głowę koronę, by teraz lada gamoń się nim wyświechtywał. Strajki to wasza sprawa bytowa, ale nie narodowa, ta sprawa jest dla was zapewne czymś niezmiernie ważnym,

ale pamiętajcie, że gdy wszystkim jest ciężko, to wasze roszczenia nie wspomagają państwa, które tymczasem stało się autentycznie waszym państwem, ale je niszczą, bo są zagrożeniem także dla innych, bo chcielibyście większy kęs wyrwać dla siebie, obojętni na cudzą kondycję.

Drugi stopień specjalizacji to okupanci, a więc ci, którzy nie tylko strajkują, ale jeszcze okupują swe własne zakłady. Strajk okupacyjny był czymś ważnym, a czasem wręcz bohaterskim w sytuacji ogólnego zniewolenia, w sytuacji wyzysku, w sytuacji rażącej niesprawiedliwości. Dziś taki strajk bohaterstwem żadnym nie jest, bo ani nie jest owocem zakazanym, ani zań grożą represje i jak dotąd nie jest wymierzony w srogiego totalitarnego czy kapitalistycznego uzurpatora, bo jednego już nie ma, a drugiego jeszcze nie ma. A więc flagelanctwo, strajkostwo i okupanctwo zwraca się przeciw reszcie społeczeństwa. Bo nawet największy idiota nie powie, że wypracowany przez niego kapitał został zawłaszczony przez Wałęsę z Bieleckim i Balcerowiczem pospołu. Chodzi po prostu o to, by innym odjąć. A komu: rodakom, bliźnim, a niech ich jasny szlag trafi.

Najwyższy stopień wtajemniczenia to strajkowi brzuchomówcy czyli głodówczarze. Tu obrzydliwość metody jest wprost wyjątkowa: narażać własne życie (choć tak po prawdzie żaden głodówczarz jeszcze nad Wisłą nie umarł za swoje „ideały") można w przypadkach wyjątkowych. Kiedyś głodowało się u nas o więźniów sumienia, za sprawy wolności wiary czy wolności obywatelskie, a dziś głoduje się o co? O możliwość zakupu jeszcze większej niż dotąd ilości pożywienia i napojów. O kiełbasę, schab i piwo. Więc po prostu głodówka jest, jak w dawnej Polszcze, odpowiednikiem postu przed świątecznym obżarstwem.

Teraz jeszcze należy się coś „zacnym kmiotkom". Niedawno Szczypiorski napisał, że wszyscy chłopi, z którymi zetknął się w Krośnieńskiem, marzą o dobrych minionych czasach gomułkowsko-gierkowskich: wszystko co wyprodukowano państwo brało i wciąż było za mało, lokalny popyt wchłaniał wszystko. A teraz: nikt nie chce brać ich chrzczonego mleka, ich pseudomasłem można by co najwyżej smarować traktory, ser biały ma smak wygotowanej ścierki, a sery twarde konsystencję dętek z ich pojazdów.

A już zupełnie niedopuszczalna jest bezczelność „miastowych": jakże oni śmią kupować lepsze i tańsze importowane produkty zamiast patriotycznego wykupowania naszych — kmiecych? Powinni przecież jeść to co im dajemy („żywią i bronią" — tylko przed czym?) i za cenę jaką im wyznaczymy. Można by też przywrócić system kupna wiązanego: chcesz pół litra wódki? Dobrze, ale tylko łącznie z parą niekoniecznie pasujących butów *made in* Chełmek czy Nowy Targ. Chcesz pralkę?

Może być, ale tylko z jednym niedotuczonym tucznikiem lub z trzema „dyszkami". A jeśli o samochody chodzi, to owszem, czemu nie, ale do Poloneza i dużego Fiata masz dokupić jeszcze czołg. Oczywiście spośród tych, których nie zdążono wyeksportować do Saddama Husejna.

Całkiem nowym i zaiste ubicznym (od króla Ubu) sposobem manifestowania swego niezadowolenia jest obrzucanie instytucji publicznych niesprzedanymi produktami kmiecymi. Ta forma protestu, nazwijmy ją towarosypem, może przynieść następstwa wręcz tragiczne. Wieść gminna głosi bowiem, że gdy obrzucono kostkami masła Belweder, to kilka psów z Ochrony Rządu, po zdegustowaniu tych smakołyków, padło w konwulsjach.

Nie bardzo wiadomo, co w tym gronie „protestantów" robią skiny, anarchiści i inni zadymiarze. Ostatecznie każde pokolenie przynosi pewną ilość wydzieliny, z którą zawsze jest kłopot. Tylko kłopot z wydzieliną w demokracji jest większy niż w ustrojach totalitarnych. W tych drugich zawsze można było wydzieliny posłać do obozów koncentracyjnych, a część po prostu zatrudnić. Zomo było np. świetnym wprost zlewem dla wydzieliny, ponieważ dawało złudzenie uczestnictwa we władzy, wydzielinie zaś ogromnie chodzi o to, by się do władzy dostać, a przy jej mentalnym zaawansowaniu władza kojarzy się wyłącznie z możliwością przylania bliźniemu. Tak więc teraz, gdy nie stało oficjalnego zlewu, wydzielina musi się ustawiać pospołu z wszelką opozycją, w tym naszym polskim grajdole: obok „protestantów".

A teraz pytanie zasadnicze: po czyjej stronie jest wobec tego „protestantyzm" pospołu z wydzieliną? Odpowiedź jest jednoznaczna: po stronie „starego".

Może nie należało pisać powyższych uwag w stanie furii i z prześmiewczą ochotą, ale jest to jakieś felietonistyczne obciążenie no i dlaczego wśród rozgorzałych namiętności ja miałbym funkcjonować na zasadzie sopelka? Teraz jednak postaram się z większym opanowaniem zwrócić uwagę na inne niż tylko ekonomiczne następstwa owego polskiego wrzenia '91.

Czy „stare" naprawdę nam dziś zagraża wobec dekompozycji PZPR i kłopotów bratniego Związunia? Oczywiście w chwili obecnej nie. Popłuczyny PZPR są dostatecznie zgrane i przegrane, aby nie móc samowładnie odbudować swej siły. I charakterystyczne: to właśnie wskutek tego zgrania luminarze obecnej „socjaldemokracji" szermują aż tak demokratyczną retoryką propagandową. Słuchając ich dobrodziejczych wyznań i projektów, a także skarg i oskarżeń wydawać by się mogło, że przez lat czterdzieści z okładem oni o nic innego nie dbali, tylko o prawa obywatelskie, o wolność sumień i sprawiedliwość. Tylko

kto im przeszkadzał w tym zbożnym dziele? Może Watykan? A może USA? Ale najpewniej wzmiankowany już powyżej król Ubu pospołu z Gnębonem Puczymordą.

Same przez się relikty utopii nie zagrażają III Rzeczypospolitej, są jednak bardzo groźne, łatwo bowiem może się zdarzyć, że owa wrzaskliwa większość wypchnie „stare" z dołu na wyżyny „waaadzy" i na to wierni wyznawcy czekają. Siłą słabego „starego" jest to, że zachowało wcale rozległe doświadczenie w zakresie zdobywania i dzierżawienia władzy i że jest subordynowane partii (jakkolwiek by się nazywała). Demokracja to demokracja — ma swe uroki, ale ma i moc wad. Jedną z nich jest to, że o jej kolejach decyduje większość, niezależnie od tego czy jest milcząca czy hałaśliwa. Zbiorowa mózgownica owej większości jest słabo okrzesana, a za to podatna na hasła, zwłaszcza wszędzie tam, gdzie demokracja jest czymś nowym, przedmiotem dopiero zadanym a nie wyuczonym i dostatecznie wiele można wskazać przykładów na to, jak łatwo sama się wpędza w dyktatury. Ostatecznie Hitler uzyskał władzę nie puczem, który się nie udał, ale całkiem legalnie: zwycięstwem wyborczym, które mu otwarło wrota Reichstagu, a dalej totalitaryzm to już była umiejętność przechwytywania pełni władzy i wprowadzania terroru.

Mieliśmy podczas wyborów prezydenckich doskonały przykład chwytliwości nawet bezsensownych sloganów, owa bowiem zbiorowa mózgownica w swym stanie przedszkolnym odbiera kody wyrywkowe, odbiera raczej słowa niż ich wiązanie logiczne.

Obecna przednówkowo-polityczna sytuacja kraju jest taka, że mnoży się nieustannie coraz więcej partyjek, grup, frakcji, że funkcjonują efemeryczne unie i koalicyjki, co wszystko nie gwarantuje stabilności przyszłej władzy. Polacy są wprawdzie podatni na wodzostwo, na czar jednostki, na wiarę w zbawcze właściwości zbawicieli, obecnie jednak zdaje się nieco słabnąć popularność Wałęsy, z kolei bowiem ciż moi rodacy, tak skłonni go uwielbiać, równie skłonni są do niewierności i chimerycznych zmian nastrojów i ocen. Jeżeli zaś zabraknie osobowej polaryzacji, to co otrzymamy w zamian? Targowisko partyjek, z których żadna jak dotąd nie dopracowała się znaczenia. A już w szczególności stronnictwa chłopskie wprost śmieszne w swoim rozdrobnieniu i partykularyzmie. To samo dotyczy chadeków, postendeków, PPSowców, a także nowych formuł: porozumienia Centrum jak też Unii Demokratycznej pospołu z ROAD.

Była dotychczas zwarta i tworząca blok koalicja ugrupowań wyrosłych z „Solidarności". W związku z wysterowanym zresztą demontażem „Solidarności" rozwalił się blok i pozostała pustka, czego można się było spodziewać, bo nie potrzeba wielkiej wyobraźni, by zdać sobie sprawę z tego, że po zawaleniu ruchu sto-

jącego na dość zresztą nieokreślonej podstawie ideowej, na opuszczonym poletku powstanie tylko kłębowisko chwastów. Więc nie żadna „wojna na górze", ale jarmark na dole. No i mamy go w pełnej krasie, przy której spazmy sejmokracji wczesnych lat dwudziestych to po prostu małe piwo.

A więc „stare" może nadejść niespodziewanie i wcale nie od strony partyjnych popłuczyn PZPR, ale od strony mas, które — mącone mentalnie, podszczuwane, dezorientowane — postanowią się orientować na łakome hasła i obietnice bez pokrycia. I fala prowokowanego niezadowolenia, „protestantyzmu", tradycyjnie polskiego zamiłowania do nierządu wyniesie nam nagle na czubek jakiegoś lokalnego czy zamorskiego wybawiciela. A ten będzie umiał łatwo wymienić demokrację na dyktaturę, bo w takim kraju jak nasz, którym włada przekonanie, że zamieszkuje go naród miłujący wolność, takową bardzo łatwo można zlikwidować i zastąpić wypchaną frazesami dyktaturą. Zanim zaś zbiorowa mózgownica się opamięta, będzie już po zapustach.

Nie podzielam furii „przyśpieszaczy", że to nieszczęście iż się wybory przewlekły, bo jakikolwiek kontrakt ustanowił obecny parlament, to to co się w nim z bloku „solidarnościowego" znalazło nie jest aż tak złe, jak się teraz głosi. Jacy bowiem ludzie zajmą ich miejsce po nowych wyborach? Gdyby się odbywały w maju, to obawiam się, że większość stworzyliby bezkontraktowi zwolennicy „starego", niezależnie od tego, jak się sami firmują.

A jesienne wybory dają przynajmniej — nikłą zresztą — szansę ukształtowania się jakiejś politycznej siły, która wyrośnie ponad partyjniactwo, sejmikowanie, wrzaskliwość politycznych niekompetentów. Tylko, że trzeba nad tym popracować. Przednówek oznacza okres trudny, ale przecież po przednówku przychodzą żniwa. Jeżeli kandydaci do władania tym krajem nie zabiorą się do rzetelnej i wytężonej pracy już teraz, to „plon niesiemy, plon" będzie akurat taki sam, jak ten, który pod publiczne budynki podrzucają kmiecy „protestanci": zjełczały i niejadalny dla normalnych ludzi.

Rodacy, opamiętajcie się, idzie szerokim frontem „stare" i to my, właśnie my, często nieświadomie w tym nadchodzeniu bierzemy czynny udział. Czy naprawdę chcemy „starego"?

Tadeusz CHRZANOWSKI

Wywiady „Kultury"

Wyższa cena

ROZMOWA Z PRZEWODNICZĄCYM RADY NAJWYŻSZEJ LITWY PROF. VYTAUTASEM LANDSBERGISEM

Marek ZIELIŃSKI: — *Panie Prezydencie, Litwa przysparza Związkowi Sowieckiemu coraz większych problemów. Można odnieść wrażenie, że Gorbaczow nie bardzo wie, co dalej robić z litewską niepodległością. W scenariuszu* pieriestrojki *nie było na nią miejsca.*

Vytautas LANDSBERGIS: — Na pewno. Dlatego Michaił Gorbaczow nie jest zdecydowany, jakie zastosować wobec nas metody. Ogólna linia polityki sowieckiej jest, co prawda, taka jak zawsze. Przeciwnika należy złamać, zniszczyć do końca. Kreml ma jednak kłopot z tym, w jaki sposób zrealizować najskuteczniej swoje zamiary. O nic innego nie chodzi, gdyż tam w ZSSR liczy się jedynie pragmatyzm. A poza nim reszta jest nieważna.

M.Z.: — *Może więc z tego powodu macie szansę?*

V.L.: — Przywrócenie stanu sprzed ogłoszenia niepodległości jest niemożliwe. Przywódcy sowieccy czują, że siłą można pogorszyć naszą sytuację obecną, ale nie uda już się doprowadzić do tego, co było dawniej. Zmieniła się atmosfera duchowa na Litwie. Litwini myślą inaczej niż przedtem.

M.Z.: — *Przestali się bać?*

V.L.: — Tak. I uwierzyli w wolność. Nie wyrzekną się prawa

do niej. Za utrzymanie i utrwalenie niepodległości Litwini gotowi są płacić wysoką cenę.

M.Z.: — *Czy jednak koszty uniezależnienia od Związku Sowieckiego nie są zbyt wysokie? Nie obawia się Pan nawrotu represji podobnych tym, które zdziesiątkowały naród litewski po aneksji 1940 roku?*

V.L.: — Moskwa będzie próbowała nas osłabić wewnętrznie, co do tego nie mam wątpliwości. Zresztą atak taki na Litwę trwa przez cały czas. Najłatwiej jest wykorzystać mniejszości etniczne i utrwalić podziały. Potem nietrudno wzniecić konfrontację między ludźmi, co daje pretekst do wtrącania się w nasze sprawy i udzielenia „pomocy" tym, których Kreml uzna za prześladowanych. Hasło obrony słabszych albo wprost „swoich" pozwala osiągać korzyści polityczne.

M.Z.: — *Osłania przed krytyką ze strony społeczności międzynarodowej?*

V.L.: — Nie tylko. Także przekonuje do aprobaty działań wojskowych własnych obywateli. Po Afganistanie Rosjanie są wyczuleni na imperialne zachowania Centrum. Bez poparcia ze strony obywateli Rosji sowiecka władza jest bezsilna. Może użyć tylko chwilowej przemocy wojskowej.

M.Z.: — *Klucze do niepodległości Litwy są w ręku Jelcyna?*

V.L.: — W polityce tak jest, że zachowania jednych wpływają na innych.

M.Z.: — *Mała Litwa oddziaływuje na wielką Rosję?*

V.L.: — Znaczenie naszej walki o niepodległość wykracza daleko poza Rosję.

M.Z.: — *Jesteście niebezpieczni dla całego Związku Sowieckiego. Nie może się Pan dziwić, że Gorbaczow chce zawrócić Litwę do szeregu.*

V.L.: — Powrotu nie ma. Zresztą i sytuacja w ZSSR jest inna niż przed dwoma laty. Litwini nie są sami. Nikt też naprawdę nie wierzy, że uda się utrzymać w starym kształcie dawny Związek Sowiecki. Nade wszystko nie można w dalszym ciągu popierać założeń leninowsko-stalinowskich, które stoją u jego podstaw.

M.Z.: — *Sowiecki prezydent żywi takie nadzieje.*

V.L.: — Za późno na przywrócenie *status quo ante*. I to zarówno na Litwie jak i gdzie indziej. Co najwyżej można jeszcze bardziej pogorszyć nastroje społeczne i doprowadzić do wybuchu rewolucji, która zniszczy wszystko i wszystkich.

Dotąd siłą władzy było przymusowe przyzwyczajenie społeczeństwa w ZSSR do systemu sowieckiego, w którym pomimo wszelkich trudności codziennych dawało się żyć. Rzecz jasna za cenę ucisku i biedy, korupcji, złodziejstwa, marnotrawstwa, konformizmu. To się skończyło w praktyce w ostatnich latach, jako posłuszne przyzwyczajenie. W tym systemie już nie można dalej żyć i zresztą nie ma również tego systemu. Rozpłynął się w nicość, tak na Litwie jak i wszędzie. Pozostała próżnia, w którą chcieliby nas z powrotem wciągnąć przywódcy z Kremla. Ale gdy zabrakło przyzwyczajenia do życia sowieckiego, trudno je zastąpić pustką, której nie ma czym wypełnić. Ideologia zmarła, a w ojców rewolucji bolszewickiej nie wierzy nikt, włącznie z sekretarzami KPZS. Na to miejsce nie weszło nic nowego. Dzisiejszy ZSSR przypomina kosmiczną czarną dziurę, z nagromadzoną olbrzymią energią negatywną, która w każdej chwili może się wylać na zewnątrz i zniszczyć świat. Sowiecki system nie posiada możliwości tworzenia, może jedynie niszczyć.

Najgroźniejsze niebezpieczeństwo upatruję w chaosie, jaki się tworzy w Moskwie. Prawie nie ma z kim rozmawiać, nie bardzo wiadomo kto wydaje rozkazy i naprawdę rządzi krajem, nie wiadomo czym jest obecny Związek Sowiecki. Nie piętnaście, owszem, ale czy dwanaście, jedenaście, dziewięć republik? Nieprzewidywalność polityczna prowokuje do agresji w kręgach, które za wszelką cenę próbują zdobyć władzę i odwrócić bieg zdarzeń. „Czarni pułkownicy", wpływowe koła partyjnej konserwy, szowinistyczna czarna sotnia z „Pamiati" chcą zmienić sytuację najpierw tam, w centrum, potem na obszarach Rosji, Ukrainy. Zamierzają przywrócić układ polityczno-społeczny z lat siedemdziesiątych, który zapewniał nieograniczone pole do nadużyć, samowoli, pozornej krzepy imperialnej. W gruncie rzeczy już za tym kryła się jedynie ideologiczna i moralna pustka. Próchno. Tak było wówczas, a tym bardziej jest dzisiaj. Tym niemniej przeciwnicy demokracji mają zamiar pójść na całego. Dlatego wybrali nienawiść, pragną wzbudzić irracjonalną agresję, ksenofobię, mocarstwowy nacjonalizm. W taki sposób mają zamiar też zniszczyć niepodległość Litwy.

M.Z.: — *Te plany przyniosły zatrute owoce w wielu republikach: Armenii, Azerbejdżanie, Gruzji, Mołdawii, Kirgizji... Czy Litwa ma na nie antidotum?*

V.L.: — Jak na razie nie dopuściliśmy do rozpalenia nienawiści pomiędzy Litwinami a mniejszościami. Liczymy się jednak z możliwą aktywną okupacją ze strony sowieckiego wojska i milicji specjalnej. Ostatnio przyjęliśmy na Radzie Najwyższej uchwałę, która precyzuje zachowania społeczeństwa na wypadek okupacji aktywnej na całym obszarze Litwy i przejęcia władzy przez siły sowieckie.

M.Z.: — *Trudno za pomocą uchwał przeciwstawić się czołgom. Sowiety nie cenią papieru.*

V.L.: — Czasem jednak boją się pokojowej formy sprzeciwu. Powszechne potępienie, z jakim spotkała się agresja z 11-13 stycznia w świecie, powstrzymało ZSSR od dalszych działań...

M.Z.: — *Nie wycofali jednak swoich wojsk?*

V.L.: — Nie. Są nadal w Wilnie i w innych rejonach Litwy. Tyle, że próbują politycznie przygotować dalszy ciąg działań militarnych. Na razie aktywizują „alternatywne" siły, posłuszne władzy sowieckiej. I udzielają im dużego finansowego poparcia włącznie z wojskowym. Zamiar jest jasny. Przygotowują odrębny ośrodek władzy, przeciwstawny parlamentowi Litwy. Zawsze lepiej dysponować na miejscu grupą marionetek, które wykonają każde polecenie, niż tworzyć rząd figurantów w Moskwie, jak to miało miejsce w przeszłości. Dla KGB ideałem byłoby pozyskanie przez ten alternatywny rząd zaufania i siły choćby w ograniczonych kręgach miejscowego społeczeństwa. Wtedy już tylko jeden krok do pozornej wojny domowej. Wystarczy zresztą przedstawić kłótnie i waśnie opinii światowej jako konflikty etniczne albo wojnę domową i nikt nie ujmie się za legalną władzą, łatwo ustępując propagandowej presji sowieckiej.

M.Z.: — *Ponury obraz.*

V.L.: — Realistyczny. Tak wygląda scenariusz konfliktów politycznych w kaukaskich i azjatyckich republikach, w Mołdawii. A Afganistan?

U nas ten plan jednak nie wychodzi zbyt dobrze. Nie udało się doprowadzić nawet do najmniejszej bijatyki pomiędzy Rosjanami, którzy mieszkają na Litwie, a Litwinami, czy Polakami a litewską społecznością. Są spory, czasem pewne konflikty, ale na razie regulowane pokojowo bez walki. I zapewne dlatego, gdy ogłoszono powstanie tej rzekomo drugiej władzy: komitetu ocalenia, nie znalazł się nikt ze znanych postaci, kto by wszedł w jego skład. A szukano bardzo, tyle że nie można było nikogo znaleźć. Komitet pozostał anonimowy. Toteż kiedy następnego dnia po ataku komandosów przyjechali przedstawiciele Gorbaczowa, mogli powiedzieć nam jedynie to: po jednej stronie stoi parlament i społeczeństwo Litwy, a po drugiej wojsko. Nikogo nie ma pośrodku, żadnej trzeciej siły. A ponieważ to wojsko jest obce...

Nie da się oszukać opinii anonimowym komitetem bez nazwisk. W taki sposób nie można osiągnąć żadnych politycznych rezultatów. Jedynym wyjściem jest przywołać na scenę znane z przeszłości paramilitarne drużyny (*Riebjata*), powołać tak zwane struktury milicji ludowej. Na Litwie trafi do nich niewielu, ale w Wilnie, w sowieckich fabrykach zaciąg ma szanse i wtedy będą próbować zrobić przewrót. Ostatecznie, co im krew, ludzkie nieszczęście! Liczy się władza. I interes Kremla. Na razie póki co szachują nas oderwaniem kawałków Litwy na rzecz Białorusi. Grożą oddaniem jej nawet Wilna — a może sowieckiej Polsce? Bajeczki, ale dla nastrojów społeczeństwa jakiś skutek mogą odnieść.

M.Z.: — *Niektórzy Polacy na Litwie uwierzyli sowieckim zapewnieniom.*

V.L.: — Wspólne nieszczęście, a najbardziej dla nich. I to wtedy, gdy prawny status mniejszości polskiej jeszcze polepszył się wskutek nowych uchwał parlamentu. Zerwano z propozycją gramatycznej lituanizacji końcówek polskich nazwisk i przywrócono ich pisownię, otrzymali zapewnienie o szerokiej autonomii kulturalnej i administracyjnej we wschodnim okręgu. Wydawało się, że są zadowoleni, uspokojeni że nikt już nie będzie ich przerabiał, chociaż tak naprawdę, to od dawna przerabiano ich na Rosjan...

M.Z.: — *Gdy wziąć pod uwagę, że tylu polskich przywódców woli rozmawiać po rosyjsku, kto wie czy nie zostali zrusyfikowani?*

V.L.: — To zbyt krzywdzące przypuszczenie dla całej polskiej grupy. Mimo warstwy zainteresowanych z KPZS, osobiście winię jedynie niektórych przywódców o zbyt wybujałe ambicje, za którymi nie idzie rozsądek. Ich żądania nie uwzględniają sytuacji

litewskiej. Pojawiają się w coraz nowszych wersjach, które są niełatwe do spełnienia.

M.Z.: — *Szantaż, że będą głosować za władzą sowiecką i oderwą swój okręg od Litwy wybierając na powrót Związek Sowiecki budzi wątpliwości, co do intencji i stawia ich w określonym świetle.*

V.L.: — To widać w kilku przypadkach osobistych, ale bez przesady. Po prostu przywódcy Polaków litewskich są czasami ludźmi o zbyt wąskich horyzontach politycznych. Najgorsze, że mogą zaszkodzić rodakom, polskiej mniejszości, gdy będą narzucali im swoje sowieckie preferencje. Widzę w tym raczej głupotę, a czasem — ubeckie albo bolszewickie przekupstwo.

M.Z.: — *W polityce błąd jest gorszy od zbrodni. Tak przynajmniej twierdził Talleyrand. Pan, Panie Prezydencie, też popełnia błędy. Nade wszystko postawił Pan za wysoko poprzeczkę. Na tym moralnym pułapie, gdzie się Pan znalazł, nie ma już miejsca na kompromis polityczny.*

V.L.: — Cały czas w świecie mylnie się komentuje pojęcie kompromisu, który obserwatorzy przeciwstawiają postawie pryncypialnej, jaką grzeszy Litwa w ich oczach. Proszę bardzo, jesteśmy za kompromisem. Zawsze byliśmy gotowi na przyjęcie kompromisowych rozwiązań. I dzisiaj i wczoraj i rok temu, chociaż od stycznia byłoby trudniej parlamentowi przekonywać społeczeństwo litewskie do kompromisu. Problem leży jednak w czym innym; w granicy *możliwego* kompromisu. Pole jest dosyć szerokie, ale istnieje też linia, której nie można przekroczyć, gdyż za nią kończy się wszelki kompromis. Dalej mamy jedynie kapitulację, a nawet w niektórych przypadkach zdradę.

Zrozumiałe, że Związek Sowiecki nie chce tego dostrzegać, bo tylko w ten sposób może prowadzić swoją grę propagandową. Smuci mnie, że na Zachodzie często nie odróżnia się kompromisu od kapitulacji. To przecież jest takie jasne i proste. Litwa nie może wstąpić do ZSSR. Nasz kompromis nie może na tym polegać. Jest niemożliwy do przyjęcia, gdyż odbiera nam wszelki ruch i obezwładnia politycznie. Nawet, gdyby obiecano nam wystąpienie za kilka lat, po których Litwini otrzymają wszystko. I ropę i niepodległość. Nie, takiej możliwości nie ma... Nikt jej nie ma, ani prezydent Litwy, ani parlament.

Czy gdyby Polakom złożono podobną obietnicę, to polskie społeczeństwo zgodziłoby się na to? Wstąpiłoby do Związku na kilka lat?

M.Z.: — *Nie boi się Pan kosztów bezkompromisowej postawy? Czasami lepiej przeczekać złą koniunkturę polityczną. Nie ma sensu płacić krwią litewską, tym bardziej że Litwinów jest mało.*

V.L.: — Ba, gdyby było inne wyjście? Na razie pozostaje nam to jedno. Musimy trwać przy swoim prawie. Nie można wyrzec się prawa do wolności.

M.Z.: — *Nawet za tak wysoką cenę?*

V.L.: — Jeżeli będzie potrzeba, zapłacimy jeszcze wyższą cenę. Mówię to w swoim imieniu, ale podobnie myślą deputowani do parlamentu i większość Litwinów.

M.Z.: — *Okoliczności zewnętrzne są dla Litwy coraz trudniejsze. Gorbaczow sięga do arsenału imperium: wojska i policji. Nie odda Litwinom niepodległości.*

V.L.: — Elektoralną i parlamentarną walkę rozpoczęliśmy już rok temu. Niektórzy wtedy krytykowali nasze decyzje. W ich oczach były za wczesne. Należało niby zaczekać do czasów, gdy ZSSR dojrzeje do rozpadu i inne republiki też zechcą się wyzwolić. Sądzę inaczej. Ktoś zawsze jest pierwszy. Litwa za długo była w niewoli, żeby mogła zwlekać.

A zresztą tak się złożyły okoliczności, że nie mieliśmy innej drogi. Czasy szły na gorsze. Liczyliśmy dni i godziny, żeby zdążyć zadeklarować niepodległość zanim Gorbaczow otrzyma specjalne pełnomocnictwa. W powietrzu wisiała nowa ustawa o warunkach separacji od Związku Sowieckiego. To był najwyższy czas, żeby zrobić krok w stronę niepodległości. Dokonaliśmy słusznego wyboru.

M.Z.: — *Wielu sądzi inaczej. Zarzucają Panu brak wyczucia politycznego.*

V.L.: — Bronię naszej deklaracji nie tylko jako współautor. Widzę jej konsekwencje po dzień dzisiejszy. Pomimo wszystkich prowokacji jesteśmy w większym stopniu wolni niż poprzednio. Skutków ogłoszenia przez parlament niepodległości Litwy Kremlowi nie udało się wymazać. Są trwałe.

M.Z.: — *Nawet, gdy wojsko zajmie wszystkie gmachy i zepchnie rząd do podziemia, a Prezydenta Litwy zamknie na Łubiance?*

V.L.: — Oczywiście. Pan nie docenia siły moralnej i również politycznej tego rodzaju aktów. Nie jesteśmy straceńcami jak nas sobie wyobrażają niektóre koła zachodnie. Umiemy nieco przewidywać. Kto wie, czy nie lepiej od polityków Zachodu, którzy wciąż mają kłopoty z rozpoznaniem istoty sowietyzmu. Proszę nie zapominać, że przetrwaliśmy tyle lat w brzuchu potwora. Chyba umieliśmy zdobyć się na jakieś kwalifikacje polityczne.

M.Z.: — *Wciąż tkwicie w brzuchu.*

V.L.: — Nie. Związek Sowiecki już nas nie przetrawi, a dokładnie mówiąc to stoimy mu w przełyku. Dławi się nami, Łotyszami, Estończykami, a po trochu i innymi: Gruzinami, Ormianami. Może niedługo przestanie trawić również i Rosjan.

M.Z.: — *Wtedy się skończy...*

V.L.: — Amen. A tak na poważnie, to chcę podkreślić moją wiarę w słowo, w wartości, w przysięgę. Widzi Pan portret Vaclava Havla?

M.Z.: — *Piękny.*

V.L.: — Przypomina o sile bezsilnych. Wiara w zasady daje nam siłę. Chyba skutecznie, bo Litwa okazała się silniejsza niż sądzili generałowie. Styczniowa agresja spaliła na panewce. Była kosztowna dla Litwinów, ale i wzmocniła nas. W tej sytuacji przeciwnik nie bardzo wie, co zrobić z nami. Przesiedlić Litwinów na Syberię? Nie te czasy.

Wywalczymy niepodległość. Nasza deklaracja zaszłoroczna była do niej pierwszym krokiem. Byliśmy upoważnieni, więcej, bo złożyliśmy przysięgę, że tego właśnie dokonamy, jeśli nas wybiorą do parlamentu. Wyborcy zaufali nam, całemu Sajudisowi. Mieliśmy zdradzić zaufanie? Albo odłożyć akt niepodległości na niewiadomą przyszłość? Na gorsze czasy?

Nie. Takie było przeznaczenie. I nie miało sensu prowadzić gry, kombinacji z niedokończonymi wyborami. Dawało się przełożyć deklarację na później pod pozorem drugiej rundy wyborów, kiedy Gorbaczow miał już otrzymać swoje pełnomocnictwa, co podrzuciłoby dobry pretekst, że nic już nie można, że sytuacja uległa zmianie. Tego nie chcieliśmy i zamiast czekać miesiąc, skończyliśmy wybory w dwa tygodnie. Nie można siebie oszukiwać, żeby tylko uniknąć kłopotów. To dałoby się odczuć jako amoralne.

Mieliśmy zrobić wszystko, co możliwe i to zrobiliśmy, żeby nie wstydzić się siebie samych. Jeszcze w ostatni dzień rano były sprawdzane listy deputowanych, obecność tylko co wybranych, żeby zachować potrzebne *quorum* konstytucyjne. Gorbaczow się pomylił, gdyż nie zbieraliśmy się nocą. Obrady trwały cały dzień a skończyły się o 12 w nocy. Jest za to prawdą, że przygotowania trwały nocami. Przez parę tygodni. I tego mieliśmy nie robić? Nonsens.

M.Z.: — *Rozumiem, że wyjście ze Związku Sowieckiego jest dla Litwinów najistotniejsze. Pozostaje jednak pytanie: co dalej? Po tylu latach bliskich związków ekonomicznych, uzależnień gospodarczych, włączaniu Litwy w struktury całego organizmu związkowego, nie macie szans na samodzielność. Nie macie też programu społeczno-gospodarczego. Litewska niepodległość skończy się kalectwem. Słusznym moralnym wyborem nie nakarmi się, Panie Prezydencie, narodu. W Polsce tę lekcję już braliśmy ze słabym skutkiem.*

V.L.: — Jedno chcę skorygować. Nie wychodzimy ze Związku Sowieckiego. Tak nas — co prawda — pragną widzieć niektórzy, żeby przedstawić w niekorzystnym świetle jako tych, co opuszczają statek...

M.Z.: — *Statek tonie...*

V.L.: — W sensie prawnym nigdy nie byliśmy w Związku Sowieckim. Zostaliśmy do niego włączeni siłą. Teraz chcemy jedynie normalizować nasze stosunki z ZSSR. Przywrócić prawo, które złamał przed pięćdziesięciu laty Stalin.

Prosto i trafnie powiedział kiedyś o tej sytuacji stary Litwin, który odwiedził Parlament, żeby osobiście oddać list do moich rąk. Spytał nas krótko: po co te rozmowy, negocjacje z Sowietami? Jak przyszli, tak niech sobie i pójdą.

Oczywiście, że tak nie będzie, ale w sensie obiektywnym ten staruszek miał rację. Nie my wychodzimy, ale oni. Nasze społeczeństwo pragnie zachować dobre stosunki z nimi jako sąsiadami. Bez oglądania się na przeszłość i bez względu na to, co robili, ile ofiar kosztowała ich okupacja, ilu Litwinów zginęło, zostało wywiezionych. Rosjanie też przecież ginęli, co jest skutkiem systemu. Nie obwiniamy narodu, ale ustrój polityczny. Za jego zmianą pójdzie zmiana wszystkiego. Wróg jest wspólny dla nas, Rosjan i innych narodów ZSSR: komunizm. Naród nie jest wrogiem drugiego narodu. A przynajmniej nie sam z siebie.

M.Z.: — *Panie Prezydencie, nie przekonuje Pana teza, że komunizm mógł urodzić się jedynie w Rosji?*

V.L.: — Nie. I dlatego nie walczę z Rosją. Życzę jej wolności. W naszym programie nie ma miejsca na ksenofobię. Tę pozostawiamy innym.

M.Z.: — *A co jest?*

V.L.: — Dużo rzeczy. Wszystkie są związane z konkretną sytuacją polityczną. W naszych warunkach inaczej nie można reformować kraju. Generalnie program gospodarczy ma zrodzić inicjatywę i rynek, ale też ma na celu rozszerzenie platformy wyborczej. Bez poparcia ludzi nie osiągniemy wiele. Dlatego postawiono na zdecydowane odejście od systemu sowieckiego: na prywatyzację i własność. Za tym już przejście do gospodarki rynkowej i swoboda wyrażania siebie zarówno w sferze ekonomicznej jak i w polityce, poprzez odpowiednie organizacje, szkolnictwo, a nade wszystko przywrócenie struktur demokratycznych, na których można oprzeć demokrację i państwo prawa.

M.Z.: — *Czy to realne?*

V.L.: — Tak, ale pod jednym warunkiem: odzyskania przez Litwę suwerenności, statusu państwa stosunkowo politycznie niezależnego, ze swoją konstytucją, bankami, wojskiem, co pozwoli nam na samodzielne działania. Nikt nie będzie się wtrącał do wyboru drogi przez naród litewski i narzucał Litwinom systemu społecznego, w którym nie ma miejsca na demokrację...

M.Z.: — *Jeszcze długa droga przed Litwą.*

V.L.: — Robimy wszystko, żeby ją skrócić. Na razie realizujemy program cząstkowych reform, które są także formą walki o niepodległość. Gdyż w naszej sytuacji jedno uzasadnia drugie. Każdego dnia nadrabiamy stracony przez 50 lat czas. Nie mamy innej siły niż zmienić rzeczywistość gospodarczą i społeczną Litwy. I to bez względu na zagrożenia. Chociaż w miastach stoi sowiecka armia, i przez nią są kontrolowane granice, wewnątrz odrabiamy lekcję reform w imię przekształcenia siebie w normalne demokratyczne społeczeństwo.

Dziedzictwo jest ciężkie. Kultura społeczna, etos pracy, stosunki pomiędzy ludźmi zostały zrujnowane, zafałszowane i zdenaturalizowane. Tylko tyle pozostało po systemie. Niełatwo wyjść

na drogę, która prowadzi w stronę normalnego państwa. Litwa płaci koszty przeszłości sowieckiej.

M.Z.: — *Przeszłości? Nie za wcześnie pogrzebał Pan system sowiecki.*

V.L.: — Powtarzam jeszcze raz. On jest już martwy. Pozostały po nim stare przyzwyczajenia, nawyki, co odbija się czkawką demogogii w zachowaniach politycznych ludzi i grup społecznych. Na Litwie glebą dla tego jest obecność sowiecka, która pozwala skorzystać z nacisku sił wojskowo-politycznych dla zachowania starych sposobów życia. Ci, co myślą o utrzymaniu anachronicznego systemu mogą się oprzeć na okupantach. W Polsce macie lepiej. Rosjanie opuścili wasz kraj. U nas jest podwójne obciążenie. Jednak robimy wszystko, co możliwe. Na tym polega nasza walka, budowanie niepodległości pokojowo.

M.Z.: — *Litewska droga do wolności?*

V.L.: — Tak. Gdy to się zacznie w pełni, ludzie będą odczuwać, że już jest inaczej, że następują znaczące zmiany. Mogą kupić mieszkanie, akcje fabryk, wziąć w swoje ręce odpowiedzialność za kraj. Jeśli się za coś odpowiada, jest się obywatelem. Takie prawa wprowadzamy obecnie. Chcemy ukształtować społeczeństwo obywatelskie w miejsce wykorzenionych grup, których jedynym spoiwem pozostaje nienawiść do innych, etniczny szowinizm. Takie są skutki sowietyzacji i odebrania własności.

Przez lata narody Związku Sowieckiego nie miały niczego własnego, były morzone głodem, zniewolone. Wszystko dlatego, żeby system mógł je wykorzystać dla podboju świata. Do tego się sprowadza podstawowy cel ustroju sowieckiego. Systematycznie niszczono korzenie. Nad imperium nie zachodziło nigdy kłamstwo. Na nim oparł się komunizm.

M.Z.: — *Potrzeba lat na odbudowę Litwy.*

V.L.: — Mamy dużo roboty. Mamy też program ogólny i konkretne zadania. Zarówno na miesiąc jak i na rok. Większość z tego stawia przed nami samo życie. Wydarzenia niosą potrzeby. Nie można marnować czasu, gdy od roku wisi miecz Damoklesa. Litwie wciąż grozi ultimatum Gorbaczowa, że jeśli nie uznamy konstytucji sowieckiej, Kreml ma prawo zrobić z Litwinami wszystko, co zechce. I zrobią. Na razie pozwalają nam jeszcze pomyśleć. Dają szansę.

M.Z.: — *Humaniści.*

V.L.: — Dobrze, że nie sięgają do ostatecznych rozwiązań. W naszej sytuacji czas liczy się potrójnie. Wszystko, co odwleka aktywną okupację, zarazem przybliża niepodległość. Wspomaga wolność, chciażby wbrew chęciom przeciwników litewskiej suwerenności.

M.Z.: — *Wizyty polskich parlamentarzystów i symboliczne gesty polskich kół politycznych również pomagają Litwie?*

V.L.: — Pomoc z polskiej strony jest bardziej znacząca niż tylko odwiedziny senatorów i posłów. Ich pobyt zresztą także odegrał dużą rolę. Ważne, że w okresie największych zagrożeń byli z nami w siedzibie parlamentu, że przejawili solidarność z Litwą. Dla napastników stanowili sygnał, że Litwini nie pozostali sami. Solidarność tu była niezwykle istotna.

Niezależnie od tego doszło konkretne wsparcie charytatywne: lekarstwa, żywność. W wojewódzkich miastach, a czasami i w małych miejscowościach Polski zbiera się pieniądze dla Litwy. Ta pamięć o nas ma szczery wymiar, cenny duchowo, który napełnia Litwinów wdzięcznością. Pomimo wrogiej propagandy, oskarżania Litwy z zewnątrz, co niekiedy podchwytywały polskie gazety, Polacy nie przestali nam pomagać. Polskie społeczeństwo dobrze rozpoznało, co jest prawdą i nie uwierzyło w kłamstwa, które płynęły ze źródeł postkomunistycznych, czasem wręcz od dawnej policji politycznej. Smuci mnie jednak, że takie błoto wciąż pada na Litwinów. A ostatnio jedna z gazet białostockich wręcz oskarżyła mnie o zamiar wieszania Polaków, którzy mieszkają na Litwie. Na szczęście większość Polaków myśli inaczej. Szczera pomoc dowodzi tego wyraźnie. Litwini również dobrze wiedzą, kto próbuje skłócić nasze narody, i dostrzegają tę prawdziwą Polskę, która nie ulega niczyim podszeptom i wyznaje te same wartości, co i nasze społeczeństwo.

M.Z.: — *Zgadzam się z Panem, że w Polsce można odnaleźć różne nastawienia do Litwy, mniej i bardziej sympatyczne. Żałuję jednak, że rząd Rzeczypospolitej włącznie z Lechem Wałęsą umywa ręce i nie chce zająć zdecydowanego stanowiska w sprawie litewskiej niepodległości.*

V.L.: — Rząd polski ma swoje względy i rację stanu. Z tego bierze się chęć kompromisu, dążenie do częściowego tylko uznania Litwy, zadowolenia jakby wszystkich stron etc. Może się to wydawać mało, ale podobnie postępuje przecież cała Europa, która została uzależniona od ZSSR (albo tak jej się przynajmniej wydaje) i woli nie podejmować zdecydowanych decyzji politycznych. Czy boją się narazić Kremlowi? A może są infiltrowani przez osoby sympatyzujące z komunizmem, których zawsze było pełno na Zachodzie?

Nie wiem tego, ale chyba niemałą rolę grają ludzie, którzy pozostają pod jego wpływem. Niedawno czołowa gazeta francuska *Le Figaro* odmówiła druku artykułu pozytywnego dla Litwy, gdyż zbyt naruszał on pozycję Gorbaczowa... I nieistotne, że paryski dziennik ma prawicową orientację. Nawet tam bowiem sięgają wpływy sowieckie. Trochę to przeraża, ale z drugiej strony rozumiemy układ sił w świecie. Dlatego Litwinów nie dziwi, że w sposób niezależny postępuje najbardziej niepodległe państwo Europy: Islandia. Innym jest trudniej. Czego więc żądać od Polski?

M.Z.: — *Rozumiem ironię, Panie Prezydencie, ale boli mnie, że za mało w sposób realny popieramy Litwę. Litewska niepodległość jest w tej chwili najważniejszą sprawą tego regionu. Próba jej stłumienia siłą zakwestionowała w sposób nieodwracalny* pierestrojkę, *a lawiranctwo polskich polityków, w większości z kręgu „Solidarności", podważa niepodległość Polski. Czyżby i nasza suwerenność stała pod znakiem zapytania?*

V.L.: — Oczywiście, że Polska jest stosunkowo podległa. Ulega zastraszaniom politycznym z zewnątrz i od wewnątrz. Może inny rząd mógłby wspaniale, po rycersku przejść nad tymi zagrożeniami i stanąć ponad tym wszystkim. Nie możemy jednak tego żądać. Tylko żałujemy, że polski rząd nie jest tak wspaniały jak islandzki. Litwa bardzo by się ucieszyła, gdyby stało się inaczej... No, ale trudno.

M.Z.: — *Hasło „Za wolność waszą i nasza" bardzo przyblakło przez lata.*

V.L.: — Społeczeństwa z reguły siebie mitologizują i nie są zadowolone z rządu, że nie jest taki jak wyobrażenia o nim. Polacy chyba też przedstawiają siebie w historii jako rycerskich, pełnych szlachetności...

M.Z.: — *Rzeczywistość jest inna?*

V.L.: — To normalne. Nikt nie jest tak rycerski, jak można o tym czytać w książkach. Nie czynię wyrzutów Polsce. Warunki są trudne i polska sytuacja może budzić wiele obaw. W każdym

razie odczuwamy poparcie. Jest lepiej niż było przedtem, w zeszłym roku. Postęp napawa otuchą.

M.Z.: — *Jednak możliwości polskiego rządu są większe?*

V.L.: — Tego nie wiem. Jedno prawda, że zależy nam na czasie, a wszystko, co się dzieje między Polską a Litwą nie uwzględnia konieczności pośpiechu. Jutro może być za późno. A Polacy przegapią możliwość wsparcia demokracji w Europie i wyrwania dyktaturze komunistycznej kawałka naszego kontynentu. Co prawda nie tylko wy jesteście opóźnieni. Inni podobnie.

Nie chodzi o nas, że my stracimy nasze głowy. Europa straci swoją litewską szansę. I boję się, że Polska może przyjść do tych wniosków za późno. Chodzi tu o wznowienie naszych stosunków dyplomatycznych, stopniowe albo od razu. Za tym kryją się trudności dla Polski. Uznając nas trzeba powiedzieć jasno, że Litwa nie jest częścią ZSSR. Nie można łączyć Litwy ze Związkiem Sowieckim, gdyż aneksja nie jest normą prawa. Rozumiem, że tego „nieodłączania" na razie wymaga zasada *real-politik* niemieckiego typu, na czym wzorują się niektóre polskie kręgi. Jednak ze strony prawnej taki układ jest niemożliwy. Albo, albo. Uznanie albo odmowa. Jeżeli Polska nie uznaje okupacji sowieckiej i paktu Ribbentrop-Mołotow, to chyba winna nas traktować jako państwo, wobec którego obowiązują wszystkie rygory prawne w stosunkach międzynarodowych. Litwa jest ograniczona w swej suwerenności przez presję obcej siły militarnej, ale trzeba ją traktować jak państwo. Uznanie takie naszemu państwu litewskiemu bardzo mogłoby dopomóc, chociaż w obecnej chwili może grozić kłopotami dla Polski. Zawsze konieczne jest jednak wartościowanie. Co się bardziej opłaca na przyszłość? Jaki sąsiad? Litwa czy ZSSR?

M.Z.: — *Odpowiedź jest tylko jedna i nie ma wątpliwości, że polska racja stanu jest bezpośrednio powiązana z suwerenną Litwą.*

V.L.: — Odpowiedzi jest zawsze wiele. Każda z nich prowadzi jednak w inną stronę. Może nie zawsze pamięta się o tym w Warszawie, Bonn, Paryżu. Jestem jednak optymistą. Do uznania dojdzie powoli, metodą połowicznych kroków. Na razie otworzyliśmy biuro interesów i informacji w Warszawie. Są przedkładane projekty umów między Polską a Litwą, które obecnie rozważa Warszawa. Nad kilkoma konkretnymi kwestiami ostatniego projektu siedzi się i rozmyśla w polskim MSZ. Coś się rusza.

M.Z.: — *Mało. Na przeszkodzie stoi przedwojenna aneksja Wilna i Wileńszczyzny przez Polskę.*

V.L.: — Na pewno bylibyśmy uszczęśliwieni, gdyby Polska postawiła wyraźną kropkę w sprawie aneksji Wilna. Samo uznanie granicy za nienaruszalną, to w istocie za mało, bo graniczymy na krótkim odcinku. Co z terenami obecnej Białorusi przez które można wciąż sięgać po Wilno?

Ze strony prawnej znacznie większą wagę niż samo uznanie granic miałoby ustosunkowanie się do aktu aneksji, do okupacji dokonanej przez pozornie buntowniczego generała Żeligowskiego. Czy Polska byłaby w stanie się tego wyrzec?

M.Z.: — *Ba, kto to zrobi? Nie ten rząd, nie ci ludzie, nie taki format jak potrzeba. Tylko polityk podobny Piłsudskiemu byłby zdolny do przeciwstawienia się społeczeństwu. Marszałek kazał przyłączyć Wilno i on mógłby je zwrócić. Inni?*

V.L.: — Zapewne siły nacjonalistyczne w Polsce są i będą przeszkodą, żeby ocenić aneksję Wilna jako pomyłkę polityczną, która niefortunnie zaciążyła nad losami tak Litwy jak i Pana kraju. Wyprawa na Wilno, a potem na Zaolzie pozbawiła Polskę naturalnych aliantów. Powiedzieć to wyraźnie jest chyba trudno polskiemu politykowi. Ktoś, kto się na to zdobędzie, uzyska wdzięczność Litwinów na wieki. Pokochalibyśmy wtedy Polskę na 200 procent za to, że była do tego zdolna. Nie mam jednak na razie dużo nadziei.

M.Z.: — *Istotnie, gdyż w spadku po sowietyzmie otrzymaliśmy nacjonalizm. Chorzy na niego są wszyscy. Na Litwie też z tym nie lepiej. Lata okupacji sowieckiej nie minęły przecież bez śladu?*

V.L.: — Nie minęły. Oczywiście. I trzeba się dopiero wyzwalać od mnóstwa rzeczy. Muszę jednak przyznać, że kiedy przychodzi sprawdzian, nawet tak trudny i podobny tym dramatycznym wydarzeniom ze stycznia, dowiadujemy się nieoczekiwanie, że dusza litewska jest już wolna. Wolny jest człowiek na Litwie, który potrafi płacić cenę wyższą od życia. Trudno było w to wierzyć w dniu powszednim, ale w czasie opresji, gdy wybiera się to, co najistotniejsze, sprawa jest jasna. Wtedy nikt nie ma wątpliwości.

Litwa jest już wolna. To najważniejsze. Reszta przyjdzie potem.

1 marca 1991 w Parlamencie Republiki Litewskiej po polsku
rozmawiał Marek ZIELIŃSKI

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Mój dobry znajomy, profesor slawistyki, zadzwonił do mnie po kolejnej wizycie w Moskwie, aby podzielić się zdumieniem, że ludzie w Rosji zupełnie inaczej oceniają sytuację, niż my na Zachodzie. Z zadowoleniem oddaję sprawiedliwość mojemu przyjacielowi: on przynajmniej zauważył, że tubylcy inaczej patrzą na swoje życie aniżeli wielce miarodajni cudzoziemcy, którzy zawsze wszystko wiedzą lepiej. Nawiasem mówiąc jestem niesprawiedliwy, podkreślając, że Zachód nie rozumie co się dzieje w Kraju Rad. Ten sam brak zrozumienia cechuje polskich gości, zwłaszcza tych, którzy żywią historyczne przywiązanie do generalnego sekretarza i prezydenta, aczkolwiek sugerują, że gotowi są przelać to uczucie na przyszłego prezydenta Rosji (skończonego liberała i demokratę). Jednak ani Francuzi (i im podobni), ani Polacy nie są winni, skoro rosyjscy emigranci, którym pozwala się odwiedzić ojczystą ziemię (zawsze na bardzo krótko) też nie chcą niczego zrozumieć. Wyjątek stanowi Władimir Bukowski, który zrelacjonował swoje wrażenia w wywiadzie udzielonym Aleksandrowi Ginzburgowi dla *Russkoj mysli*. Bukowski nie dał się oślepić złudzeniom i dostrzegł, na czym naprawdę polega *pieriestrojka*, czyli — mówiąc jego słowami — „rosyjski burdel".

Wśród dat, które jak kamienie milowe znaczą etapy rządów Gorbaczowa, poczesne miejsce zajmuje 23 kwietnia 1991. Był to miesiąc trwogi: wszyscy bali się o Gorbaczowa. Przez świat przetoczyła się kolejna starannie zorganizowana fala paniki, którą tak lubi wódz *pieriestrojki*. Znów okrążyli go zewsząd przeciwnicy — lewica, prawica, biali i czerwoni. Kiedy na plenum KC krytyka jego posunięć nabrała szczególnego wigoru, generalny sekretarz wprawił wszystkich w popłoch, oświadczając, że gotów jest w każdej chwili podać się do dymisji. Obecni zadrżeli, bo żaden z przywódców partyjnych nie pragnie naprawdę odejścia Gorbaczowa. Przypomnijmy przy okazji, że w latach zdobywania władzy Stalin kilkakrotnie groził dymisją i zawsze zgadzał się zostać, kiedy go bardzo proszono.

W przeddzień 23 kwietnia sytuacja w ZSSR wydawała się bardzo napięta. Gorbaczow wrócił z Japonii z pustymi rękami, górnicy nie zgadzali się podjąć pracy, zanim nie dostaną dużej podwyżki, a Gorbaczow nie odejdzie. Zwołano plenum, na którym „prawica" miała zaatakować Gorbaczowa. 23 kwietnia zebrało się na zaproszenie Gorbaczowa w podmoskiewskiej willi dziewięciu prezydentów republik. Sześć republik — Gruzja, Armenia, Azerbejdżan, Estonia, Łotwa i Litwa — odmówiło podpisania umowy wszechzwiązkowej, wobec tego ich prezydenci byli nieobecni. Tekst uchwalonej w willi umowy znany jest tylko częściowo. Ponadto wiadomo, że oprócz podpisanego dokumentu istnieją też ustalenia ustne. Abstrahując od szczegółów, nawet ważnych, można sprowadzić wyniki spotkania do dwóch decyzji. Po pierwsze: republiki, które nie podpisały umowy, będą traktowane przez pozostałe jak państwa obce. Znaczy to przede wszystkim, że za wszystkie towary, kupowane w nowym Związku Sowieckim, będą musiały płacić twardą walutą. Po drugie, Gorbaczow i Jelcyn doszli do porozumienia, że odtąd będą działali wspólnie.

Nowa umowa wyraziła się dotychczas w fakcie, że Gorbaczow zgodził się oddać pod zarząd RSFSR przemysł węglowy, w zamian za co Jelcyn pojechał do Kuzbasu i przekonał górników, żeby wrócili do pracy. Nie jest jasne, co na tym wygrają górnicy (obiecano im, że będą mogli bezpośrednio handlować węglem — każda kopalnia dla siebie!), nie jest jasne, co będzie z innymi kopalinami (nafta, złoto, diamenty itd.), nie jest wreszcie jasne, czy inne republiki też uzyskają prawo do rozporządzania swoimi bogactwami naturalnymi. Na razie jasne jest tylko jedno, mianowicie fakt, że Gorbaczow zdołał — przy pomocy Jelcyna — zdławić ruch strajkowy. Zebrana Dziewiątka udzieliła mu zgody na wprowadzenie prezydenckim ukazem „specjalnego reżymu pracy w podstawowych przedsiębiorstwach". Sformułowanie znowu jest mgliste. Jedni twierdzą, że będzie to stan wyjątkowy. Inni — że nie całkiem wyjątkowy. Wszyscy są zgodni, że ukaz (spodziewany w połowie maja) wprowadzi zakaz strajków i moratorium na podwyżki płac.

We wspomnianym wyżej wywiadzie Władimir Bukowski mówi o Jelcynie: „...Można się do Jelcyna odnosić krytycznie, jednemu jednak trudno zaprzeczyć: Jelcyn, który odważył się zwrócić o mandat do narodu i który go uzyskał, otworzył w Rosji epokę demokratycznej polityki. Jest to bezsporne". W polityce mało jest rzeczy bezspornych. Borys Jelcyn jest, wydaje mi się, postacią bardzo sporną. Zaapelowanie do woli wyborców nie jest samo przez się gwarancją demokracji. Natomiast Bukowski ma rację, mówiąc o odwadze. Stanięcie do wyborów jest ze strony komunistycznego funkcjonariusza aktem odwagi. Ale zaraz po demokratycznych gestach, na początku kwietnia Jelcyn poszedł na tajne spotkanie — i na tajną umowę — z Gorbaczowem. 25 kwietnia tłumaczył się z tego przed Radą Najwyższą Rosji. Jego tłumaczenia zawierały kilka elementów. Zaczął od tego, że Gorbaczow ustąpił, a Rosja (czyli

on) zdobyła to o co walczyła. Następnie oświadczył, że umowa ta jest „ostatnią szansą na uratowanie kraju od nadchodzącego chaosu". Najciekawsze jednak było oświadczenie, że podróże zagraniczne, zwłaszcza zaś ostatnia podróż do Francji, wywarły na niego duży wpływ. Zrozumiał, że „Zachód nie będzie się liczył z poszczególnymi republikami".

Nic dziwnego, że wizyta we Francji zrobiła na Jelcynie wrażenie. Posłowie do Parlamentu Europejskiego w Strasburgu, prezydent Francji w Pałacu Elizejskim przyjęli przewodniczącego Rady Najwyższej Rosji jak burą sukę, okazując najwyższą pogardę jemu i jego funkcji. Prezydent Parlamentu Europejskiego Enrique Crespo tłumaczył w radio francuskim, że „sympatie Parlamentu Europejskiego są po stronie linii Gorbaczowa".

Jelcyn ma rację, Zachód nie będzie się liczył z poszczególnymi republikami. Mitterrand, który wpadł na kilka godzin do Moskwy, ażeby dać wyraz swojej miłości do Gorbaczowa, siedział na konferencji prasowej z wyrazem szczęścia na twarzy, słuchając jak gensek i prezydent w jednym ciele wynosił pod niebiosa krwawą interwencję armii sowieckiej w Armenii. Gorbaczow nie pozostawił żadnych wątpliwości co do tego, że Moskwa zamierza nadal — tak jak od 1986 roku — popierać Azerbejdżan, który podpisze umowę wszechzwiązkową, przeciwko Armenii, której śni się niezawisłość. George Bush nie pozostał w tyle za Mitterrandem. Dzień przed przyjęciem przywódców trzech republik nadbałtyckich prezydent Stanów Zjednoczonych nie pozostawił wątpliwości, że „utrzymujemy solidne i, jak myślę, dobre stosunki z prezydentem Gorbaczowem... Nie pragnę wyłomu w bardzo solidnych i bardzo pożytecznych stosunkach". Waszyngtonu nie niepokoją też wydarzenia na Kaukazie, tym bardziej, że — jak oświadczył *attaché* prasowy Departamentu Stanu — z Ameryki trudno się zorientować, czy chodzi o posunięcia niezbędne dla utrzymania porządku, czy o zdławienie pacyfistycznych ruchów. Dlaczego dążenie do niezawisłości narodowej nazywa się „pacyfistycznym ruchem", trudno zrozumieć. Może z daleka tak to wygląda?

Wieczne rosyjskie pytanie „co robić?" nie schodzi z łamów prasy, spędza sen z powiek politykom, publicystom i szarym obywatelom. Spośród licznych możliwych sugestii, jakie padały ostatnimi czasy, wybrałem trzy. Zacznę od recepty Władimira Bukowskiego, który daje odpowiedź polityczną, co jest zrozumiałe. Jest on jedynym emigrantem, który wie, czym jest polityka i ma talent, który być może pozwoli mu odegrać rolę w przyszłych wydarzeniach. Bukowski bezlitośnie krytykuje tzw. „ruch demokratyczny" i „demokratów", których ucieleśnieniem jest dla niego przewodniczący Rady Moskwy Gawriił Popow. „Uderzyło mnie — powiada — jak bardzo Popow jest odległy od rzeczywistości, jak nie rozumie sytuacji w kraju". Bukowski jest kategorycznie przeciwny propagowanej przez demokratów idei „okrągłego stołu". „Nawet polska Solidarność — zauważa — mimo całej swej siły bardzo ucierpiała od

okrągłego stołu". Co dopiero mówić o warunkach sowieckich: „Prowadzić negocjacje z pistoletem u skroni — to wręcz śmieszne".

Gawriił Popow powiedział Bukowskiemu: „Ale skąd, to tylko górnicy prą do strajku, wszystkim pozostałym nie jest on na rękę, nasi robotnicy nie potrzebują żadnych strajków, to nie ma sensu". Bukowski wręcz przeciwnie, miał wrażenie, że „głębokie warstwy ludności są rozpalone do białości. Bucha stamtąd żar, człowiek czuje, że wszystko to wybuchnie czarnobylskim płomieniem". Propozycja Bukowskiego: powszechny strajk polityczny z żądaniem obalenia ustroju. Kiedy to się stanie, można będzie przystąpić do niezbędnych reform: rozwiązać Związek Sowiecki, przejść do gospodarki rynkowej...

Można było się spodziewać, że Bukowski wyłoży swą myśl konkretniej: jak upadnie system, kiedy i co przyjdzie na jego miejsce. Jego odpowiedź na pytanie „co robić" sprowadza się do tego, co zacytowałem wyżej.

Inna odpowiedź ma charakter ekonomiczny. Ekonomista i pisarz Nikołaj Szmielew, który wsławił się publicystyką w pierwszych latach *pieriestrojki*, ogłosił w *Izwiestiach* 29.3.91 artykuł pt. „W czym upatruję nadzieję na ratunek". Jest to zwięzłe streszczenie programu, który obejmuje wszystkie aspekty polityki państwa, ze szczególnym naciskiem na gospodarkę. W polityce wewnętrznej Szmielew proponuje: 1) decentralizację Związku Sowieckiego; 2) popieranie i stymulowanie prawdziwie wielopartyjnego systemu, którego kościec stanowiłyby KPZS, socjaldemokracja, partia przemysłowa i partia drobnych rolników; 3) wzmocnienie w szybkim trybie wojska i przede wszystkim poprawa jego pozycji społecznej; 4) zaniechanie polityki stopniowego dławienia *głasnosti*; 5) tolerancja i wyrozumiałość wobec separatystycznych dążeń niektórych republik. W gospodarce: 1) prywatyzacja i rozwój przedsiębiorczości; 2) wzrost siły nabywczej rubla (przekonać zachodnich partnerów, aby udzielili kredytów na „zbiorową natychmiastową pomoc w nasyceniu rynku towarem"); 3) przyznać ludności — jak w czasie wojny — małe poletka, aby sama zaopatrywała się w kartofle i jarzyny. Wreszcie polityka zagraniczna: 1) podpisać traktat o ograniczeniu broni konwencjonalnej, zrezygnować z podwyższania wydatków na zbrojenia; 2) zachować wpływy na Bliskim Wschodzie (w szczególności wznowić stosunki dyplomatyczne z Izraelem); 3) uzyskać pomoc Japonii, a w tym celu oddać wyspy Kurylskie („być może nie od razu, stopniowo, ale jednoznacznie"); 4) opracować ogólną koncepcję rozwoju stosunków z Europą Wschodnią, której brak jest powodem „burzy i zamętu" w tym rejonie; 5) pełnoprawna i autentyczna współpraca z międzynarodowymi organizacjami gospodarczymi jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy itp.

Nawet bardzo zwięzła prezentacja dwóch „odpowiedzi" nie pozostawia wątpliwości, że Bukowski pragnie obalenia ustroju, a Szmielew jego remontu z zachowaniem fundamentów. Warto zwrócić uwagę na to, co Szmielew nazywa „autentycznym systemem wielo-

partyjnym". Wyliczył cztery partie. O KPZS nie warto mówić: liczy ona i dziś 15 mln członków, dysponuje olbrzymim majątkiem i wszechzwiązkową siecią organizacyjną. Socjaldemokracja i partia drobnych rolników jeszcze nie istnieją: niezliczone grupy, związki i stowarzyszenia o tendencji socjalistycznej albo kapitalistycznej (drobnokapitalistycznej!) w praktyce nic nie znaczą. Za to „partia przemysłowa" to inna para kaloszy. Nie nazywa się tak jeszcze, ale może się wyłonić ze Związku Naukowo-Przemysłowego, który tworzą dyrektorzy i inżynierowie (tzw. technokraci), reprezentujący 65% przedsiębiorstw przemysłowych kraju. Na czele Związku stoi Arkady Wolski, człowiek lat 58, wieloletni funkcjonariusz KC KPZS, bliski doradca Andropowa, który jednak nigdy nie wysuwał się na afisz. Jego nazwisko stało się znane, kiedy na pierwszym etapie konfliktu mianowano go przedstawicielem Moskwy w Górnym Karabachu. ZNP dysponuje autentyczną siłą w postaci głównych fabryk kraju. Do Związku należą najwięksi ekonomiści. Ich program jest podobny do programu Szmielewa: przywrócić porządek, zwiększyć wydajność ustroju. Niewykluczone, że nazwisko Arkadego Wolskiego pojawi się niedługo na pierwszych stronicach gazet.

Minęło już sześć lat, odkąd Michaił Gorbaczow odpowiada na pytanie, co robić. Jest to zawsze odpowiedź polityczna, a ściślej politykierska. Manewrując na szczytach władzy, Gorbaczow troszczy się tylko o siebie i zabiega tylko o jedno — o życzliwość Zachodu (też dla siebie samego). Tak patrząc na jego taktykę, łatwiej zrozumieć powody zagadkowej dymisji Szewardnadze. Były minister spraw zagranicznych ZSSR oświadczył niedawno, że nie wyklucza swojej kandydatury na stanowisko generalnego sekretarza ONZ. Na tym stanowisku bardzo by się przydał Gorbaczowowi wypróbowany przyjaciel.

Gry i zabawy, które gensek już od sześciu lat prowadzi z Jelcynem, są wyrazistym przykładem gorbaczowowskiej taktyki. W swoich (tzn. podpisanych jego nazwiskiem) wspomnieniach Jelcyn ukuł formułę: jeśli by mnie nie było, Gorbaczow musiałby mnie wymyślić. Co do mnie, to uważam, że Gorbaczow wymyślił Jelcyna i w ten sposób zapewnił sobie bezpieczeństwo. Twardogłowi komuniści, na których czele stoi pierwszy sekretarz komunistycznej partii Rosji Iwan Połozkow, wolą Gorbaczowa od Jelcyna, a Jelcyn oczywiście woli Gorbaczowa od Połozkowa. Gensek i prezydent zaś skłania się — zależnie od tego, co mu jest w danej chwili wygodne — raz w prawo, raz w lewo. Ale jego polityka kieruje się, jak igła kompasu, zawsze na północ — na ratowanie systemu.

Kiedy trzeba, stać go na szeroki gest. W nagrodę za rozejm Borys Jelcyn dostał w darze własne, rosyjskie KGB. Nieważne, czy będzie się ono mieściło w tym samym gmachu przy placu Dzierżyńskiego co KGB ogólnozwiązkowe, czy też dostanie własny lokal. Ważne jest jedno: przyszły prezydent Rosji zdobył instrument, bez którego nie może istnieć żaden sowiecki wódz.

10.5.1991

Adam KRUCZEK

Kronika kulturalna

Literatura polska lat 80-tych

WSTĘPNE ROZPOZNANIA, OCZYWISTE WĄTPLIWOŚCI, WĄTPLIWE OCZYWISTOŚCI

Tego wieczora główne siły na wyspie rozlokowane były w sposób następujący:

Zagubieni chłopcy poszukiwali Piotrusia, piraci tropili zagubionych chłopców, czerwonoskórzy tropili piratów, a dzikie zwierzęta tropiły czerwonoskórych. Szli wciąż wkoło i wkoło wyspy, ale nie spotkali się po prostu dlatego, że wszyscy posuwali się z tą samą szybkością.

Wszyscy łaknęli krwi z wyjątkiem chłopców, którzy zasadniczo też jej łaknęli, ale teraz wyszli, aby powitać swego wodza. Liczba chłopców na wyspie zmienia się oczywiście w zależności od tego, czy zostają zabici i tak dalej.

(James Matthew Barrie, *Piotruś Pan*, Fragment z rozdz. V pt. *Nibylandia staje się rzeczywistością*).

Zamiast wstępu

Ewidentnym nieporozumieniem jest dla mnie tak modne ostatnio, przynajmniej na poziomie deklaracji, przenoszenie chrześcijańskich ideałów tolerancji i wyrozumiałości na wszelkie sfery życia społecznego, w tym i na sferę estetyki, a co za tym idzie i aksjologii. Wybierając zatem pierwszoosobową formę wypowiedzi, zdecydowałem się na to, by być raczej niesprawiedliwym niźli zanadto wyrozumiałym; nie wiem zatem, czy zawsze mam rację (przynajmniej z różnych punktów widzenia), wiem

natomiast, że zawsze wypowiadam swoje zdanie — inaczej poważna rozmowa o literaturze nie ma sensu. Jakieś ryzyko trzeba podjąć i jakąś cenę zapłacić, bowiem uważam, że jednak jest o czym mówić, wbrew opinii niemałego grona znajomych, którzy podczas przygotowywania tego wystąpienia z politowaniem kręcili nade mną głowami.

1. Początkowe oczywistości — czyli skazana na niepowodzenie próba zaprowadzenia porządku.

Dwie daty są dla mnie oczywiste, ich znaczenie dla najnowszej historii Polski nie podlega chyba dyskusji. Pierwsza z nich to 13 grudnia 1981 roku, kiedy Rada Państwa wprowadziła stan wojenny na całym obszarze Polski. Druga to 17 kwietnia 1989, kiedy Sąd Wojewódzki w Warszawie wpisał ponownie do rejestru związków zawodowych Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność" z siedzibą w Gdańsku. Fakty późniejsze, w tym i wybory czy raczej referendum z dnia 4 czerwca 1989 roku, były już tylko logiczną konsekwencją. Często irytowało mnie podporządkowanie periodyzacji najnowszej historii literatury polskiej takim lub innym przetasowaniom na szczeblach władzy, jednak tutaj byłbym skłonny obstawać przy tych datach nie tylko ze względu na to, że ich znaczenia doświadczyłem osobiście.

Nie ma chyba większego znaczenia konkretna data sejmowej uchwały, zmieniającej nazwę państwa i godło. Na pewno jednak temu dziesięcioleciu (jak zwykle w dziejach literatury polskiej będzie to dziesięciolecie cokolwiek krótsze, a miejscami dłuższe, niźli mógłby to sugerować dosłownie termin) przysługiwać będzie za jakiś czas miano „ostatniego dziesięciolecia literatury Polski Ludowej", a przynajmniej „literatury PRL-u". W konsekwencji może to oznaczać ostateczne zniesienie podziału na literaturę „dobrze" i „źle obecną"; mam nadzieję, że nie nastąpi mechaniczna zamiana tych określeń.

Cechą charakterystyczną tego okresu jest bez wątpienia zdominowanie wszystkich sfer życia codziennego przez politykę. Co prawda w słowniku Jakuba Karpińskiego pt. *Polska — komunizm — opozycja* pod hasłem „mięso" czytamy: „[...] w Polsce powojennej mięsem zajmują się politycy", trudno też, co uświadamiał wielokrotnie Jacek Fedorowicz, znaleźć jakąkolwiek formę działalności, nawet sprzęt domowy, nie mającą charakteru politycznego, ale w tej dekadzie upolitycznienie kultury, literatury i sztuki sąsiadowało pod względem intensywności bezpośrednio z okresem socrealizmu. Miało to konsekwencje dla obowiązujących hierarchii wartości, dla kształtu oficjalnego jak i nieoficjalnego życia umysłowego, zaowocowało ostatecznie zalewem twórczości schematycznej.

Świadomie staram się ograniczać użycie epitetu „niezależny" i rozmaitych jego pochodnych, a to z tego powodu, że chociaż posiada on niezaprzeczalny walor moralny, nie zawsze bywa sensownym narzędziem opisu. Co więcej, uzależnienie od niezależności też jest pewną formą zniewolenia, przez zaprzeczanie stereotypom strony przeciwnej prowadzi do zależności — tyle, że w sensie negatywnym. Do tego problemu przyjdzie powracać nieustannie.

2. „Bibuła" — czyli od przybytku boli głowa

Zacznijmy od cytatu:

„Gdy sobie przypomnę swe lata dziecinne, staje mi żywo w pamięci obraz mego pierwszego zetknięcia z «bibułą» . Było to w dworku szlacheckim na Litwie jakieś dziesięć lat po powstaniu. Wrażenie wieszatielskich rządów Murawiewa było jeszcze tak świeże, że ludzie drżeli na widok munduru czynowniczego, a twarze ich wyciągały się, gdy w powietrzu zabrzmiał dzwonek, zwiastujący przybycie któregoś z przedstawicieli władzy moskiewskiej. W tym to czasie matka moja wyciągała niekiedy z jakiejś kryjówki, jej tylko wiadomej, kilka książeczek, które odczytywała ucząc nas, dzieci, pewnych ustępów na pamięć. Były to utwory naszych wieszczów. Tajemnica, którą te chwile były otoczone, wzruszenie matki, udzielające się małym słuchaczom, zmiana dekoracji, jaka następowała z chwilą, gdy niepożądany jakiś świadek trafiał wypadkowo na nasze rodzinne konspiracje — wszystko to zostawiło niezatarte ślady w mym umyśle".

I cytat drugi:

„My, proszę was, żyjemy tylko wówczas, gdy mamy bibułę! My, towarzyszu, śpiący tu jesteśmy, bibuła nas budzi!

Brak bibuły dla organizacji politycznej pod caratem, to brak krwi, anemia, skazująca organizację na suchotniczy żywot, na niemożliwość wywierania szerszego wpływu na ludzi, na powolne wymieranie".

Te dwa fragmenty pochodzą oczywiście z *Bibuły* Józefa Piłsudskiego; korzystałem — co nie bez znaczenia — z krajowego przedruku książki wydanej przez londyński „Puls", natomiast pewne nieczytelne miejsca porównywałem z luksusową publikacją tego tekstu przez gdańską spółkę „Graf" (jak najbardziej legalną). Niebawem przyjdzie czas i na to, by ostatecznie poprzestawiać książki na półkach bibliotecznych, miejsce czy status oficyny wydawniczej przestanie mieć jakiekolwiek znaczenie klasyfikujące, a tyczy to również bibliotek prywatnych — chociaż spora część publikacji drugiego obiegu sprawiać może kłopot swoją nieporęcznością. Na razie faktem jest, że zakończyła się pewna epoka w świadomości społecznej, książki oficyn nieza-

leżnych coraz częściej liczyć się muszą z prawami konkurencji rynkowej.

Nie znam wszystkich książek wydanych w tzw. drugim obiegu. Podejrzewam, że nikt ich nie zna, nawet — na szczęście — pracownicy odpowiednich departamentów Służby Bezpieczeństwa. Bibliografia tego typu publikacji zawsze skazana będzie na pewną niekompletność. W tym miejscu godzi się odnotować najpełniejszą, imponującą pod względem edytorskim pracę Józefy Kamińskiej, *Bibliografia publikacji podziemnych w Polsce, 13. XII. 1981 — VI. 1986* (Editions Spotkania, Paryż 1988). Skorzystałem wiele z tej książki, równocześnie poruszyła mnie pełna goryczy uwaga autorki: [...] gdybym mogła wykorzystać w swej pracy bogate zakonspirowane archiwa 'Solidarności', bibliografia na pewno by na tym zyskała. Mimo usilnych kilkuletnich starań nie dotarłam do żadnych zbiorów czasopism, jakie znajdują się w archiwach wydawnictw i różnych struktur 'Solidarności'. Moja praca, niestety, nie wzbudziła zainteresowania tam, gdzie się tego spodziewałam". No cóż, powiedzieć chyba można, że to sprawa jak najbardziej typowa. Natomiast przypuszczam, że owe przebogate zakonspirowane „archiwa" „Solidarności" to nic innego, jak kolejny mit na miarę „kufra" Norwida czy „skradzionej walizki" Peipera.

Masowemu pojawieniu się publikacji wydawanych poza cenzurą — a od sierpnia 1980 roku na pewno należy mówić o masowości — towarzyszyły rozmaite skutki uboczne, które dały o sobie znać szczególnie w okresie stanu wojennego. Myślę, że najwyższy czas, by zastanowić się zupełnie poważnie nad pewnym zjawiskiem, należącym do sfery socjologii literatury i estetyki recepcji, które należałoby określić terminem „syndromu obcowania z bibułą" — pewne aspekty tego zjawiska są obecne i we wspomnieniach Piłsudskiego. Otóż korzystanie z książek drugiego obiegu skazywało praktycznie na swoisty bezkrytycyzm. Zetknięcie się z każdą „nielegalną" publikacją stawało się swoistym świętem: czytelnika — chociażby przypadkowego — sytuowało w kręgu konspiratorów i spiskowców. Do tego dochodziła świadomość autentycznego niebezpieczeństwa, na jakie narażali się wszyscy ludzie, biorący udział w produkcji i rozpowszechnianiu „bibuły". Zrozumiałe zatem, że należało (wypadało?) przemilczeć wszystkie zastrzeżenia i wątpliwości; o drugim obiegu — przynajmniej w pismach należących do drugiego obiegu — przez bardzo długi czas wypadało mówić tylko dobrze. Publikacja w drugim obiegu nobilitowała również — przynajmniej w pewnych kręgach — autora, który równocześnie przyjmował na siebie obowiązek mówienia źle o kolegach publikujących w pierwszym obiegu. Nawet jeżeli chodziło o niewielki tomik poetycki, opublikowany na prawach rękopisu czy rozpowszechniony w kilku egzemplarzach (ob. Zbigniew Joachimiak, *Nasza wojna*, Gdańsk 1982), to zawsze była to jakaś podstawa do pomawiania innych o „kolaborację". Zdaję sobie sprawę z tego, że zarzucić mi można pewne uproszczenia, wszelako te właśnie uproszczenia funkcjonowały powszechnie, zjawisko zaś, o którym mówię, wiąże się nierozerwalnie z najnowszą historią literatury polskiej, odwołując się bezpośrednio do tradycji romantycznej.

3. „My" i „oni" — czyli role rozdane

Nie pamiętam, kto pierwszy stwierdził, że PRL to kraj zamieszkały przez dwa społeczeństwa, niewiele mające ze sobą wspólnego poza językiem, podobnym wyłącznie na poziomie fonetyki. Podział na niegdysiejszych „rządzących" i „rządzonych" byłby nazbyt daleko idącym uproszczeniem, na pewno jednak tytuł książki Teresy Torańskiej *Oni* jest ważną kategorią poznawczą; obydwie strony starały się wszelkimi sposobami podkreślić swoją odrębność. Zresztą jest oczywiste, że ów dualizm jest kolejnym ułatwieniem, nie były to dwie stałe grupy ludzi, zawsze jednak utożsamienie się z określoną wspólnotą prowadzić musiało do eliminacji jakichkolwiek walorów pozytywnych, jakie mogliby reprezentować ewentualni oponenci. Tyczyło to również literatury. Znakomitą ilustrację takiego postępowania znaleźć można z jednej strony w książce pt. *Literatura Polski Ludowej. Oceny i prognozy. Materiały z konferencji pisarzy w lutym 1985*. Układ tekstów i wstęp: Jerzy Adamski, Warszawa 1986 (czytelnik dopiero podczas lektury dowiaduje się mimochodem, że była to „konferencja pisarzy partyjnych", na której obowiązywała lista obecności), z drugiej zaś w bezlitosnej działalności krytycznoliterackiej Jana Walca i Adama Michnika, z trzeciej zaś — by uzyskać obraz w miarę przestrzenny — w książce Alfreda Łaszowskiego *Literatura i styl życia*.

Konsekwencją tych podziałów pionowych, poziomych czy ukośnych jest gettowy charakter współczesnej literatury polskiej: dzieła literackie i ich autorzy stawali się wyłączną własnością danego obiegu czytelniczego. Wyłącznie miejsce publikacji i nazwa oficyny wydawniczej decydowały o tym, że Witold Nawrocki mawiał nieustannie o „pożal się Boże Miłoszach, Barańczakach i Rymkiewiczach". Ale równocześnie wiadomo było skądinąd, że tych pisarzy i jeszcze parunastu innych cenić musimy po prostu dlatego, że to „nasi" ludzie, albo też „ich" ludzie uczynili im w jakiś sposób krzywdę. Wcale nie jestem przekonany o tym, bym musiał darzyć bezgraniczną miłością wszystkich pisarzy rosyjskich lub czeskich, o których pisali z uznaniem Andrzej Drawicz czy Andrzej Jagodziński. Czytelnicy

jednego obiegu, pisarze jednego obiegu — to w konsekwencji kilka wzajemnie się wykluczających systemów aksjologicznych, obowiązujących przecież na terenie jednej tylko literatury — czy mówić tu można o jakiejkolwiek polifonii, wątpię. Kilka lat temu uczestniczyłem w spotkaniu, na którym Tomasz Burek usiłował przynajmniej uporządkować wielość obiegów wydawniczych (a i czytelniczych), istniejących w Polsce; moja niezgoda z ówczesnymi, nader optymistycznymi, wnioskami referenta jest dalej aktualna. W dalszym ciągu nie wiem, gdzie wytyczyć granicę między pluralizmem a partykularyzmem, granica ta mimo wszystko istnieje.

Twórczość Tadeusza Konwickiego staje się w tym kontekście wyjątkowym zjawiskiem, i to chyba jeszcze sprzed opublikowania *Małej apokalipsy*. Czy jednak miejsce publikacji utworu literackiego może decydować o jego wartościach artystycznych, nie jestem przekonany. Na pewno jednak pozostaje problem świadomości rodem z dobrowolnego getta.

4. Miłosz, Gombrowicz i kilku innych — czyli odczytywanie

Niejaki Krzysztof Pysiak w telewizyjnym „Pegazie" odkrywa kolejne arcydzieła literatury polskiej, niekiedy tylko przyznając wstydliwie, że on to czytał nieco wcześniej. Nie mniej irytują mnie, spóźnione o lat kilka lub kilkanaście króciutkie recenzje, zamieszczane sporadycznie na ostatniej stronie *Gazety Wyborczej*. Przynajmniej we mnie budzi to sprzeciw — przecież należało to „przerobić" dosyć dawno, w swoim czasie.

Przypomnijmy zatem kilka znanych faktów. W październiku 1980 roku, w związku z ogłoszeniem o przyznaniu Czesławowi Miłoszowi literackiej Nagrody Nobla jego nazwisko pojawiło się po latach nieomal całkowitej nieobecności w oficjalnych środkach przekazu PRL. Nie wiem, na jakiej zasadzie (może mi to Jerzy Jarzębski wyjaśni, bo że za tym stał Jan Błoński, to doskonale wiem) w roku 1986 Wydawnictwo Literackie opublikowało w nakładzie 20.000 plus 350 egzemplarzy, a w jeszcze bardziej elitarnej jak na ówczesne warunki cenie 10 tysięcy złotych (kwota ta przewyższała kilkakrotnie cenę dzieł wszystkich tego autora, wydanych przez oficyny niezależne) dziewięć tomów *Dzieł* Witolda Gombrowicza. Co się składa na ten wybór i jak został on później uzupełniony, każdy wie. Nie chodzi mi bynajmniej o owe dziewiętnaście linijek *Dzienników*, których usunięcie zostało skrupulatnie odnotowane. W czym innym problem. Marek Hłasko czy Czesław Miłosz okazali się nie tacy straszni, jak pisali o nich ongiś publicyści i pisarze PRL-u, Gombrowicz wszedł do kanonu lektur szkolnych i wszyscy go kochają, albowiem wielkim wieszczem był. Przez długi czas na wystawie jednej z największych księgarni w Gdańsku leżała książka Gustawa Herlinga-Grudzińskiego pt. *Wieża i inne opowiadania* (nakład 30.000 egzemplarzy, więc wcale nie tak wiele); inna sprawa, że ta sama książka znikała momentalnie z punktów kolportażu przykościelnego, ale tam wszystko znika. Pamiętam swego czasu ukazujące się w *Trybunie Ludu* artykuły poświęcone literaturze polskiej, pisywane przede wszystkim przez Witolda Nawrockiego. Pojawiały się tam następujące sformułowania: „dla takich, jak (tu następowało mniej czy bardziej obszerne wyliczenie, zawsze jednak zawierające Herlinga-Grudzińskiego) nie ma i nie będzie miejsca w piśmiennictwie polskim". No cóż, miejsce się jednak znalazło, przynajmniej w witrynach księgarskich, ale co z tego?

„Panowie od polskiego" (jak mawiał o takich specjalistach fedorowiczowski „kolega kierownik") wywiązali się jednak bardzo dobrze ze swojego zadania. Tyle tylko, że niegdysiejsza „literatura źle obecna" nazywana jest dzisiaj „literaturą odzyskaną" (zobacz: *Przekrój*), mnie jednak interesuje, co konkretnie oznacza ta zmiana nazw, zwłaszcza że również nazwisko Józefa Mackiewicza coraz częściej pojawia się w druku. Oddajmy na chwilę głos Wojciechowi Karpińskiemu: „Wchodzę dziś pełen kaprysów do mojej księgarni (gdzie? na rogu Miłosza i Gombrowicza, tylko trochę dalej). Panna Mariola z uśmiechem usiłuje wmusić nowe książki: *Miazga* Jerzego Andrzejewskiego wydana przez PAX (z ilustracjami), *W polu* Rembeka nakładem MON-u, *Główne nurty marksizmu* Kołakowskiego w kieszonkowej edycji Książki i Wiedzy, *Inny świat* Herlinga-Grudzińskiego w PIW-owskiej serii 'Podróże'? Mam, znam, dziękuję. Chciałbym coś specjalnego. Panna Mariola sięga pod ladę (a jednak) i szepcząc 'to dla pana' ukradkiem wręcza mi książkę. Obiecuję zrewanżować się Fillerem (*Literatura małej emigracji*, wznowiona przez Chojeckiego metodą sitodruku)". No cóż, i to „specjalne" okazało się całkowicie nieaktualne, a mój przyjaciel na emigracji istotnie domagał się ode mnie książki Fillera w jakiejkolwiek formie i za każdą cenę. Coś mnie jednak niepokoi w tym sielskim obrazku Karpińskiego (poza tym, że uważam *Książki zbójeckie* za niedobrą rzecz, coś w typie opowieści o przemycie drzewa do lasu). Czy kogokolwiek dzisiaj jeszcze interesuje *Miazga* Jerzego Andrzejewskiego, wzbudzająca kilka lat temu wiele sensacji?

Zastanawialiśmy się kiedyś w gronie znajomych, jakie naprawdę ważne książki z zakresu literatury pięknej ukazały się w drugim obiegu. To zrozumiałe, że ciągle wymienialiśmy przede wszystkim nazwiska pisarzy emigracyjnych, w tym i nieżyjących już klasyków, jak Gombrowicz. Ostatecznie z produkcji krajowej zostało nam kilka powieści, w tym i Konwickiego,

dwa trzy tomiki opowiadań, kilka tomów wierszy. Nie w tym rzecz, czy dużo, czy mało. I tak te książki, jeżeli jeszcze to nie nastąpiło, będą wydane oficjalnie, a Pysiak będzie miał o czym mówić przez pięć minut (może kto inny, to i tak nie ma znaczenia). Jest to niezbędne dla ich pełnego zaistnienia w świadomości społecznej.

Przynajmniej w tym przypadku, również po zapoznaniu się z widzeniami Wojciecha Karpińskiego, powiedzieć należy ze sporą dozą ironii, że tylko „w zasadzie jest dobrze". Ale tylko w zasadzie; streszczenia powieści czy wierszy, nawet obszerne cytaty dokonywane przez Zygmunta Lichniaka, nie zastąpią przecież obcowania z samymi tekstami.

Między egzemplarzami np. *Pięknych dwudziestoletnich* Marka Hłaski, wyprodukowanymi przez wydawnictwa emigracyjne, nieoficjalne i oficjalne wydawnictwa krajowe, poza względami natury technicznej, nie istnieją przecież żadne różnice poza jakością papieru i krojem czcionki (tum się chyba zanadto rozpędził, bowiem przy omawianiu *Pięknych dwudziestoletnich* spotkać się można z uwagami studentów, że „u nas tego nie ma"). Tekst jest w zasadzie ten sam, a jednak o mechanizmach lektury decydują rozmaite, często irracjonalne względy natury psychologicznej, dotychczas nie opisane, a przecież decydujące o kształcie literatury polskiej. Ostateczne i nieuchronne zniesienie wszelkich form cenzury (a ja i tak nie wierzę w tę pełnię szczęścia) stanie się dopiero faktem zapoczątkowującym pełne funkcjonowanie wszystkich dzieł literackich. Tyczy to nie tylko pisarzy w większym czy mniejszym stopniu obecnych w obiegach oficjalnych i nieoficjalnych; wielu ważnych pisarzy emigracyjnych jest w dalszym ciągu obecnych w formie zaledwie widocznej, tzn. dzięki notatkom zamieszczanym w opracowaniach bibliograficznych Marii Danilewicz-Zielińskiej, dzięki ostatnio wydanemu *Leksykonowi polskiej literatury emigracyjnej* Jana Kowalskiego czyli Jana Zielińskiego czy wreszcie dzięki szkicom Romana Zimanda. To niemało, a jednak zbyt mało. Problem zaś wiąże się z takimi choćby twórcami jak: Andrzej Bobkowski, Zygmunt Haupt, Michał Pawlikowski, Wacław Solski, Stanisław Vincenz — by poprzestać na najbardziej znanych prozaikach. Również obecność takich pisarzy jak chociażby Miłosz czy Gombrowicz ma szczególny charakter, nie sądzę, by wiele tu zmieniła niedawna krakowska „miłosziada". I zawsze pojawiać się będzie ta wątpliwość: po co czytać, skoro już wolno?

5. Okna *albo* Świat Popiołów — *czyli kicz*

Mówiąc o twórczości nie dość obecnej w świadomości czytelników, trudno też pominąć kolejny problem, mianowicie rozmaite formy „nadobecności". Przykładem koronnym jest oczywiście twórczość Romana Bratnego z jego *Rokiem w trumnie* na czele. Ale tyle już na ten temat napisano, sam zaś uważam, że mamy tu do czynienia z utworami głupimi i źle napisanymi (nie tłumaczy to jednak w żaden sposób popularności *Roku w trumnie* czy innych tekstów Bratnego), więc tym pisarzem zaprzątać sobie głowy obecnie nie mam zamiaru. Mimo wszystko myślę, że są dzieła znacznie ciekawsze, a przynajmniej wdzięczniejsze. Niebagatelnym problemem poznawczym jest chociażby popularność trylogii pisarza posługującego się pseudonimem „Leonard" (strzegącego nienaruszalności tego pseudonimu również na łamach *Kultury* paryskiej), a przynoszącej pewien obraz życia towarzyskiego, uczuciowego i sensacyjnego. Ale teraz skupić się wypada na twórczości innych pisarzy. Rzecz w tym, że odnoszę nieodparte wrażenie, iż spora część bieżącej twórczości literackiej jest — bez względu na poglądy polityczne i moralność autorów — wyraźnie podszyta bogoojczyźnianym, martyrologicznym kluczem o tendencjach dydaktycznych i moralizatorskich. I cóż mi po intencjach, kiedy rozpoczynając lekturę takiego np. *Dochodzenia* Ewy Marii Ślaskiej wiedziałem już doskonale, jak rzecz cała się skończy. Chyba przez czystą przekorę moja sympatia sytuuje się coraz częściej po stronie oprawców, mam serdecznie dosyć dzielnych dziewczyn i chłopaków z podziemia, dosyć nawróconych oficerów milicji czy Wojska Polskiego (zazwyczaj ci ostatni zrozumieli coś, gdy było już za późno).

Jan Dobraczyński na pewno nie należy do popularnych postaci naszego życia politycznego. A jednak jego kolejne książki rozchodzą się nieomal błyskawicznie w masowych nakładach, i to książki równie złe, jak wielokrotnie już wyśmiany *Świat popiołów* (istotnie, szczyt głupstwa, ale jednak o kolejnego papieża-Polaka tam chodzi i o sanktuarium na Jasnej Górze) czy wznawiane nieustannie *Błękitne hełmy na tamie* (dziwnie przypominające *Psy wojny*, choć napisane z perspektywy wartości chrześcijańskich), czy inne powieści, poprzedzone obowiązkowo fragmentami Pisma Świętego. Pamiętać też należy, że swego czasu Dobraczyński napisał *Listy Nikodema*, co dotychczas liczy mu się po stronie zalet, jak i książkę dla dzieci bardzo patriotyczną i religijną pt. *Marcin powraca z daleka* (która mnie przynajmniej nieodparcie kojarzy się z powieściami Wybranowskiego). Ale rzecz w tym, że taka właśnie twórczość jest potrzebna, bowiem Dobraczyński jest czytany, podobnie jak Auderska, czy Żukrowski.

Kwestia kolejna i — tu niechaj wolno mi będzie sięgnąć do własnych wspomnień. Pamiętam, jak na gdańskiej gazecie mówionej Hanna Krall odczytywała z patosem obszerne frag-

menty swoich *Okien* (prawie pół książki nam wówczas przeczytała). Słuchacze kręcili się po pięciu minutach dosyć niespokojnie, a jednak nikt nie ośmielił się głośniej kaszlnąć, wszyscy udawali, że współczują narratorce i jej bohaterom. Z rozmaitych względów obcując z *Oknami* Hanny Krall (mnie już irytowała *Sublokatorka*, ale by nie było żadnych wątpliwości, wcale nie zamierzam podważać znaczenia książki *Zdążyć przed Panem Bogiem*) wypada przynajmniej udawać, że jest się ogromnie przejętym. Nie będę tu wyliczał całej masy utworów żerujących na uczuciach odbiorców, wymuszających aprobatę przez odwoływanie się do rozmaitych sentymentów (znalazłoby się tu miejsce i dla Auderskiej, ale także i dla Juliana Stryjkowskiego jako autora *Wielkiego strachu*), z rozmaitymi spektaklami patriotyczno-martyrologicznymi włącznie. Natomiast uważam, że ani Barbara Sadowska, ani Grzegorz Przemyk jako poeci nie zasługują na uwagę, może tylko jako patronowie pewnego typu twórczości, mnie osobiście nie odpowiadającej.

Na pewno jednak kicz zajmuje niepoślednie miejsce we współczesnej literaturze polskiej. Ostatnie mini-opowiadania czy mini-reportaże Marka Nowakowskiego, publikowane na łamach *Gazety Wyborczej*, dla mnie stają się już nieomal tworami arcydzielnymi. Bez wątpienia, kicz posiadał w swoim czasie niebagatelne znaczenie psychologiczne (myślę tu chociażby o *Wieczerniku* Ernesta Brylla), po minionym okresie świetności coraz wyraźniej odsłaniają się jego tandetne elementy. I wcale nie jest to bagatelny problem, nie chciałbym bowiem doczekać widowiska słowno-muzycznego, w wykonaniu nawet najuczciwszych aktorów (kto napisałby tu słowa i muzykę — mniej więcej można przewidzieć), opowiadającego o Zbrodni Katyńskiej.

6. Literatura zaangażowana — czyli dokopać czerwonemu

Oczywiście, że tu znowu powinny znaleźć się na początku takie pozycje, jak *Rok w trumnie*, *Nie może się powtórzyć*, że już o Łozińskim czy niektórych tekstach Marii Nurowskiej nie wspomnę. Ale się nie znajdą. Dla mnie istotne znaczenie posiada następująca scena — cytat będzie obszerny:

> Siódmy patrzył na niemo poruszające się wargi generała, patrzył długo, aż do bólu w oczach i słuchał wielkiego szumu, co jak potężny chorał rósł w jego głowie, nad jego głową, wszędzie dokoła i hen w górze, nad chmurami, nad niebem, nad wszystkim, co jest i czego nie ma, Siódmy tak patrzył długą chwilę, a potem sam się dziwiąc, sam patrząc na siebie z boku ze zdziwieniem, wyjął spod pachy łom, a właściwie łopatę ciesielską do wyrywania gwoździ z rusztowań, więc wydobył ten łom i wtedy kątem oka zobaczył, że skądś nadbiega ten agent w futrzanej czapeczce, że podnosi obie ręce do góry i woła coś ostrzegawczo, że w tym jego biegu i geście rąk jest coś rozpaczliwie ludzkiego, jest jakieś uniwersalne zagrożenie, jakiś straszliwy lęk przed pogwałceniem tabu, przed śmiertelnym grzechem.
>
> Ale już było za późno. Siódmy uderzył z całej siły łomem w szklaną ścianę. Porysowała się promieniście, ale nie rozpadła się, więc uderzył drugi raz, trzeci, wyłamał w grubym szkle wielki, nieforemny otwór, wszedł w ten loch ziejący dobrym ciepłem, wszedł do środka, mignęła mu gdzieś w przelocie wykrzywiona przerażeniem twarz recepcjonisty, albo agenta udającego recepcjonistę, wszedł więc na skraj hallu i jednym uderzeniem rozbił telewizor, który raptem jakby wstąpił się, jakby zapadł w siebie, skurczył się, a potem bardzo wolno wydawał z siebie jakieś części metalu, szkła, kolorowej materii. Lecz wtedy już ziemia zaczynała uciekać spod stóp Siódmego i wydawało mu się, że cała kula ziemska ucieka mu spod nóg, że rozpoczyna daleki lot kosmiczny, który nie wiadomo gdzie się skończy. Mam glicerynę pod palcami, przeleciała mu resztka ostatniej myśli. Ale niech popełnię samobójstwo przy pomocy naturalnej śmierci.
>
> I poleciał wolno, bez pośpiechu do tyłu, i upadł na marmurową posadzkę rozsypując dokoła siebie już nikomu niepotrzebny dobytek: łom, torbę i ten zwitek gazety rosyjskiej, którą mu ludzie zakryją twarz, kiedy będzie nieżywy czekać na wóz asenizacyjny.
>
> Tak umarł zimowego dnia w mieście stołecznym Warszawie dziewięćdziesiąt dziewięć miliardów, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć milionów, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy, dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy od początku świata człowiek.
>
> A z torby leżącej obok niego wysunęła się matryca z wierszem i słabym śladem kuli:
>
> wiersz to styl przyszłości
> wierszem mówił Chrystus
> wierszem mówi wnuk Stalina
> wierszem będzie mówił
> ten co wysadzi świat
> we wszechświat."

Bardzo lubię ten fragment, którego nie potrafiłem skrócić bez szkody dla jego brzmienia. Cenię również całą *Rzekę podziemną* za to, że jest nie tylko autoparodią Konwickiego, ale i parodią wielu tekstów współczesnej literatury polskiej.

Jak wielu innych czytelników w różnym wieku bardzo lubię opowieści o perypetiach Mikołajka, spółki autorskiej Sempé i Goscinny. Zrozumiałe zatem, że musiała mnie zirytować publikacja pt. *Przygody Mikołajka. Mikołajek w szkole PRL* (tekst Miłosz Kowalski, rysunki Masław). Szkoła peerelowska jest szkołą straszną, szczególnie poza Warszawą; „fajna szkoła" tutaj pokazana jest jeszcze straszniejsza, „fajne chłopaki" opowiadające sobie kawały o milicjantach przypominali mi bardzo starą odpowiedź na pytanie, dlaczego Kain zabił Abla. Mniejsza o milicjantów i stare kawały, znacznie poważniejsza sprawa wiąże się z elementarnym poczuciem niesmaku, pozostającym po lekturze tej książki, i wielu innych.

W sporej liczbie publikacji wydanych oficjalnie po wprowadzeniu stanu wojennego obowiązywała zasada maksymalnego zniesławiania przeciwnika politycznego; doskonale znalazł się tu Józef Łoziński ze swoimi *Scenami myśliwskimi z Dolnego Śląska*. Rychło druga strona dała się zdominować przez swoistą regułę kompozycyjno-estetyczną (jeżeli o jakiejkolwiek estetyce tu jeszcze może być mowa), zamykającą się w zaleceniu: dołożyć komuchowi za wszelką cenę. No i dokładano. Lektura *Wysokich progów* Mariana Miszalskiego czy *ABC* Krzysztofa Czabańskiego uświadamia, iż skądinąd przecież użyteczne gatunki pamfletu i paszkwilu przekształcone zostały w amorficzne, źle skomponowane twory, które określić należy jako „bluzgi" (od bezokolicznika „bluzgać", pojęcia tego używam w porządku genologicznym). A nie chodzi tu o żadne marginalia. W tej konwencji powstało sporo opowiadań Marka Nowakowskiego czy Janusza Andermana, kreślących świat przedstawiony w tonacji biało-czarnej (nasi są „biali", „oni" — tzn. „czerwoni" — są czarni). Mniemam jednak, że ze zdecydowaną szkodą dla wartości literackich, jak zawsze w przypadku twórczości tendencyjnej, nachalnie dydaktycznej.

7. „Poeta pamięta" — *czyli kanon... moralny*

Tom opracowany przez Stanisława Barańczaka pt. *Poeta pamięta. Antologia poezji świadectwa i sprzeciwu. 1944-1984*, wydany przez londyński „Puls", jest bez wątpienia jedną z ważniejszych antologii spośród opublikowanych w Polsce powojennej. A pojawiało się ich i w omawianym okresie sporo, prowadząc nawet do wykształcenia szczególnego statusu „poety antologijnego" czy „poety z wypisów".

Bardzo dawno temu, na długo przed opublikowaniem różewiczowskiego wiersza pt. *Zdjęcie ciężaru* (który pochodzi z roku 1959), poeci polscy doskonale wiedzieli, że mają do spełnienia rozmaite zadania społeczne, pamiętali jeszcze z XIX wieku że:

> [...] poezja współczesna
> to walka o oddech.

Poemat Barańczaka *Przywracanie porządku*, opublikowany w jednym z pierwszych numerów *Zeszytów Literackich* (przyznam się, że szczególnym sentymentem darzę edycję Niezależnego wydawnictwa im. Gnębona Puczymordy, Wrocław 1983) był dla mnie, i chyba dla wielu, w swoim czasie utworem niesłychanie ważnym, poetycką relacją z tego, co stało się udziałem wszystkich. Poemat Barańczaka bezbłędnie trafił w zapotrzebowanie społeczne, okazało się, że mimo wszystko nie jesteśmy osamotnieni, że poeta nawet oddzielony oceanem uczestniczy w polskiej codzienności. Rychło jednak okazało się, że takich utworów jest coraz więcej, niemało poetów zaczęło po prostu pisać Barańczakiem, natomiast sam Barańczak przez długi czas pisywał kunsztowne językowo felietony. Poezja w pewnym momencie stała się publicystyką, a język poetycki — językiem grypsery (nieprzypadkowo przecież jeden z tomików Jerzego Ficowskiego nosi tytuł *Gryps*).

Istotnie, poezja niemal w całości realizowała przesłanie, by dać świadectwo prawdzie, czy jednak udało jej się pozostać jeszcze poezją — pytanie to niechaj pozostanie bez odpowiedzi. Nie jestem też przekonany, czy była w stanie sprostać poważnej konkurencji, a myślę tu o znakomitych dokonaniach Jacka Kaczmarskiego, Jana Krzysztofa Kelusa, Jacka Kleyffa, Andrzeja Garczarka czy Tomasza Sikory. Wiersze wielu poetów wchodziły do powszechnego obiegu, gdy zostały zaśpiewane — tak stało się z *Potęgą smaku*, który dla wielu stał się piosenką Przemysława Gintrowskiego. To pierwszy problem. Drugi zaś tyczy poezji politycznej i okolicznościowej. Tutaj pojawia się również kwestia nieogarnialnej nieomal masy twórczości anonimowej, np. poezji strajkowej, która przynależy chyba raczej do folklorystyki. Tylko niekiedy autorzy po czasie ujawniają się, decydując się na ogół na pozostanie w anonimowości — jak ma to miejsce w przypadku *Ballady o Janku Wiśniewskim*. Określenie „poezja okolicznościowa" i zaliczenie do niej sporej grupy tekstów (z którymi nawet byliśmy skłonni się solidaryzować w przeszłości) nie mają żadnych zabarwień pejoratywnych, nie wiem jednak, czy nie będzie to zagadnienie, z którym zdoła się uporać bez poddawania się namiętnościom przyszły historyk literatury polskiej.

Natomiast gdy czytam tom Ryszarda Krynickiego pt. *Niepodległi nicości (Wybrane i poprawione wiersze i przekłady)*, mając równocześnie w pamięci wcześniejsze brzmienie niektórych wierszy, zastanawiam się, do jakiego stopnia mówić tu można o utworach „poprawionych", do jakiego zaś — o ujednoznacznionych. Tomy poetyckie Barańczaka, Krynickiego, wreszcie *Raport z oblężonego miasta* Herberta narzuciły poezji polskiej dominującą poetykę świadectwa, oskarżenia, wreszcie raportu; *Zmęczenie* Bronisława Maja jest jedną z niewielu prób jej przełamania, odejścia od tego, co „słuszne", co zaś „niesłuszne" w stronę słowa poetyckiego. Przecież Miron Białoszewski uświadomił groteskowość obecną w ówczesnym życiu codziennym, podważył obowiązującą patetyczną tonację wypowiedzi, nie tylko w *Piosence Kici Koci do stanu wojennego*

> ten stan wojenny
> nie jest niezmienny

bo powszednieje
i się starzeje
aż posiwieje
tak biedaczysko
że wszędzie wszystko
zwszystkojednieje.

Na pewno „zwszystkojedniała" konwencja literatury, przede wszystkim poezji obywatelskiej, poeci coraz częściej ośmielają się pamiętać również o swoich, czysto prywatnych, sprawach.

8. Jarosław Marek Rymkiewicz nie może — czyli sytuacja gatunków

Do niedawna chętnie czytałem kolejne książki Jarosława Marka Rymkiewicza, obecnie czynię to nieco mniej chętnie; tzw. rymkiewiczyzna stała się manierą, dla mnie cokolwiek irytującą. Ważne były jeszcze *Rozmowy Polaków latem 1983*, bo uświadomiły np., że Polacy latem 1983 mogli jeszcze rozmawiać o Jadźwingach, a to nie było wówczas tak oczywiste. Idąc za popędem sentymentu czytelniczego (nie jest to chyba najgorszy popęd) przeczytałem ostatecznie całego Rymkiewicza, również i jego wypowiedzi rozproszone, czyli wywiady. Otóż okazało się, że sformułowaniem kluczowym dla tego pisarza jest zwrot: „...ja nie mogę..." (w trybie kategorycznym: „...proszę pani, ja naprawdę nie mogę..."). Tę deklarację Rymkiewicz realizuje konsekwentnie w praktyce; „niemoc" staje się faktem artystycznym. Nie udało mu się napisać powieści, nie udało mu się opowiedzieć wszystkiego co wie i co zmyślił o młodym Mickiewiczu, nie udało mu się zrekonstruować planu getta warszawskiego (ten ostatni przypadek szczególnie mnie zirytował, albowiem udało mu się jednak parę ciepłych zdań o „Adasiu" wtrącić, a przede wszystkim zdążyć na stosowną rocznicę). Mimo wszystko nie mam mu tego za złe, chociaż szkoda, że np. *Żmut* nie spotkał się z rzeczowym omówieniem przez mickiewiczologów, może wówczas utraciłby nieco ze swej żmudności. Mnie natomiast interesuje obecnie owa „niemoc" jako kategoria estetyczna, prowadząca w ostateczności do powstawania hybrydalnych gatunków wypowiedzi, a wywodząca się nie tylko z rymkiewiczowskiego rozumienia historii. Rzecz chociażby w tym, iż czytelnik współczesnej literatury polskiej nieustannie obcuje z utworami z pogranicza gatunków, nawet z pogranicza między literaturą piękną a dokumentem (ta konstatacja nie ma nic wspólnego z wartościowaniem). Ostatecznie *Konspira* to przecież pogranicze dokumentu i literatury sensacyjnej, ze sporym wkładem m.in.

Zbójców Schillera; *Kadencja* — pogranicze eseju i dokumentu, listę tu można ciągnąć długo, aż po wspomniane *Okna* Hanny Krall. Jedynym wyrazistym gatunkiem są bez wątpienia „rozmowy z...", opisane swego czasu przez Romana Zimanda. A kolejny zimandowski termin, „literatura doświadczenia osobistego", zanadto jest pojemny, by był funkcjonalny.

Ta dymorfia gatunkowa jest faktem estetycznym. Bez wątpienia daje się zinterpretować przez przywołanie tradycji literatury postmodernistycznej. Stąd też i „niemoc" Jarosława Marka Rymkiewicza jest czymś więcej, niźli tylko kokieterią. Chyba niezłą realizacją owej powszechnej „niemocy" są *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej* Jerzego Pilcha. Mnie jednak niepokoi sytuacja, gdy owa „niemoc" panować zacznie wśród czytelników, z którymi mimo wszystko literatura jest jakoś związana. Przyznam się, że coraz mniej mogę czytać o tym, że ktoś nie może opowiedzieć mi porządnie historii — powszechnej czy prywatnej. Coraz bardziej znużony jestem „nierzeczywistością", supłaniem miesięcy przez Brandysa. Ale to już chyba zupełnie inna kwestia.

9. „Adamowi Michnikowi..." — czyli o lokomotywach

Przy innej okazji, w nieco innym gronie, rozważany był problem następujący: konieczność opracowania serii wydawniczej pod hasłem „Publicysta pamięta", dedykowanej Adamowi Michnikowi, a zawierającej wszystkie pozycje, jakie zostały od roku 1980 dedykowane Adamowi Michnikowi (zjawisko to zdaje się już stopniowo wygasać, choć jeszcze w piątym numerze *Res Publiki* z 1989 r. zdążył się w nie włączyć Józef Tischner) dedykacja jest oczywiście tradycyjnym chwytem literackim charakterystycznym dla polskiej literatury współczesnej. Autor *Z dziejów honoru w Polsce* stał się monopolistą, który mógłby konkurować z Piłsudskim czy Stalinem (mówię to bez żadnej złej woli).

Interesujący nas proces zainicjował chyba Stanisław Barańczak w *Przywracaniu porządku*, gdzie Michnik pojawia się jako jeden z bohaterów, później to już poszło lawinowo. Jeżeli nawet przesadzam, to w niewielkim stopniu. Podejrzewam, że w tym przypadku mówić można o czysto pragmatycznej funkcji dedykacji: jeżeli najciekawsza w dziele jest dedykacja, nawet nie oryginalna, to zrozumiałe, iż nieprzypadkowo przywołałem lokomotywę, której zadaniem jest ciągnąć cały pociąg.

10. „Polskie, arcypolskie" — czyli o słoniu

Zarówno drugi obieg, jak wydawnictwa oficjalne czy emigracyjne opublikowały sporo książek poświęconych literaturze polskiej. Przedstawię skromne wyliczenie: Jan Błoński, *Kilka myśli co nie nowe...*; Marcin Król, *Podróż romantyczna*; Aleksander Fiut, *Moment wieczny*; Wojciech Karpiński, *Książki zbójeckie*; Jacek Trznadel, *Polski Hamlet*; Andrzej Werner, *Polskie, arcypolskie*; Tomasz Burek, *Żadnych marzeń*; Alina Witkowska, *Wielkie stulecie Polaków*; Zdzisław Łapiński, *Jak współżyć z socrealizmem*; Tadeusz Komendant, *Zostaje kantyczka*. Wyliczenie to oczywiście jest niepełne — ot, kilka książek z jednej półki. Natomiast łączy je bez wątpienia jedno: wszystkie są poświęcone mniej czy bardziej współczesnej literaturze polskiej i we wszystkich literatura staje się w większym czy mniejszym stopniu pretekstem. Na pewno nie o literaturę chodzi w *Hańbie domowej* Jacka Trznadla czy w jego *Hamlecie polskim*, nie o literaturze mówią „wypisy" z literatury z komentarzami Adama Michnika. O czym zaś? Oczywiście, że o prowadzeniu się pisarzy. Nie będę się tu zajmował arcypolskim „dziwnym materyji pomięszaniem", przykładaniem miar etycznych do zjawisk estetycznych. Musielibyśmy znowu wrócić do sprawy Maurycego Mochnackiego, później rozważyć sprawę Stanisława Brzozowskiego, a wcale nie na koniec pojawiłaby się sprawa Józefa Mackiewicza, i już w ogóle nie byłoby szans na jakiekolwiek uparanie się z całym splotem „kompleksów polskich". Również pisanie o twórczości Vaclava Havla (jest to dla mnie tylko przykład, znaleźć by się tu mógł każdy pisarz prześladowany przez policję) staje się czynnością zastępczą, niewiele mającą wspólnego z kryteriami estetycznymi. Czy można pisać źle o twórczości Havla? Nie przepadam specjalnie za jego dramatami, a jednak wiem, że nie wypada. Natomiast wypada się zastrzec, że nie mam nic wspólnego z niejakim Ladislavem Adamcem.

Spora część wymienionych (i nie wymienionych) przeze mnie książek zawiera mniej czy bardziej czytelne przesłanie, iż literatura polska zasługuje na uwagę, albowiem porusza istotne dla Polaków sprawy, co więcej, tworzyli ją ludzie porządni, albo przynajmniej tacy, którzy zrozumieli, że w swoim czasie błądzili, ale się poprawili (stąd radość powszechna z jednego nawróconego grzesznika...). Po lekturze przynajmniej niektórych z tych książek musiałem dla równowagi psychicznej wracać do szkicu Stanisława Vincenza z roku 1948, *O możliwościach rozpowszechniania kultury i literatury polskiej*, który otwiera zdanie: „Temat nasz może się wydać tak beznadziejny, że aż jałowy". Czy to zdanie obecnie się zdezaktualizowało — wcale nie jestem o tym przekonany. A jednak *gros* wymienionych i nie wymienionych przeze mnie książek twierdzi, że literatura polska wielka jest. Mnie niechaj będzie się wolno zastanowić, z jakiego powodu i dla kogo ona taka wielka. Na pewno dostrzec tu można kontynuację działalności krytycznoliterackiej Nowej Fali, przede wszystkim Stanisława Barańczaka (przyznaję, *Etyka i poetyka* była w swoim czasie ważną publikacją), ale przecie nie tylko miernoty moralne piszą kiepskie utwory literackie. Mnie osobiście coraz mniej interesuje brudna czy tylko przybrudzona bielizna artystów, nie jestem też do końca przekonany o tym, by uczciwość i prawość autora automatycznie skazywały jego utwór na arcydzielność. Jako w miarę pilny czytelnik dostrzegam, że wcale tak nie jest.

11. Weiser Dawidek — *czyli kwestia żydowska*

Nie pamiętam, kto pierwszy zadał mi — jako człowiekowi z Gdańska — pytanie:„Słuchaj, a ten Paweł Huelle to Żyd?" Za pierwszym razem poniosło mnie, ale nie w tym rzecz. Otóż pytanie to powtarzało się potem wielokrotnie. To dla mnie zrozumiałe, jakoś przecież trzeba było zaklasyfikować podówczas nieznanego debiutanta z Gdańska, wybrano więc najprymitywniejsze rozumowanie. Dotychczas nie wiem, po czym miałbym poznać czy to Żyd, czy nie Żyd, i co by z tego miało wynikać.

Isaac Bashevis Singer otrzymał Nagrodę Nobla w roku 1978, zanim ukazały się drukiem po polsku przynajmniej niektóre z jego utworów, ale od razu przypominano przy wszystkich okazjach związki pisarza z Polską, pytano czy czytał *Meira Ezofowicza* Orzeszkowej. Przy okazji niektóre nazwiska, a przynajmniej niektóre utwory prezentowano na zasadzie egzotycznych ciekawostek. Znaczącymi faktami było wznowienie w formie reprintu *Historii i literatury żydowskiej* Majera Bałabana czy wydanie podwójnego (339-340) numeru *Znaku*. Przez *Tygodnik Powszechny* przetoczyła się burzliwa dyskusja, sprowokowana artykułem Jana Błońskiego, nie mniej burzliwa dyskusja towarzyszyła projekcji fragmentów filmu *Shoah*. Wszystkich pogodził *Skrzypek na dachu* w wersji telewizyjnej albo teatralnej, ale przecież nie na długo.

Przypominam te fakty świadomie. Przecież Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi nie udało się w *Umschlagplatzu* zrekonstruować planu getta warszawskiego, i nie tylko z winy zastosowanej maniery pisarskiej. Dyskusja o stosunkach polsko-żydowskich w czasie drugiej wojny światowej, podobnie jak wiele innych tego typu dyskusji, miała charakter zastępczy, tyczyła w rzeczywistości ewidentnych (przynajmniej dla sporego

grona dyskutantów) przymiotów narodu polskiego. Jednocześnie, a to chyba najważniejsze, fakty te znalazły swoje odbicie w literaturze.

Przypominani są po wielu latach nieobecności pisarze języka jidysz, od Szolema Alejchema począwszy, na współczesnych skończywszy, pojawiają się tłumaczenia współczesnych pisarzy hebrajskich; pojawiły się fragmenty tekstów fundamentalnych dla tej kultury (mniejsza o wartość poszczególnych przekładów) jak *Talmud, Księga Zohar* czy zbiory opowieści chasydzkich (trudno tu pominąć wznawiane *Protokoły mędrców Syjonu* czy inne tego typu utwory, obdarzane współczesnym komentarzem). Na pewno jednak wypełniana jest pewna dotkliwa luka w naszym dziedzictwie kulturalnym, podobnie jak w przypadku innych mniejszości narodowych, zamieszkujących ziemie dawnej Rzeczypospolitej (również endecki antysemityzm jest polskim dziedzictwem kulturalnym). Tematyka żydowska pojawia się we współczesnej literaturze polskiej, by wspomnieć chociaż dorobek Juliana Stryjkowskiego czy tomiki poetyckie Gwidona Zlatkesa. Ale nieustannie muszę wracać do pytania, do jakiego stopnia mamy tu do czynienia ze swoistą modą — może istotnie jestem niesprawiedliwy wobec głośnej powieści Andrzeja Szczypiorskiego. Chyba jednak rzecz w tym, że tematyka żydowska nie zawsze wiąże się ze sprawnością warsztatową autorów.

12. Literatura — czyli ryzyko

Myślę, że wielokrotnie już dawała znać o sobie podstawowa wątpliwość współczesnej literatury polskiej, mianowicie czy można w ogóle być pisarzem polskim, nie będąc zaangażowanym w życie polityczne, a problem w tym, iż ta wątpliwość, należąca w zasadzie do kręgu prywatnych wątpliwości jednostek, znajduje wyraźne potwierdzenie w strukturze utworów literackich, zmuszając pisarzy do wierności wobec raz przyjętej i sprawdzonej roli. W konsekwencji zaś do autoplagiatów — czego przykładem być może twórczość Marka Nowakowskiego; *Raport o stanie wojennym* jest przezeń nieustannie powielany, powielana jest również postawa narratora-autora (ta granica również bywa zacierana), realizująca stereotyp tzw. twardziela. Bardzo cenię i lubię opowiadanie Nowakowskiego sprzed lat pt. *Gdzie jest droga na Walne?*, pokazujące, że nie ma żadnego wyjścia z dusznej, polskiej chałupy, przypominającej trójkąt bermudzki, wciągającej beznadziejnie nawet przypadkowych wędrowców. Coś z tej sytuacji daje się zauważyć współcześnie, tyle że owa chałupa stała się swoistą enklawą, którą tak trudno opuścić, bo pojawia się pytanie, czy w ogóle jakiekolwiek „Walne" z tamtego opowiadania istnieje. Natomiast koncepcje głoszone od lat przez Henryka Berezę, wprowadzane w praktykę przez kilku jego pilnych uczniów, nie są dla mnie żadnym wyjściem.

Ryzyko powielania sprawdzonych w przeszłości wzorców i schematów coraz wyraźniej towarzyszy polskiej literaturze współczesnej; ryzykiem też staje się zacząć mówić zupełnie inaczej. Czy to w ogóle jest jeszcze możliwe — coraz bardziej wątpię.

13. Przekrzyczeć ten łomot

Faktem jest, iż literatura zajmuje teraz coraz bardziej marginalne miejsce w życiu społecznym, i to z rozmaitych, nie tylko „arcypolskich" przyczyn.

Wielokrotnie oświadczano mi kategorycznie, iż zjawisko, o którym chcę mówić obecnie, nie ma nic wspólnego z literaturą. Zastanawiała mnie przede wszystkim kategoryczność sprzeciwu ludzi obawiających się o autorytet literatury, i tak już nadwątlony przez ekspansję publicystyki. By nie wdawać się zatem w jałowe dywagacje, powiedzieć należy, że przechodzimy obecnie do paraliteratury, gdzie słowo stanowi jeden z integralnych środków wyrazu. Nie będziemy jednak gołosłowni:

> Z nożem na ptaki
> wyprujemy im oczy i flaki
> niech tylko śmigają widelce i łyżki
> pająki i w nich rozkochane modliszki
> [...]
> a my tymczasem z motyką na słońce
> spod nóg nam uciekają zające
> dziady nam wiwatują
> a krowy podskakują
> trąbki grają i flesze błyskają
> pohukują sowy
> od strony fabryki proletariatu
> słychać tupot miarowy.

Jest to tekst piosenki zespołu „Formacya nieżywych schabuff" (problem zaczyna się tu na poziomie ortografii); atakują zaś agresywnie nazwy innych zespołów: „Sztywny pal Azji", „Milion Bułgarów", „Róże Europy", „Dezerter", „Zbombardowana Laleczka", „Pancerne rowery", „Bielizna" (cenzura usunęła tu posiadacza, mianowicie „Göringa"), „Moskwa" (przez pewien czas z powodów cenzuralnych „Mkwa", obecnie znowu „Moskwa"), „Szelest spadających papierków", „Kult", „Chłopcy z Placu Broni" — tę wyliczankę ciągnąć można bardzo długo, jeżeli nie

z dużym pożytkiem, to przynajmniej z niemałą uciechą. Dla wielu zespołów brzmienie nazwy staje się podstawową wartością, bo od niego zaczyna się zanegowanie istniejącego porządku, począwszy od ortografii, na systemie aksjologicznym skończywszy. Nie zajmuję się tu podziałami ideologicznymi, ważnymi dla tych grup, dla mnie sprawa zaczyna się wówczas, gdy słowa zaczynają docierać przez łomot rozmaitych instrumentów. Właśnie te słowa podejmowane są przez słuchaczy, raczej przez uczestników pewnego misterium, powtarzane przez nich z całą agresywnością:

piękna przyszłość jest przed nami
wzniesiemy nowe domy z betonu i ze stali
połączymy nasze siły
towarzyszu miły towarzyszu miły

Nie o śpiew tutaj chodzi, ale o krzyk, nie liczący się z jakimikolwiek wartościami:

wszystkie kurwy mają czołgi
te znad Renu i znad Wołgi
jak zobaczą wroga na niebie
będą strzelać właśnie do ciebie
budują ciągle nowe rakiety
i kurwy z Zachodu i kurwy Sowiety

Spisując słowa z taśmy magnetofonowej w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że skłonny byłbym podzielać choćby i to przesłanie:

postawią pomnik nowego bohatera
wybiorą sobie nowego premiera
stworzą sobie nowy system polityczny
będą dumni że jest demokratyczny
znowu szwindel szykują nowy
żeby się dobrać do twojej głowy
nie możesz ciągle dostawać w ryj
nie daj się zabić — żyj.

I wreszcie pojawia się podsumowanie, wykrzyczane niesłychanie agresywnie:

wasze zmiany nic nie zmieniają
wasze zapewnienia są gówno warte.

Pozostało już tylko głośne „nie". To „nie" zaprzecza wszelkim wartościom, wymierzone jest również przeciwko powszechnie aprobowanemu autorytetowi Kościoła — i to nie tylko u programowo satanistycznych grup. Pomijam tu różnice ideologiczne między poszczególnymi zespołami, sporo z nich komercjalizuje się (oznacza to również ugrzecznienie), wychodząc z garaży.

Bez względu na to, czy się to komu podoba czy nie, mamy tu do czynienia z fenomenem o znacznie intensywniejszym oddziaływaniu, niźli najsłuszniejsze nawet wiersze, czy najbardziej patetyczne spektakle parateatralne, wystawiane w podziemiach kościoła. Cały problem w tym, że w odróżnieniu od innych zjawisk należących do subkultury młodzieżowej, jest to doświadczenie estetyczne, z którego jednak się nie wyrasta, coś pozostaje na zawsze z tej totalnej negacji. Może nawet i odrzucenie całej literatury współczesnej — jako sfery opanowanej przez „zgredów". Cytowany przeze mnie „Dezerter", ale i inne grupy, w tym „Róże Europy" przynoszące obietnicę: „Mamy dla was kamienie", ogłaszające nową modę — „Modę na scyzoryki" — przynoszą w rzeczywistości propozycję nowego porządku świata. Propozycję na razie tylko werbalną.

14. Zanim „przyjdzie walec" — czyli perspektywy

Oddajmy na chwilę głos Zbigniewowi Herbertowi:

na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne
walkę z tyranią kłamstwem zapisy cierpienia
lecz przeciwników — przyznasz — mieliśmy nikczemnie małych
czy warto zatem zniżać świętą mowę
do bełkotu z trybuny do czarnej plamy gazet
tak mało radości — córki bogów w naszych wierszach Ryszardzie
za mało świetlistych zmierzchów luster wieńców uniesienia
nic tylko psalmodie jąkanie animuli
urny popiołów w spalonym ogrodzie.

I jeszcze jeden cytat, który wrył mi się w pamięć, który powraca nieustannie, gdy myślę o współczesnej literaturze polskiej:

„Ból, cierpienie, męka. jeszcze raz to samo. Znowu się ludzie męczą i męczą innych. Najokrutniejsze stworzenia tej galaktyki, a kto wie czy nie sąsiednich także.
[...]
Wszyscy tu się męczą. Otrute drzewa, zarzynane zwierzęta, torturowani ludzie. Wracam na tę ziemię od nowa zazielenioną i od nowa zabłękitniałą wodami oceanów, wracam z nadzieją i wita mnie jeszcze raz płacz i zgrzytanie zębów. Jeszcze nie kres naszej nieśmiertelności. Gdzież to cierpiące stworzenie, za którym pójdę teraz, w jeszcze jedną drogę krzyżową. Ty nim jesteś, który dotknąłeś wzrokiem moich słów, otarłeś się przeczuciem o moje myśli, zląkłeś się raptem mego cienia w biały dzień, albo kiedy staję za czarną szybą twego okna nad ranem.
Jeszcze przed nami straszna wieczność".

Czytelnikowi literatury polskiej bez większych kłopotów przychodzi przyjęcie tych słów bezpośrednio do siebie, do własnej sytuacji. Powiada często Tadeusz Konwicki: „Panu Bogu nadojadło już to wszystko". A cóż dopiero powiedzieć o mnie, zwyczajnym śmiertelniku, skazanym na czytanie współczesnej literatury polskiej, poszukującym właśnie „radości — córki bogów" również w sztuce. Nie chciałbym raz jeszcze wracać tu do wersu z literatury romantycznej: „Szczęścia w życiu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie", przecież w końcu nie w tym rzecz.

Obserwując toczące się przez dziesięciolecia w PRL-u dyskusje wokół literatury, łatwo przychodzi zauważyć ich zastępczy charakter, one pojawiały się zamiast rozmów o zupełnie innych kwestiach — szczególnie w tym celował Artur Sandauer. Może w końcu najwyższy czas, by zająć się obecnie również i literaturą, w tym i wartościami literackimi, przez lata spychanymi w sferę wstydliwych słabości, kosztem rozmaitych walorów utylitarnych. Nierozerwalny związek wszystkich form życia społecznego z polityką doprowadził do zachwiania władzy sądzenia, zepchnął w ślepy zaułek, gdzie tłoczą się dzieła jak najbardziej „słuszne" lecz „potworkowate". Nie przeczę, miało to i swoje dobre strony, pojawiła się znowu po czasach Mieroszewskiego czy Ciołkosza znakomita publicystyka polityczna Dawida Warszawskiego czy Leopolity (osobiście mam pretensje do Romana Zimanda, że jednak był to on, a nie ktoś inny). Obok tego jednak powstały kolejne stereotypy, czy obszary tabu w świadomości powszechnej, konsekwentnie utrwalane przez literaturę. Ot, marzy mi się współczesna frywolna powieść, cokolwiek antyklerykalna, cokolwiek pornografią podszyta (nie mającą nic wspólnego z przaśno-słowiańską erotyką Nienackiego). A tak pozostaje pewność co do nieuchronnej ekspansji złej twórczości religijnej.

Mnie w dalszym ciągu interesuje problem, o którym mówił swego czasu cytowany już Stanisław Vincenz, mianowicie możliwości rozpowszechniania kultury i literatury polskiej. Przynajmniej w odniesieniu do tego dziesięciolecia szanse są naprawdę minimalne. Jedno jest pewne: bardzo trudno mi wskazać w tym obszernym zestawie lektur obowiązkowych kilka pozycji, które przeczytałem z prawdziwą przyjemnością, do których chciałbym obecnie raz jeszcze wrócić wolny od obowiązków społecznych, obywatelskich, patriotycznych, dydaktycznych czy jakichkolwiek innych. Natomiast na pewno ogromna liczba wierszy, opowiadań i powieści w najzwyklejszy sposób się zdezaktualizowała, zasługuje już tylko na uwagę skrzętnego bibliografa, chcącego dać świadectwo prawdzie. Gdyby jednak z tego dorobku pozostali tylko *Oni* Torańskiej, kilka wierszy Herberta, Miłosza, po jednym Krynickiego i Maja, dwie, góra trzy powieści, oraz przeraźliwy wrzask zespołu „Dezerter", może też nie byłoby najgorzej.

15. Literatura i potrzeby — czyli koniec

W numerze 8-ym gdańskiego *Tygodnika Solidarność* zamieszczono fragment rozmowy między dwoma laureatami Nagrody Nobla. Jej zakończenie dziwnie utkwiło mi w pamięci:

Czesław Miłosz: zawsze twierdziłem, że socjalizm wyzwolił człowieka z przekleństwa Adama, tzn. z pracy w pocie czoła.

Lech Wałęsa: Jeżeli się nie weźmiemy za robotę, to grozi nam wojna domowa i wielka bezsensowna rewolucja. [...] Wy ludzie pióra musicie pokazać nam wzorce.

Czesław Miłosz: Będę się starać mój dziekanie, jak powiedziałem w swym wierszu.

Przynajmniej ze względu na jednego z uczestników tej rozmowy przyjdzie nam porzucić hipotezę o występowaniu tak kunsztownej figury retorycznej, jaką jest ironia. A ta rozmowa coś mi przypomina; czyżby nadzwyczajny zjazd pisarzy polskich, nazwany Nadzwyczajnym Kongresem Kultury Polskiej, zamiast w Szczecinie, miał się tym razem odbyć w Gdańsku? Gdyby tak, to pamiętać należy, że podstawowe wystąpienia programowe zostały już napisane, nawet prelegenci mogą pozostać ci sami, konieczna jest tylko pewna aktualizacja realiów. To samo też tyczy tekstów literackich, które są również napisane, wymagają tylko niewielkich retuszy, ot, choćby w tytule: *Komputery zdobędą wiosnę*.

A zupełnie poważnie — chociaż wszystko mówiłem dotychczas poważnie — co stało się z Nibylandią, wiedzą doskonale czytelnicy *Piotrusia Pana*. Istotnie, literatura polska jest jedna, a cały problem w tym, że nie do końca jestem przekonany o tej „jedności", pewne elementy spotykać się nie mogą po prostu dlatego, że poruszają się z tą samą szybkością. Niezaprzeczalnym osiągnięciem kilku ostatnich lat jest wypracowanie nowych form komunikacji literackiej — myślę tu o tzw. gazetach mówionych. Najlepszą opinię wśród nich miał bez wątpienia krakowski *Nagłos*, najbardziej regularne edycje miały chyba gdańskie *Punkty mówione*.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, iż polska literatura lat osiemdziesiątych pozytywnie wywiązała się z wszelkich obowiązków społecznych, towarzyskich, instytucjonalnych, etc., a raczej: „i tak dalej" — jak powiada James Matthew Barrie. Obecnie pojawia się przed nią próba rozliczenia z realizacji prywatnych obowiązków wobec konkretnych czytelników.

Marek ADAMIEC

O pisaniu prawdy

Bauhaus, szkoła artystyczna założona w Weimarze w roku 1919 przez grupę architektów, malarzy, rzeźbiarzy i rysowników, połączonych wspólnotą poglądów i upodobań: zamiarem radykalnego zerwania ze sztuką akademicką i tradycyjnymi metodami kształcenia artystów, ideą połączenia sztuki i techniki, zatarcia różnicy między sztuką a rzemiosłem, między przedmiotami służącymi do ozdoby i przedmiotami użytecznymi, zakończyła swą działalność wkrótce po dojściu Hitlera do władzy, w roku 1934. Wciąż utrzymuje się niezakwestionowana legenda tej grupy. Angielski słownik „Who's who in architecture" sprzed czternastu lat w artykule o Walterze Gropiusie, pierwszym dyrektorze szkoły, posuwa się do twierdzenia, że tysiące rzeczy używanych codziennie, od aparatów telefonicznych i maszyn do pisania po filiżanki i buty, stało się cokolwiek doskonalszymi dzięki idei Bauhausu. Trwająca obecnie w Paryżu wielka wystawa fotografii z Bauhausu, fotografii traktowanej zarówno jako gatunek sztuki jak i dokumentacja przejawów działalności grupy, mimo iż dla francuskich dziennikarzy stanowi okazję do powtarzania obiegowych sądów, pozwala jednak zdać sobie sprawę, jak bardzo tamta generacja artystów nie lubiła przedmiotów. Fotografowali oni najchętniej skorupki po jajku, kawałek sznurka. Kieliszek i jego cień bądź dwie częściowo zużyte szpulki nici to są już ich najbardziej luksusowe martwe natury. Najlepiej i to w jednym zdaniu styl ten opisał Witkacy: „Pokój urządzony był z przesadną, nieprzyjemną prostotą". Twórcy Bauhausu chętnie portretowali się nawzajem — okazuje się, że projektując ascetyczne przedmioty i oschłe wnętrza sami ubierali się z właściwą tej epoce elegancją: mężczyźni na tych zdjęciach noszą pumpy z dobrego tweedu, a kapelusze ich żon wzbudzają zachwyt.

Zaraz po fotografiach z Bauhausu w tym samym Pałacu Tokijskim przy avenue Prezydenta Wilsona, mieszczącym obecnie Narodowe Centrum Fotografii, ze znacznie większą przyjemnością obejrzałem wystawę noszącą tytuł *Panorama Panoram*. Panorama — powiada encyklopedia — jest to duże malowidło, przedstawiające pejzaż lub scenę batalistyczną, rozpięte na wewnętrznej ścianie okrągłego, z góry oświetlonego budynku, dające widzom znajdującym się wewnątrz złudzenie sceny naturalnej. Pieczołowicie wykonywane przez pracowitych malarzy panoramy były jednak poprzedzone przez dzieła pierwszych fotografów, o czym zdaje się świadczyć wierszyk Stanisława Jachowicza:

Dała mi złotówkę Mama
Bym zobaczył panorama

Jachowicz, bardziej znany jako autor wiersza „Pan kotek był chory", zmarł w roku 1857, na krótko przed przyjściem na świat generacji twórców panoram malarskich. *Panoramę Racławicką* poprzedziła panorama *Tatry*, nad którą prace rozpoczęto w r. 1894 w Monachium. W skład kilkuosobowego zespołu poza Teodorem Axentowiczem wchodził późniejszy mąż Zapolskiej, Stanisław Janowski. *Tatry* wystawiono w Monachium w r. 1896, a potem w Warszawie, w specjalnym pawilonie na Dynasach. Tymczasem cenzura warszawska, już od dłuższego czasu bacznie strzegąca, by ceny podawano we właściwej walucie, pilnowała, by wierszyk pana Jachowicza był przedrukowany w wersji następującej:

Dała mi 15 kop. Mama
Bym zobaczył panorama

Pierwsze panoramy fotograficzne pokazywane teraz w Paryżu pochodzą z wczesnych lat 1850-tych i przedstawiają widoki wielkich miast oraz masywów górskich w Szwajcarii. Zestawione dokładnie ze sobą 10 czy 14 zdjęć wielkiego formatu pozwala przy powolnym obrocie głowy o 180 stopni obejrzeć dokładnie pejzaż o rozległości wielu kilometrów. Fotografia panoramiczna umożliwia też przezwyciężenie ograniczeń naszego wzroku i uwagi, pozwalając na dokładne obejrzenie, ze szczegółami twarzy i stroju, kilkuset zgromadzonych jednocześnie osób. Po raz pierwszy zobaczyłem przed laty takie zdjęcie przedstawiające korpus dyplomatyczny w królestwie Belgii w komplecie i z rodzinami w czasie pełnienia tam w latach dwudziestych misji przez ambasadora Hugh Gibsona, poprzednio pierwszego reprezentanta Stanów Zjednoczonych w niepodległej Polsce, jeszcze wtedy w randze posła. Na wystawie w Pałacu Tokijskim jest fotografia, na której sportretowano w całości *Siódmą Brygadę Kawalerii w Forcie Knox, Kentucky* w roku 1938. Mój nawyk niewdawania się w szczegóły dotyczące oddziałów wojskowych każe mi wstrzymać się od wyliczania ilości czołgów i samochodów pancernych wchodzących w skład wyposażenia 7 brygady, powiem tylko, że można dokładnie rozpoznać rangę każdego żołnierza, a na ostatnim planie widać nie mniej niż sto samochodów ciężarowych. Na czterech z nich są zainstalowane dźwigi. Największe wrażenie sprawiło na mnie zdjęcie tegoż samego Eugene O. Goldbecka, działającego między rokiem 1920 a 1970, wykonane podczas *Trzeciej Dorocznej Rewii Kąpiących się Dziewcząt na plaży Galveston 14 maja 1922*. Fotografia ta zdaje się świadczyć o istnieniu jakiegoś obyczaju, nie wiadomo czy

powszechnego wówczas w Ameryce, czy jedynie ściśle lokalnego, o którym w Europie nie mieliśmy pojęcia. Bogactwo dających się dostrzec szczegółów porusza wyobraźnię, prowokując by to, co widoczne, uzupełnić domysłami. Przypomniałem sobie, że już kiedyś przez kilka miesięcy rozpoczynałem dzień, próbując opowiedzieć za każdym razem od nowa proste zdarzenie zarejestrowane na kilku leżących przede mną zdjęciach. Historia ta nosiła tytuł: Dr Jerzy Pomianowski, profesor teatrologii w Bari, przechodzi przez ogród publiczny.

Gdy Aleksander Herzen opuścił Imperium, natychmiast w pierwszym mieście po przekroczeniu granicy kupił karykaturę Mikołaja I. Po chwili, na tym samym spacerze, nie umiał się opanować i w kolejnych sklepach kupował wciąż tę samą karykaturę. Coś podobnego zdarzyło się ze mną, gdy w roku 1974 wyjechałem do Paryża. W Warszawie potrafiłem spokojnie opowiadać, na ostatniej stronie tygodnika *Literatura*, o torbach, skórzanych torbach noszonych przez przechodniów, o przechodniach, o książkach i przedmiotach wkładanych do tych toreb. Oczywiście przy całej powściągliwości stylu felietony te nie zawsze mogły się ukazać w druku. Kiedyś przeprosiłem czytelników, że i tym razem nie wrócę do opowieści rozpoczętej przed pięcioma tygodniami, bo chciałbym zwrócić ich uwagę na dwa, albo przynajmniej jeden z rozpisanych ostatnio konkursów, o których dowiedziałem się przeglądając *Studia Filozoficzne*. Pierwszy z tych konkursów dotyczył pracy, mającej stanowić twórcze rozwinięcie marksizmu, ze szczególnym jednak uwzględnieniem związku teorii z praktyką. Maszynopis w trzech egzemplarzach, dłuższy niż 40 stron lecz nie przekraczający 70, miał być oceniany przez sąd składający się z kilkunastu osób; prócz naczelnego redaktora *Studiów Filozoficznych*, docenta mianowanego Kuczyńskiego Janusza, zasiadali w nim redaktorzy *Nowych Dróg* i kierownicy odpowiednich wydziałów. Pierwszą nagrodą miał być roczny opłacony pobyt w dowolnie wybranym kraju kapitalistycznym, drugą — takiż pobyt półroczny, trzecią nagrodą była jakaś znaczna suma w tysiącach złotych. Po odwróceniu stronicy *Studiów Filozoficznych* można było zapoznać się z warunkami konkursu na tekst z zakresu estetyki. Jego fundator, Władysław Tatarkiewicz, nie narzucał żadnych ograniczeń formalnych. O rezultatach miały wyrokować panie Izydora Dąmbska i Janina Kotarbińska oraz Tadeusz Czeżowski. Pierwsza nagroda miała wynosić tysięc pięćset złotych, druga tysiąc, trzecia pięćset. Felieton nie dotarł do cenzury, skonfiskowany na miejscu przez redaktora Gustawa Gottesmana. Gdy zwróciłem mu uwagę, że oba ogłoszenia były już puszczone przez cenzurę, odpowiedział, że moje teksty są inaczej czytane. Miałem jednak poczucie, że przegrałem przez niedostatek chytrości; mogłem przepisać tylko komunikat o konkursie profesora Tatarkiewicza, a po tygodniu próbować opowiedzieć o konkursie Kuczyńskiego, licząc, że niektórzy czytelnicy będą mieli w pamięci rzecz z poprzedniego numeru. Ogłoszenie Tatarkiewicza samo nie powinno było wzbudzić uwagi cenzora. Konfiskata ogłoszenia Kuczyńskiego, nie sąsiadującego bezpośrednio z warunkami konkursu filozoficznego, przeszłaby do historii anegdotycznej. Przegrywając mogłem sobie wyrzucać błędy taktyki, lecz nie stylu. Zawiłe splątanie ustawicznej pamięci o istnieniu nieprzyjaznej kontroli z przyzwoitymi manierami pozwalało mi nad nim panować. Tyle, że treścią moich felietonów był nie tyle opis całego bogactwa faktów, co mój stosunek do niewielkiej liczby wydarzeń, których ujawnienie było możliwe. Te sprawności zawiodły mnie całkiem po przyjeździe do Paryża. Ze smutkiem rozpoznawałem w mych próbach opowieści grube natręctwa. Trwało to tak długo, że nie sądziłem iż jeszcze kiedyś wrócę do pisania. Wreszcie którejś soboty na pchlim targu przy rogatce Montreuil znalazłem serię zdjęć. Niewysoki pan dosyć wymyślnej elegancji, w słomkowym kapeluszu, idzie przez park. Na zdjęciu następnym pan minął już drzewo, do którego poprzednio się zbliżał, a w oddali z naprzeciwka widać nadchodzące dwie panie. Teraz mężczyzna, który dostrzegł już kobiety, zmienia postawę i krok. W chwili gdy się mają minąć, znieruchomiałe twarze pań przybierają wyraz wysilonej godności, pan, który jest niższy od nich obu, zwraca głowę — nie uchylając kapelusza, tak że nie widzimy jego miny. Kobiety, idąc dalej, zwracają się ku sobie, wymieniając zapewne uwagi. Pan, idąc w swoją stronę, ogląda się za nimi. Ten pan z innej epoki z racji swego wyglądu zaczął mi się kojarzyć z Jerzym Pomianowskim. Jesienią 1952, będąc na pierwszym roku warszawskiej polonistyki, napisałem sprawozdanie z niewydanej nigdy książki pewnego Norwega, który znając Polskę z uważnej lektury prozy powstałej po szczecińskim zjeździe literatów, opowiada o życiu codziennym naszego kraju. Zaniosłem norweski rękopis do *Nowej Kultury*, głównego wtedy tygodnika literackiego. Po paru dniach zostałem zaproszony do redakcji, gdzie przyjął mnie Jerzy Putrament. Długo mi tłumaczył, że tekst nie może zostać wydrukowany, ponieważ wyśmiewam schematyzm, a na obecnym etapie głównym zagrożeniem jest recydywa burżuazyjnego estetyzmu. Opublikowanie tego, co napisałem mogłoby stwarzać wrażenie niebezpiecznej tendencji. Oświadczył jednak, że odtąd powinienem pisać do *Nowej Kultury* i oddał mnie w ręce Jerzego Pomianowskiego. Memu ojcu, który, zawzięty na bolszewików, lubił jednak dawnych pisarzy rosyjskich, zawdzięczam upodobanie do Czechowa, którego spore fragmenty licznych opowiadań w przekładzie Pomianowskiego mogłem przytoczyć z pamięci. Dzięki Czechowowi nasza

sympatia od pierwszej chwili okazała się obopólna. Jeszcze tego samego dnia redaktor zabrał mnie do teatru. Jakże przyjemnie było siedzieć obok kogoś, kto czuł się tam tak dobrze i obserwować jego żywe reakcje. Po spektaklu my dwaj chyba najdłużej ze wszystkich obecnych wyrażaliśmy przy pomocy oklasków nasze podziękowanie artystom, natomiast potem w przedsionku teatralnym J.P. z lekko skłopotaną miną powtarzał półgłosem: bardzo państwa przepraszam, ja tylko po palto. W ten sposób stosunkowo wcześnie opuściliśmy szatnię, co pozwoliło nam na ulicy przed gmachem oglądać premierową publiczność. Mój mentor przy pomocy celnych formuł objaśniał mnie, kto jest kim, a paru osobom zostałem przedstawiony. Wkrótce przyjechał do Warszawy Teatr Brechta z „Matką Courage". Obejrzałem z P. to olśniewające przedstawienie, nie ustępujące niczemu co potem w moim życiu widziałem w teatrach. Wtedy było to rewoltujące wyzwanie wobec stylu, który skutecznie narzucono polskim scenom. Natychmiast w *Nowej Kulturze* ukazała się entuzjastyczna recenzja Pomianowskiego. Po latach stało się wiadome, że zespół Brechta wysłano do Warszawy po to, by powołując się potem na nieprzychylne, z góry uzgodnione opinie polskich towarzyszy przystąpić do ostatecznej rozprawy i likwidacji tego teatru. Spontaniczna reakcja Jerzego Pomianowskiego spruła tę intrygę. Śpiesznie zorganizowano kampanię przeciw Brechtowi, okazała się jednak spóźniona i nie dość skuteczna. P. również był wówczas źle traktowany przez zmobilizowanych polemistów, uniknął jednak przykrości administracyjnych, które spotkały go nieco wcześniej z przyczyny nieporównanie mniej doniosłej. Zamierzał napisać „Jarosława i Pelagię", opowieść biograficzną o Jarosławie Dąbrowskim. Uzyskał nawet niezbędne stypendium, by poznać paryskie realia. Szykując się do podróży, nie odmówił sobie przyjemności wstąpienia do „Lajkonika", małej modnej kawiarni na placu Trzech Krzyży, uczęszczanej przez wziętych artystów. Bywał tam również, przerywając urzędowanie, niejaki Piwowarczyk, o którym nawet Jakub Berman opowiedział Teresie Torańskiej, że był to groźny agent sowiecki. Piwowarczyk, występując wtedy jako Władysław Wolski, minister Administracji Publicznej PRL, rozglądając się bacznie spytał: któż to jest ten wesoły pan we fioletowej marynareczce? Usłużnie poinformowano ministra, że to dr P. A ja właśnie mam na biurku jego paszporcik. Ustanowimy zatem embargo na fioletową marynareczkę — powiedział dygnitarz i bez trudu spełnił swą obietnicę. Nie znając Paryża, P. porzucił zamiar pisania o Jarosławie Dąbrowskim i zajął się krytyką teatralną. Jednak w roku 55, a może już w 54 pojechał do Paryża na Festiwal Teatralny, skąd oczywiście przywiózł wydany przez Jerzego Giedroycia „Transatlantyk" i „Ślub", dzięki czemu dość

wcześnie mogłem tę książkę przeczytać. Doznając wielokrotnie życzliwości i ciesząc się z obcowania z J.P., nie miałem jednak nigdy pokusy, by naśladować jego pisarstwo. Być może w mniejszym stopniu pociągało mnie krasomówstwo. Dla swego daru wymowy P. bywał chętnie ściągany do teatrów, by wykładać zasady naukowego światopoglądu. Opowiadała mi pewna artystka dramatyczna, że siedziała kiedyś na takim wykładzie obok pani bileterki. Sąsiadka trzymała na kolanach otwarty zeszyt z notatkami. Było tam tylko jedno zdanie zapisane wielkimi literami: WODA SKŁADA SIĘ Z TLENU I WODORU. Tak więc można przypuszczać, że prelegent starał się wykorzystywać podobne okazje, by rozpowszechniać wiadomości całkowicie prawdziwe. Daleki byłem wówczas od tego, by wzorem Hansa Castorpa rozumieć postęp jako coś w rodzaju rozwoju techniki dźwigarów w dziewiętnastym stuleciu. Zbyt skwapliwe przywoływanie pojęcia postępu przypominało mi jednak pana Settembriniego. Widziałem, że J.P. usiłuje otworzyć wejście na szlak postępu dla profesora Kotarbińskiego, usuniętego wtedy na bok. Chciałby tam nawet zrobić miejsce dla Gombrowicza. W tłumach podążających drogą postępu zbyt wiele było wszakże kreatur, z którymi nie poczuwałem się do żadnej wspólnoty. Z urzędu byli też na tej drodze ludzie radzieccy. „Dla ludzi radzieckich postęp i rozwój nie są pojęciami oderwanymi ani nie trącą odświętną historiozofią, lecz są realną treścią...". Zachowałem w pamięci udaną akcję J.P. w obronie Brechta, ale teraz ze zdumieniem i zakłopotaniem czytam tekst tej recenzji. Autor posiłkuje się cytatami: „bezwarunkowo konieczne jest zapewnienie większej wolności inicjatywie osobistej, indywidualnym skłonnościom, większej wolności dla myśli, fantazji, formy i treści" — to Włodzimierz I. Lenin, „Organizacja partyjna a literatura partyjna". Po 56 roku P. pozwolił sobie na lekceważące uwagi o twórczości pewnego literata. Ten zraniony boleśnie oświadczył, że jego krytyk jest autorem wskazania „Piszcie prawdę — powiedział Stalin". J.P. odpowiedział, że polemista jest autorem tekstu „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem". Zdanie o Stalinie rzeczywiście można znaleźć u P., choć był to tylko cytat z dziennika *Prawda*. Użyty został w rozdziale „Prawdomówność jest dowodem siły" w tomie „Z widowni", W-wa 1953 (str. 105-130). Było to omówienie sowieckich... powiedzmy dyskusji o dramaturgii i teatrze. „Lektura prasy radzieckiej raz po raz dostarcza nam świadectw... śmiałości bolszewickiej krytyki". W miarę lektury dowiadujemy się, że sytuacja dramaturgii była w roku 1952 żałosna; prawie nie powstawały nowe sztuki. Te, które powstawały, nie były wystawiane. Te, które były wystawiane, nie były nic warte. W każdym akapicie P. wzywa do korzystania z wzorów radzieckich, każda jego infor-

macja nie pozostawia wątpliwości, jak jałowe są te wzory, wylicza przeszkody i ograniczenia stawiane pisarzom. Do końca nie słabnie napięcie między tonacją a sensem tego artykułu. W rzeczy samej bez naśladowania tonu *Prawdy* cytującej Stalina i komunikującej, że w tamtym roku ani jeden z dramaturgów nie został wyróżniony Nagrodą Stalinowską I-go ani nawet II-go stopnia nie dałoby się wtedy powiedzieć tylu rzeczy prawdziwych o sztuce sowieckiej, a do tego jeszcze właściwie jawnie głosić idee liberalne. Gdy na rynku pohukuje kapral Priszibiejew, można wpaść na pomysł, by przybrawszy wygląd sztabskapitana rezerwy krzyknąć jeszcze głośniej, przytaczając rzeczywiste lub wyimaginowane słowa władcy. By tak pojąć ten tekst, trzeba go czytać bardzo uważnie, pamiętać wszystko, przeciw czemu był pisany. Kto jednak dziś ma tyle cierpliwości, gdy trafia na pochwały realizmu socjalistycznego lub powoływanie się na językoznawcę. Może się zdarzyć, że młody czytelnik zapomni umieścić na drugiej szali przekłady Czechowa, Babla i jeszcze jednego ważnego autora.

J.P. lubił opowiadać o wesołym towarzystwie, które wkracza do moskiewskiej restauracji z okrzykiem: szampan i frukta. Na pytanie kelnera: a konkretnie? goście odpowiadają: a konkretnie — wódka i ogórki. W czterech tomach szkiców teatralnych P. nie brak okrzyków o szampanie. W szczegółach zawsze jednak wybierał Gogola i Czechowa, a z pisarzy sowieckich, w czasach gdy nie można było drukować Babla, jedynym, którego tłumaczył, był autor baśni scenicznych Jewgienij Szwarc. To tak, jakby literaturę polską reprezentował Julian Ejsmond. Nigdy nie wystąpił z atakiem na żaden — tego jestem pewien — utwór przyzwoity literacko i społecznie, autorów będących w zasięgu jurysdykcji imperium. Zdarzało się, że z rozpędu rozdzielał przytyczki podżegaczom wojennym albo autorom w rodzaju Bertranda Russella czy Mauriaca. Czasem lekkomyślnie udzielał pochwał autorom nie całkiem na to zasługującym. Retoryka lat 50-tych sprawia, że jego szkice nie dość dobrze znoszą zestawienie z osiemnastoma tomami recenzji Boya, które wciąż można czytać jak powieść obyczajową, czasem błahą, jednak dzięki setkom opowiedzianych fabuł i komentarzom do nich odtwarzającą w sposób nie mający w literaturze polskiej konkurencji atmosferę epoki. Nie sądzę, żeby dawne teksty ani jego fotografie bez reszty dostarczały prawdziwego obrazu J.P. Malowniczość zawsze zresztą przesłaniała jego istotną działalność. Gdy spotkałem go w roku 1978 w Rzymie, zwróciło moją uwagę, że porusza się z warkotem czerwoną Skodą-Octavią o karoserii sportowego samochodu, zarejestrowaną w szwajcarskim kantonie Vaud. Nie domyśliłem się, że Sołżenicyna czytuję w jego przekładzie, choć dawno temu podsunął mi do lektury „Płomienie", noszące podtytuł: Z papierów po Michale Kaniowskim.

Stare fotografie, nie rejestrujące całej prawdy o świecie, zdolne są jednak poruszyć nasz umysł. Szczegóły architektoniczne na zdjęciach z Bauhausu przypominają żoliborskie kolonie WSM. Jako początkujący krytyk wracałem z teatrów na Żoliborz najczęściej już po zamknięciu bramy. Przechodziłem górą przez wysoki parkan, zeskakując na dziedziniec, będący wtedy właściwie małym lecz starannie utrzymanym parkiem. W latach stalinizmu przygasły autentyczne przed wojną kolektywistyczne zamierzenia twórców WSM-u. Marzenia o wspólnocie przybrały tu dyskretne formy wzajemnej życzliwości, wykraczające daleko poza wzajemne pożyczanie sobie niedostępnych książek i większą może niż gdzie indziej otwartość w liberalnych rozmowach na aktualne tematy. Gdy pan Zbrożyna, przedwojenny socjalistyczny burmistrz Płocka i AK-owski starosta Żoliborza, został wyrzucony ze spółdzielni, którą kiedyś zakładał, skreślono go z listy, lecz znaleziono na IV-tej kolonii wśród zaprojektowanych pomieszczeń społecznych pokoik, w którym żył niezapisany i uwolniony od czynszów. Na początku lat 50-tych na koloniach IV-tej i V-tej usunięto dotychczasowych gospodarzy nieskłonnych do policyjnej posługi. Ich następców nazwaliśmy już stróżami. Ale trawniki były nadal podlewane. Zdjęcia robione wówczas na dziedzińcu, gdyby nie wysokość widocznych drzew, mogłyby być wzięte za fotografie sprzed wojny. Dziś na V-tej kolonii nie ma bramy. Zniknęła gdzieś w okresie późnego PRL-u. Otwarte teraz stale wielkie podwórze nie przypomina w niczym parku. Klatki schodowe stanowią szarą i ponurą sferę niczyją. Na zadeptanych dawnych trawnikach jedynie skrawki ziemi zostały sprywatyzowane. Tu i ówdzie coś może zakwitnie.

Andrzej DOBOSZ

Polska na wygnaniu*

Gdy w roku 1981 Alina Brodzka, Janusz Sławiński i Roman Zimand przygotowywali w Instytucie Badań Literackich sesję poświęconą literaturze emigracyjnej, dali jej znamienny tytuł „Literatura źle obecna (Rekonesans)". Roman Zimand w zagajeniu wyjaśniał, że ta socjologiczna metafora odnosi się do obecności literatury

* Przedruk z dwumiesięcznika *Świat Literacki*, nr 1, styczeń/luty 1991.

w obiegu czytelniczym i że obszary literatury źle obecnej są wyznaczone z jednej strony przez wywłaszczające działania władzy, z drugiej zaś — przez samoobronne inicjatywy społeczeństwa (przede wszystkim działalność wydawniczą drugiego obiegu).

Mamy rok 1991. Sytuacja jest diametralnie odmienna, co łatwo sprawdzić chociażby w ten sposób: spośród autorów przedstawionych w 1981 roku jako „nieobecni", czy „źle obecni", większość jest teraz dostępna w masowych nakładach i oczywiście nie w podziemnym obiegu. Pojawiają się też coraz to nowe próby opisania emigracyjnej literatury i emigracyjnego piśmiennictwa, przy czym ich podejmowaniu nie towarzyszą już jawnie dezinformujące, a nawet szkalujące intencje, jak to się uprzednio zdarzało autorom pokroju Mariana Stępnia. O kilku najnowszych próbach syntetycznego spojrzenia na literackie i wydawnicze dokonania emigracji chciałbym tu wspomnieć.

Zacznę od przedstawienia leksykonu Jana Zielińskiego. Zawiera on 109 haseł osobowych pisarzy emigracyjnych, włączając w to kilka osób znanych raczej w roli wydawców (Czesław i Krystyna Bednarczykowie, Mieczysław Grydzewski i zwłaszcza Jerzy Giedroyc, o którym autor pisze tak: „Choć sam publikuje niewiele, a jeszcze mniej podpisuje swoim nazwiskiem, G. ma niepowtarzalną pozycję w dziejach współczesnej literatury polskiej przez dzieło swojego życia: pismo *Kultura* i wydawnictwo Instytut Literacki".) Na każde hasło składa się nota biograficzna, zwięzła charakterystyka twórczości, bibliografia podmiotowa (tę drugą można by zapewne w wielu wypadkach rozszerzyć). W słowniku nie uwzględniono pisarzy, którzy wrócili na stałe do Polski (Stanisława Mackiewicza, Melchiora Wańkowicza, Jana Rostworowskiego), nie pominięto natomiast — w odróżnieniu od poprzedniej edycji — autorów mieszkających ostatnio za granicą, ale publikujących również w kraju i przyjeżdżających tutaj (np. Sławomir Mrożek). Uzupełnienie haseł osobowych stanowią hasła dotyczące najważniejszych instytucji wydawniczych emigracji (ich liczbę, w porównaniu z pierwszym wydaniem, podwojono), to jest: Aneksu, Kontry, Instytutu Literackiego, Oficyny Poetów i Malarzy, Polonii, Polskiej Fundacji Kulturalnej, Pulsu, Spotkań, Wiadomości i Zeszytów Literackich. Zaletą leksykonu jest doprowadzenie informacji bio- i bibliograficznych do 1990, co świadczy o imponującym tempie przygotowania książki do druku.

Pozostałe dwie pozycje, na które chciałbym zwrócić uwagę czytelników *ŚL*, dostarczają obszernego materiału do refleksji nad jednym, ale — z perspektywy czterdziestu lat jest to coraz bardziej oczywiste — najważniejszym przedsięwzięciem wydawniczym powojennej emigracji: paryską *Kulturą*. Z satysfakcją odnotować wypada, że wreszcie możemy zapoznać się z rzetelną próbą przedstawienia historii, profilu i sylwetek twórców pisma, zamiast czytać groteskowe rozważania na temat: pieniądze jakich wywiadów brzęczą (szeleszczą) w kasach *Kultury* (a tych nie brakowało w pismach mi-

nionej epoki, przywołać wystarczy sławetne „demaskatorskie" artykuły z *Żołnierza Wolności* i *Trybuny Ludu*).

„Zostało tylko słowo..." przynosi nam wybór tekstów wszechstronnie opisujących różne aspekty działalności paryskiego miesięcznika. Zasadniczo tworzą one dwie grupy. Do pierwszej należą teksty Krzysztofa Dybciaka („Dzieje i dorobek Instytutu Literackiego"), Wacława A. Zbyszewskiego („Zagubieni romantycy") i Konstantego Jeleńskiego („Kultura: Polska na wygnaniu") opisujące filozofię i styl działania pisma, imponderabilia, którym wierny był przez lata Redaktor i jego współpracownicy. Do drugiej należą portrety ludzi *Kultury*. Są tu dwa autoportrety: rozmowa z Jerzym Giedroyciem (1975, wydrukowana w londyńskim *Aneksie* dopiero po 12 latach) i z Zofią Hertz (przeprowadzona przez Barbarę Toruńczyk, opublikowana w *Res Publice* (bezdebitowej) w 1981 r. Są też portrety twórców *Kultury* stworzone przez przyjaciół i współautorów pisma. I tak: Zygmunta Hertza (zmarłego w 1979 r.) wspomina Czesław Miłosz, o Kocie Jeleńskim, wytrwałym ambasadorze *Kultury*, pisze Krzysztof Pomian, współautor (z Grażyną Pomian) jubileuszowej wystawy „*Kultura* i jej krąg 1946-1986", twórczość Juliusza Mieroszewskiego, najwybitniejszego chyba, a na pewno najpłodniejszego publicysty pisma, zwięźle charakteryzuje Zbigniew Byrski, natomiast o prozie Herlinga-Grudzińskiego i twórczości malarskiej oraz pisarskiej Józefa Czapskiego pisze Wojciech Karpiński (oba szkice są przedrukami z „Książek zbójeckich", Londyn 1988).

Książka Kopczyńskiego, choć autor narzuca sobie w podtytule czasowe ograniczenie (1980-1989) i sygnalizuje zwężenie problematyki książki do kwestii stosunków *Kultura*-kraj, jest właściwie minimonografią pisma, wybiegającą, zwłaszcza przy charakteryzowaniu jego linii politycznej, daleko poza lata osiemdziesiąte (fundamentalny tekst Juliusza Mieroszewskiego „ABC polityki *Kultury*", do którego często odwołuje się Kopczyński, ukazał się w wersji książkowej w „Politycznych neurozach" w 1967 r.). Często odwołuje się do rozmów z Giedroyciem i Zofią Hertz oraz szkiców Jeleńskiego i Zbyszewskiego pomieszczonych w „Zostało tylko słowo...", polemizuje natomiast z sugestiami Dybciaka, zwłaszcza z zarzutem przeceniania ruchów społecznych Europy Wschodniej (dziś już jasno widać nietrafność tej oceny) i roli elit w reformowaniu Polski (Giedroyc, zwłaszcza po Grudniu 1970, rozumiał wagę wystąpień robotniczych). Z braku miejsca nie mogę szczegółowo analizować często bardzo odmiennych — u różnych autorów — ocen strategii wydawniczej i politycznej *Kultury*, spróbuję natomiast wydobyć te cechy pisma, które zarówno jego twórcy, jak i nawet krytyczni czytelnicy uważają za istotne.

Dla stylu pracy *Kultury* charakterystyczne jest to, że zespół pisma jest niezwykle szczupły: obecnie tworzą go właściwie trzy osoby: Giedroyc, Zofia Hertz i Herling-Grudziński, spędzający w każdym kwartale dwa miesiące w Neapolu, a miesiąc w Maisons-Laffitte, plus brat Jerzego, Henryk Giedroyc, zajmujący się sprawa-

mi administracyjnymi (do 1979 r. do ścisłego zespołu należał też Zygmunt Hertz). Wykonują oni pracę, która w każdej normalnej redakcji dałaby zajęcie dwudziestu osobom, co jest możliwe dzięki temu, że praca redakcyjna to dla nich kontynuacja żołnierskiego trybu życia czy — jak mówią żartobliwie — „zakon" albo „kołchoz". Nie ma mowy o żadnych godzinach urzędowania: *Kultura* wypełnia całe ich życie.

Jeśli chodzi o profil pisma, to charakteryzuje go całkowita niezależność sądów i bezkompromisowość w ich formułowaniu, nawet jeśli dotyczy to takich autorytetów jak Kościół katolicki czy Radio Wolna Europa (zestawienie nieprzypadkowe). Należy też podkreślić niepodległościowy charakter pisma, z czym wiąże się jego „maksymalizm etyczny", radykalizm postulatów stawianych działaczom opozycji w kraju i nieufność do wyników Okrągłego Stołu. Fascynacja myślą Józefa Piłsudskiego nie przeszkodziła Giedroyciowi wkrótce po wojnie, co było prawdziwym szokiem dla znacznej części emigracji, zrezygnować z koncepcji federacyjnej. Co więcej, wieloletnie, uporczywe działania *Kultury* pozwoliły — cytuję Kopczyńskiego — przekonać „największych opozycjonistów rosyjskich o prawie Ukrainy do niepodległości, a społeczeństwo polskie o konieczności normalizacji stosunków z sąsiadami za cenę Lwowa i Wilna".

Ludzie *Kultury* już w 1947 roku wiedzieli, że muszą się nastawić na długą emigrację. W latach 70-ych i 80-ych wielokrotnie formułowali pogląd, że rola emigracji nie ogranicza się do wysyłania pieniędzy i maszyn drukarskich do kraju, że potrzebuje on także inspiracji i myśli politycznej, tworzonej z perspektywą i dystansem nieosiągalnym w warunkach stanu wojennego i cenzury. Działaczom opozycji w kraju, środowiskom emigracyjnym, Kościołowi potrzebna jest raczej krytyka (nawet jeśli czasem zbyt napastliwa) niż płaskie laurki. Tylko absolutny nonkonformizm, krytyka wszelkich przejawów nacjonalizmu (to stanowisko *Kultury* szczególnie akcentował Jeleński), polonocentryzmu i klerykalizmu pozwala uchronić się przed terrorem rzeczywistości, który sprawia, że w polityce zaczyna chodzić tylko o osiągnięcie doraźnych korzyści w grze, a „codzienna bieganina zastępuje wszystko".

Jak słusznie pisze Kopczyński, przytaczając opinię Czesława Miłosza, Maisons-Laffitte stało się już dla Polaków miejscem tak samo mitycznym jak pewne instytucje z czasów Wielkiej Emigracji. Jeleński nazwał ją „czymś w rodzaju kiosku neoklasycznego w Puławach", „skarbnicą narodową", „miejscem pielgrzymek". Z drugiej strony — co z goryczą odnotowuje w posłowiu Kopczyński — „ani kraj, ani emigracja nie zdobyła się w latach osiemdziesiątych na poważną, wielowątkową dyskusję z *Kulturą*", co „zubożyło bardzo obraz polskiej polityki". Pozostaje mieć nadzieję, że publikacja książki „Przed przystankiem Niepodległość" i — być może — kolejnych, obszerniejszych monografii *Kultury* i Instytutu Literackiego skłoni Polaków do głębszego namysłu nad kształtowanym przez

to wydawnictwo etosem. Może w ten sposób poszerzy się grupa przyjaciół *Kultury*, którą Stanisław Vincenz pięknie nazwał jej „niewidzialną redakcją", przyjaciół pamiętających wszakże — jak ujął to Kopczyński — że opowiedzieć się po stronie *Kultury*, to nie znaczy bezkrytycznie przyjmować jej sądy.

Paweł PIASECKI

Krzysztof Kopczyński — *Przed przystankiem Niepodległość. Paryska „Kultura" i kraj w latach 1980–1989.* Biblioteka *Więzi* (tom 66), Warszawa 1990.

Jan Zieliński — *Leksykon polskiej literatury emigracyjnej.* Wydawnictwo FIS i Unipress, Lublin. Wyd. II poprawione i poszerzone. (Wyd. I: FIS, Lublin 1989).

Zostało tylko słowo. Wybór tekstów o „Kulturze" paryskiej i jej twórcach. FIS, Lublin.

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości $ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.
Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,
Tel.: 42 85 79 45

Stanisława Jaklicz

Stanisława z Machwicz Machczyńskich Jaklicz urodziła się w Warszawie 6 maja 1893 roku. Po przedwczesnej śmierci ojca w 1907 roku postanowiła zdobyć zawód i pracować.

Wyjazd do Francji w 1910 roku i zetknięcie się z kursami introligatorstwa w paryskiej Ecole du Louvre zdecydowały o zawodzie, który pokochała i wykonywała niemal przez całe życie.

Często wspominała odległe czasy: życie Warszawy pod zaborem rosyjskim, swoją pracę w introligatorni mistrza Recmanika, podróże. Świetnie pamiętała piosenki legionowe i wszystkie wydarzenia tamtych lat.

W 1921 roku po zakończonej wojnie polsko-bolszewickiej Stanisława Machczyńska poślubiła majora Józefa Jaklicza i całe życie towarzyszyła mu na wszystkich szczeblach kariery wojskowej jako dowódcy pułków w Wadowicach i Bydgoszczy, czy zastępcy szefa Sztabu Naczelnego Wodza do 1939 roku. Druga wojna światowa rozłączyła ich. Stanisława Jaklicz z dwojgiem dzieci, mimo możliwości wyjazdu, pozostała w Warszawie. Uważała, że w momencie tak tragicznym dla kraju żołnierz nie może być obciążony rodziną.

Przeżycia wojenne i śmierć syna Bogdana w pierwszym dniu Powstania jeszcze bardziej połączyły Ją z Warszawą, lecz kiedy stanęła przed wyborem: zostać z córką w Polsce czy jechać do męża, wybrała to drugie i w 1947 roku przejechała do Francji.

W trudnym życiu emigracyjnym introligatorstwo okazało się zawodem, który ratował, szczególnie wtedy, kiedy pułkownik, później generał Jaklicz był bez pracy.

Na poddaszu małego mieszkanka w siódmej dzielnicy Paryża powstawały oprawy książek dla bibliotek polskich i francuskich. Wśród maszyn, książek, papierów i skór poznałem panią Jakliczową w październiku 1974 roku, kilka miesięcy po śmierci męża. Potrzebowała czyjejś obecności, ludzkiej serdeczności, ja chciałem nauczyć się introligatorstwa.

Kochałem ten dom, w którym wszystko przypominało Polskę. Stanisława Jaklicz zmarła 14 maja i pochowana została na polskim cmentarzu w Montmorency koło Paryża.

Odszedł Człowiek wielkiej dobroci, umysłu i serca.

Marek SZYPULSKI

Katolicyzm Grahama Greene'a

Graham Greene zmarł 3 kwietnia 1991 w Szwajcarii, niedaleko od granicy francuskiej i swoich Antibes, gdzie od wielu lat mieszkał. Przeżył 85 lat. Pogrzeb miał całkiem katolicki, nabożeństwo w wiejskim kościółku na stoku Mont Pélerin, był ksiądz, stary przyjaciel i powiernik zmarłego, Hiszpan Leopoldo Duran; była żona Vivien, z którą już od dawna nie żył, choć nigdy się nie rozwiódł, i córka, pani Caroline Bourget; była wieloletnia kochanka, pani Yvonne Cloette, wciąż jeszcze bardzo piękna. Były prawdopodobnie też inne kochanki, których miał mnóstwo. A więc była i atmosfera skandalu. No, ostatecznie nikt nie jest bez grzechu. Graham Greene miał przynajmniej tę zaletę, że się ze swoimi niewiernościami nie krył, gdyż nie uważał ich za wielkie grzechy. Ale jeśli pomyśleć, że rozwiedziony katolik *eo ipso* nie ma prawa przystępować do komunii (a Greene przystępował), to coś tu nie jest w porządku. I Greene wciąż uchodził za katolickiego pisarza (podobnie jak u nas przed wojną Jerzy Andrzejewski, dopóki po wojnie nie wstąpił do marksistowskiej partii). Prostował wprawdzie, że jest raczej pisarzem, który jest także katolikiem, ale nie protestował. Faktem jest, że i jego bohaterowie są przeważnie katolikami i myślą typowo po katolicku. Co wcale nie znaczy, że są dobrymi katolikami. Gdyby byli, nie byliby zapewne dobrymi postaciami powieściowymi. Ich autor też nie był dobrym katolikiem, ale był dobrym powieściopisarzem.

Czytałem kiedyś czyjeś uczone rozważania (o ile pamiętam, był to Piers Paul Reid, *nota bene* też katolik) na temat, czy artysta, mianowicie powieściopisarz, może być człowiekiem świętym. Wydało mi się to wtedy dosyć idiotyczne, jako że przynajmniej aspirować do świętości może każdy człowiek, a powinien każdy chrześcijanin. (Simone Weil napisała gdzieś, że dla chrześcijanina jest to minimum, tak jak dla fachowca jego facho-

wość.) A jednak coś w tym jest. Widać to właśnie w twórczości Greene'a. Greene jest pod tym względem trochę jak Conrad. Dla bohaterów Conrada „sednem sprawy" jest ich wewnętrzna uczciwość, która się zawsze tym Lordom Jimom wymyka. Ale Conrad jest w tym całkiem świecki. Natomiast u Greene'a ta sama problematyka ma wymiar religijny, nadprzyrodzony, mistyczny. Bohaterowie Greene'a w odróżnieniu od conradowskich borykają się ze swymi słabościami w tym nadprzyrodzonym kontekście — i wcale na tym lepiej nie wychodzą. Tak samo ich autor, który jest ze swymi postaciami solidarny. Gdyby nie był, byłby nie powieściopisarzem a kaznodzieją, a jego powieści byłyby religijnym kiczem. W tym sensie istotnie powieściopisarz nie może być święty. Zdaje się, że rozumiał to nawet papież Paweł VI, który powiedział Greene'owi, że katolicy zawsze będą mieli wobec jego powieści pretensje, ale by się tym nie przejmował.

Całą tę teorię (wraz z uwagą Pawła VI) zawdzięczam ponownemu odczytaniu długiego i niezwykle szczerego wywiadu, jakiego Greene udzielił na półtora roku przed śmiercią przedstawicielowi tygodnika *The Tablet* (23 września 1989). Tę zupełnie wyjątkową dziennikarską gratkę (po angielsku nazywa się to *a scoop*) zawdzięcza *Tablet* temu, że Graham Greene należał do grona powierników tego katolickiego pisma i czasem zabierał głos w dziale listów do redakcji), ale zapewne również temu, że Greene chciał się przed śmiercią niejako publicznie wyspowiadać. Uprawiał, owszem, spowiedź sakramentalną (by sprawić przyjemność księdzu Duranowi, „na dwie minuty"), ale w tych ostatnio nie miał już wiele do powiedzenia. Dbał przy tym, by wyznawać tylko grzechy „od ostatniej spowiedzi" i kiedyś zrobił awanturę księdzu, który za wiele od niego pod tym względem wymagał. Katolicyzm Greene'a ma, jak widać, swój aspekt żenująco konwencjonalny. I tak w samolocie przed startem odmawiał „Zdrowaś Mario" („w takich sytuacjach nie mówi się 'Ojcze nasz'"), co mu nie przeszkadzało nie lubić mariolatrii. Wieczorem, owszem, odmawiał pacierz („jakieś 5 minut, przeważnie za innych ludzi"). Dziwne, że tak nasiąkł katolicką konwencją, skoro Greene był konwertytą, przyjął katolicyzm mając już 23 lata i to głównie po to, by zdobyć ukochaną kobietę, którą była bardzo gorliwa katoliczka. Potem z ukochaną kobietą się rozstał, ale katolicyzm mu pozostał. Nawet w swej krytyce katolicyzmu nie jest oryginalny. Nie lubi mszy w języku narodowym, bo mszę łacińską zawsze rozumie, a mszę w języku narodowym nie zawsze, jest na ogół liberalny: zakaz antykoncepcji uważa za nonsensowny; gdyby nie ten zakaz, byłoby mniej wypadków aborcji. Kościół jest współwinny klęski przeludnienia w świecie. „Czy nie uważa Pan, że Kuria Rzymska trochę przypomina Politbiuro?" W ustach Greene'a jest to mniej zabójczy sztych, niżby się zdawało, jako że Greene lubił Politbiuro i Gorbaczowa i Ortegę, a nawet bronił Saddama Husejna przeciw Bushowi i Zachodowi w ogóle; było w tym tyleż złośliwej przekory co politycznej naiwności. Zdaniem Greene'a Kościół obecnie walczy nie o ideały, a o swoją ideologię, a obecny papież jest zbyt przekonany o własnej nieomylności i przydałoby mu się trochę zdrowych wątpliwości. Kościół potrzebuje nowego papieża Jana — Jana XXIV.

Wszystko to może być bardziej lub mniej słuszne albo niesłuszne, ale nie jest to ani szczególnie mądre ani oryginalne. I na pewno nie to trzymało Greene'a przy katolicyzmie aż do śmierci. A może to był Padre Pio? Greene żywił prawdziwą cześć dla włoskiego mistyka (po trosze dlatego, że Padre Pio podobno nie jest lubiany w Watykanie). Poszedł kiedyś z ciekawości na jego mszę; ta msza, cicha, trwała przeszło dwie godziny, a przeleciała jak z bicza trzasł. Greene, jak powiada, nie mógł nie wierzyć w jego stygmaty i dar uzdrawiania i stale nosił w portfelu jego zdjęcie. Jak się wyraził w wywiadzie dla *Tablet*'a, *Padre Pio poddał w wątpliwość jego niewiarę*. Niewiara była centralnym problemem Greene'a zarówno przed jak i po przelotnym spotkaniu z Padre Pio. Był katolikiem i to na swój sposób praktykującym, ale równocześnie uważał się za *katolickiego agnostyka*. I tu wreszcie Greene jest naprawdę sobą, jest oryginalny. Nie żeby ta relacja między katolicyzmem (czy chrześcijaństwem, a może w ogóle religią) a agnostycyzmem była czymś wyjątkowym. Przeciwnie, *a-gnosis*, niewiedza jest istotnym elementem stanowiska wiary rozumianej nie w sensie *credo*, ale jako powodowana miłością *fides*. Kardynał Léger, ongiś arcybiskup Montrealu, potem mało już znany opiekun trędowatych gdzieś w Afryce, mówił, że na dnie duszy każdego wierzącego siedzi ateista. Oczywiście, choć mało kto spośród wierzących gotów jest do tego się przyznać. A jednak jak bardzo takie wyznanie zbliża do siebie tak zwanych wierzących i niewierzących! Ale większość ludzi woli się zamknąć w szufladce z jednym czy z drugim napisem; jest to psychologicznie wygodniejsze. Graham Greene należał do tych nielicznych, którzy nie potrafili zamknąć się raz na zawsze. Stąd to określenie „katolicki agnostyk". Bo Greene czuł, że wiara z natury rzeczy jest zawsze tylko dynamicznym poszukiwaniem wiary. Raczej czuł to instynktownie niż rozumiał. Bo Greene w tym wywiadzie nie robi na mnie wrażenia wielkiego myśliciela. Teologia nie bardzo go interesowała, także teologia moralna. Dość niezgrabnie się tłumaczy z negatywnej strony tej pozycji zawieszenia między dobrem a złem. Mam na myśli jego liczne niewierności seksualne, które traktował dziwnie beztrosko. Gdyby mi zaczął

tłumaczyć, że to jakaś rehabilitacja seksu, niesłusznie oczernionego przez bezecny kler, czy coś podobnego, to przynajmniej słuchałbym z zainteresowaniem. Ale Greene potrafi tylko powiedzieć, że jeżeli w trójkącie małżeńskim trzecia strona nie zgłasza pretensji, to nikomu krzywda się nie dzieje. Albo że każda jego afera to była głęboka przyjaźń. Przecież każda z jego postaci powieściowych zadaje mu kłam.

O to właśnie chodzi, że Graham Greene był kiepskim filozofem, a był genialnym pisarzem. To rozróżnienie jest tak samo ważne jak naszkicowane poprzednio rozróżnienie między kaznodzieją i pisarzem. Jest to nawet tylko inne sformułowanie tego samego rozróżnienia. Należy tu także dychotomia Kołakowskiego kapłan i błazen, albo przeciwstawienie powołań kapłana i pisarza w *Portrecie artysty* Jamesa Joyce'a. O ile kapłan jest sługą Boga, pisarz u Joyce'a jest wprost rywalem Boga, bo jest tak samo jak Bóg twórczy. Wspomina o tym Greene w wywiadzie, ale tylko po to, by przejść nad tą pretensją do porządku. Ale fascynuje go jak gdyby boska wszechmoc pisarza w stosunku do tworzonych przez siebie postaci. Przecież autor może z nimi robić, co mu się podoba, sam kształtuje ich przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, może im kazać żyć, być szczęśliwymi czy nieszczęśliwymi i może ich, gdy uzna to za stosowne, unicestwić. A jednak to nie całkiem tak jest. W wywiadzie Greene zdaje się sądzić, że jego postaci mają swoją indywidualną wolną wolę i nie całkiem podlegają kaprysom odautorskiej predestynacji. Niestety, nie rozwija tego fascynującego tematu, prawdopodobnie znowu dlatego, że ani nie lubi ani nie umie myśleć teoretycznie. Ale nie bez związku z tym pozostaje jego ocena nieco starszego od niego pokolenia pisarzy tzw. *Bloomsbury School*, głównie Virginii Woolf i E.M. Fostera. Odpychała go od nich, jak powiada, pewna płaskość świata tych pisarzy, płaskość ich postaci jako ludzi pozbawionych przyszłości, innymi słowy pozbawionych wymiaru życia wiecznego. Ale gdyby w tym miejscu zapytać Greene'a, czy sam wierzy w życie wieczne, nie dostalibyśmy jasnej afirmującej odpowiedzi. Greene kilkakrotnie powiada, że *chciałby* wierzyć, że *powinien* wierzyć, ale nigdy że wierzy. Katolicki agnostycyzm na całej linii. Ale jest to agnostycyzm katolicki. Greene powiada, że pierwszą swoją wielką powieść *Brighton Rock* napisał w reakcji na płaskość świata *Bloomsbury School* i wtedy sobie uświadomił, że jest katolikiem. Ale także o postaciach jego powieści nie można powiedzieć *tout court*, że wierzą i basta. Natomiast trzeba powiedzieć, że postępują tak *jak gdyby* wierzyły. Wbrew pozorom nie jest to bynajmniej minimalistyczne stwierdzenie. Wprost przeciwnie, jest to wiara doprowadzona do maksymalnego napięcia, jest to wszystko, czego można od wiary wymagać. Zarówno Scobie w

Sednie sprawy jak i ksiądz-pijaczyna w *Potędze i chwale* są przekonani, że ich wiara ich potępia, a jednak robią co ta wiara im każe i składają ofiarę z własnego zbawienia. Są to dwie spośród najpiękniejszych postaci w literaturze światowej. A są nimi dlatego, że ich autor był jednak katolikiem. Ciekawe, że podobno właśnie dlatego nie dostał nagrody Nobla.

Antoni POSPIESZALSKI

Bunt w butonierce

Od czasu od czasu w kulturze pojawia się grupa młodych ludzi, których to co zastali denerwuje i w związku z tym postanawiają dać upust swym emocjom. Nie jest to niczym złym, czasem jednak przeradza się w manifestację głupoty i infantylizmu. Tak się, niestety, stało z krakowskim periodykiem *brulion*, pismem startującym niezwykle ambitnie, mającym w dorobku sporo interesujących tekstów oraz pomysłów, które jednak obecnie coraz częściej zaczyna epatować wytropionego przez siebie nowego „straszliwego mieszczanina" postkomunizmu.

Gdy w połowie lat osiemdziesiątych *brulion* startował, było rzeczą oczywistą, że nie ma co zaczynać od buntu przeciw „czerwonemu": „czerwony" już ledwie dychał i dostrzegał to każdy, komu Bóg dał oczy do patrzenia — wyżywanie się na leżącym i zdychającym cielsku byłoby tyleż nieeleganckie, co mało odkrywcze. Z tego autorzy *brulionu* zdawali sobie doskonale sprawę. Wybrali więc — słusznie — inny cel swych prześmiewczych ataków. Uderzyli w swoiste zakłamanie kultury „drugiego obiegu", w napuszoność starszych kolegów, w coś, co można by nazwać „salonem opozycji". Czy raczej „salonami" — obok od lat podgryzanej „warszawki" wyrósł tymczasem piękny grajdołek „krakówka", skupiony wokół *Arki* i *NaGłosu*, w którym tylko co, a usłyszelibyśmy czułe „panie radco", „pani mecenasowo"... Nic więc dziwnego, że po ogłoszeniu przez *Arkę* listy nazwisk „wielkich tego świata", którzy zgodzili się jako areopag firmować to pismo, *brulion* natychmiast ogłosił analogiczną listę — tyle, że złożoną z nazwisk wielkości dawno zmarłych. Pomysł ładny, wyrafinowany: celny strzał w kwitnące snobizmy.

Podobnych pomysłów pismo miało więcej: tu właśnie odnotowano „graffiti" krakowskie mówiące: „Strzelaj albo emigruj". Poszukiwanie graffiti jest zresztą jednym z bardziej interesujących, stałych wątków obecnych w *brulionie*, zwłaszcza dla kogoś, kto bawi się marginesem życia publiczno-artystycznego. Świetnie też reda-

gowany jest stały dział pisma „noty, omówienia, okruchy", w którym sporo wieści z przestrzeni młodzieżowej subkultury paraartystycznej, ale także nie pozbawionych złośliwości minirecenzji, czujnie wybranych cytatów. Nie brak tu podszczypywania Kościoła, co tyleż zrozumiałe, co rozpaczliwe: chciałoby się powiedzieć: „chłopcy, jeszcze jeden wysiłek — napiszcie na ten temat coś poważnego" — w końcu nie tylko autorów i redaktorów *brulionu* może irytować postawa przynajmniej części kleru i narodowych chrześcijan, ale podszczypywanie, choć bywa dowcipne, nie jest wystarczające jak na manifestację postawy opozycyjnej. Skorelowane z tym jest prezentowanie literatury naruszającej mocno zaszczepione w polskiej kulturze tabu dotyczące spraw seksu czy szerzej — obyczajowości: w tej mierze, przyznam, nic mnie już nie zdziwi od czasu, gdy Słonimski zaprotestował na łamach *Twórczości* przeciw publikowaniu... de Sade'a. Ale ten wątek ciągnie się od Boya i należy do serii dowcipów: „Tato, czy wąż ma ogon? — Wyłącznie, synku". Z długą brodą. Wyjściem sensownym byłaby prezentacja rzeczywiście dobrej polskiej literatury obyczajowej. Tej jednak jak nie było, tak nie ma — niemal wszystko, co tu zdołała stworzyć polska literatura, zaklasyfikować trzeba jako grafomanię. Także (mam nadzieję, że mi redaktor *Kultury* nie zafunduje tu znaczka składającego się z czterech kresek zamkniętych w nawiasie kwadratowym) „Flupy z pizdy" Zbigniewa Sajnóga, jakimi uraczył czytelników ostatni numer *brulionu*. Kiepski to wierszyk i — wyjąwszy może panienki ze szkółek przyklasztornych, ale też pewnie nie — niewieloma ludźmi „wstrząśnie". Żałosna to manifestacja „niezależności". Podobnie jak dość żałosny jest dowcipas na odwrocie strony tytułowej: rysunek uśmiechniętego słoneczka opatrzony podpisem „odpierdol się". Ha, ha!

Pismo, jak powiedziałem, startowało bardzo ambitnie. Zdobyło sobie wielu czytelników i popularność niekoniecznie ufundowaną na cytowanych przed chwilą dowcipasach. Teraz redaktorzy wkładają wiele wysiłku w pozbycie się tej publiczności. Widocznie znaleźli lepszą. Z tego, co się obecnie daje wyczytać, sądzę, że zarówno redakcja jak czytelnicy, na których stawia, to grupa społeczna zalecająca bicie, kopanie i plucie po omacku, na oślep — na zasadzie: wszystko, co po drodze, to nieprzyjaciel. Być może tak jest. Być może rzeczywiście zarówno życie kulturalne jak i polityczne współczesnej Polski jest do wyrzucenia na śmietnik. Ja nawet bym na to poszedł, gdyby mi ktoś rzecz udowodnił. Manifestowanie chęci „niezależności" takim dowodem nie jest. Boy robił to lepiej. Nawet Sandauer... Gdy Barańczak zaatakował kiedyś Iłłakowiczówną, miano mu za złe nie to, co napisał, lecz to, że zrobił „kuku" starszej pani: w samym tekście o coś jednak chodziło, były tam jakieś racje.

Tymczasem młodzi, szumnie wkraczający teraz w życie literackie, choć słusznie dystansują się od salonów (i tak utworzą własny, to nieuniknione, albo w końcu dadzą się pożreć — niezależność po debiucie to sztuka dla wytrwałych i dla tych, którzy naprawdę mają

coś do powiedzenia), postanowili jednocześnie nie dorosnąć, co nawet w świetle propagowanej w ostatnim numerze „religii dla każdego" czyli socjobiologii z reklamowaną tu „kopulacją ewolucyjnie stabilną" jest postawą raczej mało mającą wspólnego z realnymi koniecznościami. Infantylizm pogłębiający się z numeru na numer — jako program kulturalny jest być może czymś nowym, ale na tym też kończy się jego kreacyjna siła. A jednocześnie, co trzeba przyznać nie bez pewnej szczególnej troski, coraz bardziej felietonowy styl wypowiedzi *brulionu* (po części także interesującego poznańskiego *Czasu Kultury*) rodem z J.M. Grońskiego czy D. Passenta — Urban bywa bardziej inteligentny — zakładający stałą agresywność jako jedyną niezmienną wartość i cel wypowiedzi, to bez wątpienia najbardziej trwały wkład PRL w kształtowanie oblicza młodej literatury (nie chcę nikogo krzywdzić, dopowiem więc: nie tylko młodej i nie tylko literatury). Kiedyś Antoni Pawlak napisał znakomity tekst „Dzieci PRL-u": drapieżny, ostry, obrazoburczy i „szargający świętości". Jemu jednak o coś chodziło.

O plagiatowym charakterze przełomów literackich w Polsce już swego czasu pisano, lecz nikt nie czyta dziś tego, co zostało napisane dawniej niż przed dziesięciu najwyżej laty. To też zresztą spadek po PRL: żyć bez tradycji, bez wiedzy o sobie. I o innych. Gdy swego czasu w *Pulsie* chcieliśmy zamanifestować swój dystans wobec akademizmu polskiego życia literackiego, opublikowaliśmy „Skowyt" i wiersze Ferlinghettiego, ale ich nie powielaliśmy. Dziś, kilkanaście lat później, jako nowość, którą się specjalnie celebruje w *brulionie*, serwują mi młodzi wiersze Jacka Podsiadły (rocznik 1964, sześć tomików wydanych własnym sumptem) będące dalekim (i tym samym słabszym) echem poematu klasyka amerykańskiej *beat generation*: „musimy stąd wyjść tu przestaje być zabawnie / przerwać pierścień okrążenia i wziąć świat / jak kobietę z zaskoczenia i od tyłu...". Szkoda czasu na analizowanie tego słowolejstwa, już pierwszy wers jest przegadany, na szczęście całość mocno krótsza od „Skowytu" (nie stało tchu?). Ale okazało się, że ani czasu, ani papieru nie szkoda. Dwie strony dalej czytam o „fenomenie Podsiadły" (Krzysztof Koehler, skądinąd interesujący poeta). Jeszcze dalej Marian Stala opiewa następujące zalety tej poezji: „Poetycki świat Podsiadły, bogaty w konkret, udatnie zderzający mity i marzenia popkultury z polskimi realiami, nie jest zarazem (może się mylę) światem nadto skomplikowanym". Autor się nie myli, świat ten skomplikowany nie jest. Ale autor zapomniał, że konfrontację polskich realiów z pop-artem załatwił już swego czasu Różewicz.

Infantylizm połączony z wtórnością jako program kulturalny? Dlaczego nie. Pewnie niedługo usłyszę, że żyjemy na kupie śmiecia. I będzie to kolejna nowość. Zaś pismo nazwane będzie nie *brulion*, lecz może *rolka*. I drukowane będzie, by zadziwić i zaszokować publiczność, na papierze toaletowym. Dlaczego nie?

Leszek SZARUGA

Przewaga technologiczna Japonii

W swej głośnej i kontrowersyjnej książce, która zbulwersowała Amerykę i przeraziła Pentagon, znany japoński pisarz i poseł do parlamentu Shintaro Ishihara[1] zadziwił świat stwierdzeniem, iż Japonia już dziś osiągnęła zdecydowaną przewagę technologiczną nad USA. Tylko japońskie firmy elektroniczne, z ich zapleczem masowej produkcji, mogą dziś dostarczać niezbędne technologie półprzewodnikowe (ang. *semiconductors*) dla nowoczesnych systemów militarnych. Bez nowej generacji komputerów japońskich Ameryka nie jest w stanie zagwarantować należytej dokładności swych arsenałów nuklearnych. W konkluzji stwierdza on, iż decydująca karta dla globalnego balansu militarnego znajduje się w rękach Japonii.

Pozornie zaskakujące twierdzenie Ishihary nie jest bynajmniej głosem odosobnionym. Wśród ekspertów zajmujących się tym zagadnieniem już od kilku lat panuje przekonanie, iż najpóźniej do końca obecnej dekady Japonia stanie się dominującą potęgą technologiczną w świecie. Niektórzy uważają, iż stanie się to już w ciągu najbliższych kilku lat, a jeszcze inni, iż dzieje się to już dziś, na naszych oczach. Nie ulega wątpliwości, iż wyścig technologiczny z Japonią przegrywa Ameryka z kretesem. Najbardziej zaskakujący jest fakt, iż główną przyczyną takiego stanu rzeczy nie jest regres myśli naukowo-technicznej, lecz wieloletni, powolny upadek ogólnej bazy przemysłowo-produkcyjnej USA.

Znaczenie technologii wytwórczych

Jeszcze do niedawna eksperci amerykańscy, badający przyczyny postępującego upadku gospodarczego USA, opierali się na błędnie sformułowanych przesłankach. Dopatrywali się przyczyn upadku w różnych zmianach wymogów polityki zagranicznej USA w świecie, a nie doceniali powodów wewnętrznych, związanych z niewłaściwym ukierunkowaniem rozwoju bazy produkcyjno-technologicznej. Dziś

1. Shintaro Ishihara: „NO to ieru Nihon" (Japonia która może powiedzieć NIE), wyd. Kobunsha, Tokio 1989. Na skutek szumu, jaki w kołach Pentagonu wywołało pirackie tłumaczenie skryptu książki, Akio Morita (przewodniczący koncernu Sony) w ostatniej chwili wycofał swe współautorstwo już w pierwszym, japońskim wydaniu. Autoryzowana wersja w języku angielskim ukazała się w Tokio w br. (wyd. Simon and Schuster Ltd, str. 160).

już przyznają otwarcie, iż radykalny spadek produkcji wytwórczej (jako odsetka produktu brutto/CNP) w latach 80-tych oraz szablonowe traktowanie rozwoju technologicznego (pojmowanego wyłącznie w relacji kosztów do zysków) są głównymi przyczynami gwałtownego spadku zdolności konkurencyjnych gospodarki USA. W rezultacie znacznie osłabła pozycja Ameryki w tradycyjnych sektorach wysoko-technologicznych oraz w tradycyjnych, lecz coraz bardziej technologiczno-chłonnych gałęziach przemysłowych.

Problemem zasadniczym jest tu karygodne zaniedbanie technologii wytwórczych. Rozwój tzw. „nowej produkcji wytwórczej", zrywający radykalnie z przeszłością i oznaczający rewolucyjne zmiany i postęp w dziedzinie kontroli i jakości produkcji, prawie zupełnie ominął Amerykę. Kluczowym pojęciem nowej wytwórczości, zapoczątkowanej i rozwiniętej do szczytów doskonałości właśnie w Japonii, jest tzw. „elastyczność", oznaczająca zdolność zróżnicowania produktu w jednej linii produkcyjnej. Z pojęcia elastyczności rozwinęły się dwie inne rewolucyjne koncepcje wytwórcze, tzn. „elastyczna automatyzacja" i „elastyczna specjalizacja". Pierwsza oznacza optymalnie niskie koszty zróżnicowanej produkcji masowej, a druga udział w takiej produkcji wielkiej ilości małych, na przemian konkurujących i współpracujących firm. Realizacja obu koncepcji daje producentom japońskim nie tylko wygodę wysokiej zdolności konkurencyjnej, lecz przede wszystkim zdolności szybkiej reakcji na zmiany technologiczne. Mit o nadrzędności „czystej technologii" z zaniedbaniem technologii wytwórczej leży u podłoża niedorozwoju innowacji produkcyjnej USA. Pozostawianie zastosowań technicznych i produkcji innym krajom doprowadziło do drastycznych ograniczeń bazy produkcyjnej i konieczności importu technologii wytwórczych. To z kolei spowodowało obniżenie potencjału dla właściwego rozwoju naukowo-technologicznego.

Nadrzędność technologii cywilnych

Z zaniedbania produkcji i technologii wytwórczych wywodzi się bezpośrednio niedocenianie w USA zmieniających się powiązań między rozwojem technologii militarnych i cywilnych. Przez lata zakorzenione (w swoim czasie słuszne) przekonanie, iż inwestycje w zaawansowanych technologiach wojskowych i lotniczych mogą znaleźć pochodne zastosowanie w sektorach cywilnych, przesłoniło możliwość takiego zastosowania w kierunku odwrotnym, tzn. z projektów komercjalnych do wojskowych. Chodzi tu o stosunkowo nowe, rewolucyjne zjawisko rozwoju technologii, stosowane z wielkim powodzeniem w Japonii, gdzie wkrótce może stać się główną bazą wypadową dla nowej generacji technologii militarnych. Szybszy rozwój w tym kierunku dokonuje się w gałęziach przemysłu samochodowego i elektroniki użytkowej, w których tzw. technologie składnikowe już dziś osiągają parametry zastosowania militarnego.

Elektroniczne systemy kontroli (technologie półprzewodnikowe), dotychczas stosowane tylko w przemyśle wojskowym, wkrótce staną się normą w produkcji samochodowej. Z kolei japońskie łożyska, stosowane w video-kamerach, osiągają dziś stopień dokładności wyższy od tego, którego wymagają niektóre zastosowania militarne. Wysoki stopień dokładności, wymagany przez systemy kontrolne dla pocisków balistycznych, można dziś coraz częściej znaleźć tylko w japońskich technologiach cywilnych.

Technologie militarne i cywilne pokrywają się mniej więcej na płaszczyźnie ogólnego zastosowania naukowego. Tym, co stanowi o nadrzędności technologii cywilnych, a tym samym o postępującej przewadze technologicznej Japonii nad USA, są niskie koszty rozwoju i szybkość zastosowania. Produkty komercjalne masowego użytku nie tolerują, na dłuższą metę, wysokich kosztów rozwojowych. W Japonii są one z powodzeniem zredukowane poprzez masowe rynki zbytu właśnie w fazie komercjalnej, a więc jeszcze przed zastosowaniem w projektach militarnych. Równie ważnym czynnikiem jest szybkość zastosowania, dyktowana konkurencją rynkową. Honda i Toyota sprowadzą dziś samochód z biura projekcyjnego na rynek w przeciągu trzech lat, prawie dwa razy szybciej niż np. Mercedes. Przy coraz większym zastosowaniu najnowszych technologii elektronicznych i materiałowych w produkcji samochodowej i konsumpcyjno-elektronicznej, problemy rozwoju technologicznego w sektorach cywilnych stają się prawie identyczne z wymogami projektów wojskowych. Z tą tylko ważną różnicą, iż technologie składnikowe (ang. *component technologies*) w projektach czysto militarnych coraz częściej dezaktualizują się jeszcze przed rozpoczęciem produkcji. Zdaniem ekspertów zachodnich zbliżamy się do sytuacji, gdy producenci sektorów cywilnych będą w stanie dostarczyć złożone systemy strategiczne na pole bitwy szybciej od tradycyjnych dostawców militarnych[2]. Rozwój technologii cywilnych stał się więc w Japonii głównym filarem jej przyszłej potęgi technologicznej i militarnej.

Nowy kierunek rozwoju i badań technologicznych stwarza dla USA poważny problem polityczno-strategiczny. Zastał on Amerykę źle wyposażoną dla zmiany kierunku technologiczno-rozwojowego, a więc nieprzygotowaną do podjęcia wyzwania japońskiego. Pod tym względem pozycja i szanse Europy są, zdaniem ekspertów, znacznie lepsze od Ameryki. Rosnąca zależność USA od japońskiej technologii półprzewodnikowej jest już od kilku lat powodem poważnego niepokoju strategów Departamentu Obrony i źródłem kiełkujących napięć politycznych z Japonią, na tle nierównych warunków i dyskryminacji w transferze technologii. W uprzednio wspomnianej książce S. Ishihara szczególnie ostro atakuje byłego premiera Y. Nakasone za zgodę na „wspólny rozwój" nowego typu myśliwca FSX, rozwiniętego przez firmę Mitsubishi HI. Z wielką goryczą stwierdza on, iż „Japonia ma dziś środki technologiczne i fiskalne dla własnej polityki wojskowo-obronnej, lecz nie ma jeszcze polityków zdolnych do wygrywania karty technologicznej w wielkim pokerze polityki międzynarodowej".

Japonia niewątpliwie posiada dziś niezbędny potencjał przemysłowo-technologiczny, by stać się mocarstwem militarnym. Opcja militarna jest więc sprawą wyboru politycznego, a nie ograniczeń technicznych. Fakt ten jest przyczyną zrozumiałych, lecz równocześnie mocno przesadzonych obaw Pentagonu. Nawet ludzi myślących kategoriami Ishihary, dążących przede wszystkim do osiągnięcia autentycznie partnerskich stosunków osi Waszyngton-Tokio, nie można jeszcze uważać za wrogów Ameryki.

Przede wszystkim należy jednak uświadomić sobie, iż aspekt militarny jest tylko ubocznym, choć zapewne ważnym produktem japońskiej rewolucji technologicznej, której główne ostrze skierowane jest na pokojowe przeobrażanie przestarzałych systemów wytwarzania dóbr materialnych w świecie. W tym sensie bieżąca debata strategiczna w USA, jak na to słusznie zwracają uwagę liczne analizy ekspertów zachodnich, nadal mocno tkwi w przesłankach przeszłości, niezdolna do zrozumienia, iż wkraczamy w okres nowych struktur bezpieczeństwa w globalnych układach mocarstwowych.

Janusz MONDRY

2. Wśród stosunkowo licznych opracowań tego tematu, jednym z najlepszych jest obszerna monografia John Zysmana pt. „US power, trade and technology" (w *International Affairs* 67/Nr 1-1991, Londyn), która jest częścią szerszego opracowania na temat współzależności bezpieczeństwa gospodarczego i militarnego dla *Berkeley Roundtable on International Economy*, USA.

Nadesłane nowości wydawnicze

KOPIELEW (Lew). *Bożyszcza mojej młodości.* Przełożyli: G. Strumiło-Miłosz, E. Niepokólczycka, E. Klimczak. Str. 259 i 1 nlb. (Wyd. Pogląd, Berlin 1991).

LEHNERT (Marek). *Mój ulubiony zestaw kolorów.* Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. PSIK Editore, Rzym 1991).

BIEREZIN (Jacek). *Tyle rzeczy.* Str. 90 i 2 nlb. (Wyd. Editions Dembinski, Paryż 1991).

LEWANDOWSKI (Józef). *Szkło bolesne, obraz dni... Eseje nieprzedawnione.* Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Statens Kulturrad, Uppsala, Szwecja 1991).

LEWANDOWSKI (Józef). *Cztery dni w Atlantydzie.* Str. 129 i 3 nlb. (Wyd. Statens Kulturrad, Uppsala, Szwecja 1991).

SENDOR (Leokadia). *Pamiętnik macochy.* Str. 165 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1990).

CZARNECKI (Ryszard). *Droga do Polski. Wybór publicystyki historyczno-politycznej z lat 1987–1989.* Str. 272. (Wyd. Caldra House Ltd. i PFK, Londyn 1990).

ROSTAFIŃSKI (Wojciech). *Niedostrzegalne światy.* Str. 168. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

LUBKIEWICZ-URBANOWICZ (Teresa). *Dzitwa.* Str. 112. (Wyd. PFK, Londyn 1990).

MAURER (Jadwiga). *„Z matki obcej..." Szkice o powiązaniach Mickiewicza ze światem Żydów.* Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1990).

NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Nie umiera się w Miami...* Powieść. Str. 140 i 6 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1991).

Akta Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. Tom I. Str. 302 i 6 nlb. (Wyd. Biblioteka Polska w Paryżu, 1991).

KIELANOWSKI (Leopold). *Odyseja Władysława Warneńczyka.* Str. 112. (Wyd. OPiM, Londyn 1991).

BALTHASAR (Hans Urs von). *W pełni wiary.* Przeł. Janina Fedrychowa. Str. 605 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1991).

CZAYKOWSKI (Bogdan). *Wiatr z innej strony. Wiersze zebrane z lat 1953–1989.* Str. 201 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).

KISIELEWSKI (Stefan). *Wszystko inaczej.* Str. 396 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Interim, Warszawa 1991).

CIESIELSKI (Zenon). *Historia literatury szwedzkiej.* Str. 340. (Wyd. Ossolineum, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1990).

KUMANIECKI (Jerzy). *Tajny raport. Wojskowa czyli radziecka taktyka zwrotu polskiego mienia gospodarczego i kulturalnego po Pokoju Ryskim. 1921–1923, dwa lata prac delegacji rosyjsko-ukraińskiej, rosyjsko-ukraińsko-polskich komisji mieszanych reewakuacyjnej i specjalnej nad wykonaniem ryskiego traktatu pokojowego — sprawozdanie.* Str. 194 i 2 nlb. (Wyd. Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf", Warszawa 1991).

GŁOWIŃSKI (Michał). *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966–1971.* Str. 339 i 5 nlb. (Wyd. Wydawnictwo PoMost, Warszawa 1991).

KOSSOWSKA (Stefania). *Galeria przodków.* Str. 138 i 2 nlb. (Wyd. Więź, Warszawa 1991).

BALCERZAN (Edward). *Przygody człowieka książkowego (ogólne i szczególne).* Str. 135 i 5 nlb. (Wyd. PEN, Warszawa 1990).

ZIELIŃSKI (Jan). *Leksykon polskiej literatury emigracyjnej.* Str. 157, 3 nlb. + fotografie. (Wyd. FIS i UNIPRESS, Lublin 1991).

MICHNIK (Adam). *La deuxième révolution* . Str. 212 i 4 nlb. Przeł. Laurence Dyèvre i Agnieszka Grudzińska. (Wyd. La Découverte, Paryż 1990).

STACHURA (Edward). *Me résigner au monde.* Przeł. Laurence Dyèvre. Str. 84 i 4 nlb. Wyd. Solin, Paryż 1991).

WAŁĘSA (Lech). *Les chemins de la démocratie.* Przeł. Anna Posner. Str. 359 i 11 nlb. (Wyd. Plon, Paryż 1991).

CZAPSKI (Joseph). *Tumulte et spectres.* Przeł. Thérèse Douchy. Str. 339 i 5 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria, 1991).

MICIŃSKI (Bolesław). *Diligence philosophique. Essais.* Przełożyli Anna Ciesielska i Krystyna Bourneuf. Przedmowa Adama Michnika. Str. 182. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1991).

WILES (Timothy, ed.). *Poland Between the Wars: 1918–1939. A Collection of Papers and Discussions from the Conferences „Poland between the Wars: 1918–1939" held in Bloomington, Indiana February 21–23, 1985.* Str. 320. (Wyd. Indiana University Polish Studies Center, Bloomington IN, USA, 1989).

SOBOTA (Stefan). *On Four Continents. An Account of Life's Many Paths, a Physician's Reflections.* Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1990).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

2.4.91
W klubie im. Kajetana Morawskiego w Warszawie odbył się odczyt Andrzeja Krzeczunowicza, dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu, pt. „Nowy porządek świata".

15.4.91
Zmarł w Warszawie w wieku 85 lat Władysław Bieńkowski, autor prac teoretycznych z dziedziny socjologii i wybitny publicysta polityczny, nie dopuszczany w Polsce do druku. Większość jego prac ukazała się w Bibliotece *Kultury* w Paryżu. W jednym z najbliższych numerów *Kultura* zamieści wspomnienie o nim, pióra Stefana Kisielewskiego.

21.4.91
Papież Jan Paweł II dokonał nowych nominacji biskupich oraz erygował dwie nowe diecezje na terenie ZSSR. Arcybiskupem nowej archidiecezji mińsko-mohylewskiej został ks. Kazimierz Świątek, biskupem nowej diecezji grodzieńskiej — ks. Aleksander Kaszkiewicz, administratorem apostolskim Moskwy (Rosja) — bp Tadeusz Kondrusiewicz, Nowosybirska (Syberia) — ks. Josef Wert, Karagandy (Kazachstan) — Jan Lenga.

22.4.91
Na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie odbył się IV Tydzień Kultury Ukraińskiej. W czasie Tygodnia Jewhen Swerstiuk z Kijowa wygłosił odczyt o Wasylu Stusie, dr Bazyli Nazaruk z Warszawy mówił o „Wielobarwności słowa Wasyla Hołoborodka", prof. Tadeusz Chrzanowski mówił na temat „Moje spotkania z Ukrainą", a Myhajło Seliwaczow z Kijowa o ukraińskiej sztuce współczesnej. Ponadto zabierali głos: Włodzimierz Paźniewski (Katowice), dr Włodzimierz Mokry (Kraków), dr Waldemar Okoń (Wrocław), Mykoła Riabczuk (Kijów) oraz prof. Bohdan Osadczuk (Berlin).

24.4.91
W Przemyślu odbył się — pomimo okupacji dawnej greckokatolickiej katedry przez Społeczny Komitet Obrony Polskiego Kościoła Ojców Karmelitów — ingres biskupa Iwana Martyniaka. Ingres nastąpił — gościnnie — do katedry rzymskokatolickiej, m.in. w obecności nuncjusza papieskiego abp. Józefa Kowalczyka i Prymasa Polski kard. Józefa Glempa.

2.5.91
Dwaj obywatele litewscy, którzy nielegalnie przekraczali granicę Polski i Niemiec, zostali przez niemiecką straż graniczną odstawieni do Polski, skąd ich z miejsca wydano w ręce sowieckie. Ten nieprawdopodobny skandal nie wywołał żadnej reakcji ze strony władz polskich. Nie jest to pierwsze tego rodzaju posunięcie ministra Skubiszewskiego. Należy tu przypomnieć, jak w swoim czasie, przy masowych ucieczkach Niemców z NRD, polska straż graniczna wydawała ich w ręce policji NRD, co w tamtym okresie równało się skazaniu ich na wieloletnie więzienie. P. Skubiszewski tłumaczył się obowiązującymi umowami między Polską a NRD. Rząd węgierski analogiczną umowę zawiesił i bez żadnych przeszkód przyjmował masowo uciekających Niemców. Nieliczni Niemcy, którzy dotarli do Warszawy, koczowali w

ogrodzie ambasady RFN bez żadnej opieki. Dopiero gdy prymas Glemp udostępnił im zabudowania kościelne, udzielono im niezbędnej pomocy. Do tych ciemnych stron polityki MSZ jeszcze powrócimy.

9.5.91
W Polsce coraz bardziej rozprzestrzenia się piractwo wydawnicze. Walka z nim jest niemożliwa, gdyż do tej pory nie skodyfikowano prawa autorskiego. Projekt ustawy wpłynął już do Sejmu, który tą sprawą nie ma czasu się zająć, pochłonięty sprawami ważniejszymi, jak np. ustawa o regulacji urodzin etc. Polska do tej pory nie przystąpiła do konwencji rzymskiej, która chroni także prawa producenta (wydawcy), ani do genewskiej z 1989 roku. Prezydent nie miał czasu tej ostatniej konwencji podpisać, a Sejm ją może ratyfikować dopiero po pół roku od daty podpisania przez Prezydenta. ■ W tegorocznym budżecie Polski przeznaczono na cele kulturalne: na działalność programową ośrodków i instytutów — 2 mld zł.; na utrzymanie Instytutów Polskich w Wiedniu, Londynie, Paryżu i Sztokholmie — 2 mln dol. US; na attachaty kulturalno-naukowe — 771 mln zł (na działalność programową); na MSZ — 7 mld zł (na materiały informacyjne i kulturalne dla placówek dyplomatycznych).

12.5.91
Jewgienij Golikow, zastępca redaktora naczelnego tallińskiego miesięcznika *Polityka*, złożył listy uwierzytelniające ministrowi Spraw Zagranicznych Rosji jako nowy ambasador Estonii. Jest to pierwszy dyplomata akredytowany w Federacji Rosyjskiej. ■ W Warszawie odbył się pierwszy krajowy zjazd partii „X", której przywódcą został jednogłośnie wybrany Stanisław Tymiński. Partia ta zamierza wziąć udział w wyborach do Sejmu R.P. jesienią br.

19.5.91
Zmiana kursów walutowych: dolar amerykański wart jest obecnie 11.100 zł.

25.5.91
Z okazji 25-lecia działalności Editions du Dialogue odbyło się spotkanie z przyjaciółmi i współpracownikami w nuncjaturze apostolskiej w Warszawie.

18.6.91
Lubelskie Towarzystwo Naukowe organizuje międzynarodową sesję naukową z serii „Między Wschodem i Zachodem", skoncentrowaną na sprawach wzajemnego przedstawiania przeszłości w podręcznikach przez historyków białoruskich, litewskich, ukraińskich i polskich. Chodzi o podręczniki wszelkiego typu — od elementarnych do uniwersyteckich.

ZACHÓD — EMIGRACJA

2.4.91
W Londynie odbył się zjazd Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja". Prezesem centralnego komitetu wykonawczego został Maciej Przedrzymirski, sekretarzem generalnym — Zbigniew Racięski, przewodniczącym rady naczelnej — Jan Radomyski, wiceprzewodniczącymi — Mirosław Chojecki, Krzysztof Poliwski i Bolesław Wierzbiański. Zjazd uchwalił, że NiD działać będzie do chwili uchwalenia Konstytucji RP przez parlament, wybrany w wolnych wyborach.

27.4.91
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odczyt Marka Rudnickiego pt. „Ostatnia droga Janusza Korczaka". Marek Rudnicki, artysta malarz, jest jednym z ostatnich żołnierzy, którzy po wyjściu z getta warszawskiego walczyli w szeregach AK.

29.4.91
Na zjeździe w Paryżu światowej federacji PEN wiceprezesem wybrano Artura Międzyrzeckiego, prezesa Polskiego PEN-Clubu. Jego kandydaturę wysunął PEN-Club francuski. Stanowisko wiceprezesa jest dożywotnie.

1.5.91
Dyrekcja Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie dymisjonowała Andrzeja Czyżowskiego ze stanowiska redaktora naczelnego *Dziennika* i *Tygodnia Polskiego*. Jest to jaskrawy przykład niedopuszczania do głosu krytyki emigracyjnego *establishment*'u.

2.5.91
W Watykanie ogłoszono tekst nowej encykliki papieskiej pt. *Centesimus annus* (Rok setny).

3.5.91
Jerzy Kosiński, znany pisarz, popełnił samobójstwo. W najbliższym numerze *Kultura* zamieści o nim wspomnienie. ■ Zbigniew Zaniewicki, powieściopisarz, współpracownik Miriama Przesmyckiego przy wydaniu „Pism wszystkich" Norwida, autor sześciu tomów wspomnień, zmarł w wieku 88 lat w St. Leonards-on-Sea (W. Brytania).

5.5.91
Walne zebranie samodzielnego Oddziału Koła b. Żołnierzy AK we Francji wybrało nowy zarząd Oddziału w składzie: Tadeusz Wyrwa — prezes, Jerzy Szumański — wiceprezes, Aleksander Michalak — sekretarz, Marek Rudnicki — referent prasowy, Barbara Bałta-Maliszewska — skarbnik, Iwo Odrowąż-Pieniążek — chorąży. ■ Jędrzej Bukowski, wieloletni redaktor i wydawca POL-Press we Francji, został konsulem generalnym R.P. w Lille.

7.5.91
W Domu Kombatantów im. gen. Władysława Andersa prof. Tadeusz Wyrwa wygłosił odczyt pt. „Geneza Konstytucji 3 Maja i jej duchowe dziedzictwo". ■ W Instytucie Polskim w Sztokholmie odbyła się uroczystość wręczenia Norbertowi Żabie odznaczenia „Zasłużony dla Kultury Polskiej". Na tę uroczystość przybyli masowo przedstawiciele emigracji polskiej w Szwecji, demonstrując tym uznanie dla jego wieloletniej działalności.

8.5.91
Papież mianował nowego arcybiskupa Rygi w osobie ks. Janisa Pujatsa, który obejmie archidiecezję ryską po zmarłym w ub. roku kardynale Vaivodsie. Sufraganem ryskim został mianowany ks. Janis Cakulsa, a ordynariuszem Lipawy ks. Janis Bulis. Mianowani zostali także nowi biskupi pomocniczy dla diecezji kowieńskiej i wileńskiej.

13.5.91
Zmarł w Kolonii w wieku 72 lat Juliusz Stroynowski, historyk i dziennikarz.

16.5.91
W Stacji Polskiej Akademii Nauk w Paryżu miał miejsce odczyt prof. Jerzego Senkowskiego z Uniwersytetu Warszawskiego pt. „La diète juive dans l'ancienne Pologne". ■ Departament Stanu USA zaproponował polskim władzom, by reprezentowały amerykańskie interesy w Iraku. Rząd R.P. przychylił się do tej prośby oraz uzyskał zgodę władz irackich na utworzenie sekcji interesów USA przy ambasadzie polskiej w Bagdadzie.

17.5.91
W spotkaniu szefów MSZ-tów państw pięciokąta (Czechosłowacja, Węgry, Austria, Jugosławia i Włochy) Polska będzie obecna jako obserwator. W następnym spotkaniu Polska weźmie udział już jako pełnoprawny członek. Jaki to ma sens?

2.6.91
W klubie „Polonia Nord" w Lille Xavier Deryng, historyk sztuki, wygłosił odczyt pt. „Les artistes polonais en France (1900–1905)".

KRONIKA KANADYJSKA

W grudniu 1990 policja przetrzymała 28 Polaków nielegalnie zatrudnionych w Bradford pod Toronto, zaś 18 kwietnia w Ottawie 18 zatrudnionych jako sprzątacze. Wszyscy zatrzymani czekają od dwóch lat na załatwienie swoich wniosków o stały pobyt i pracowali „na czarno". Z powodu stałego wzrostu bezrobocia obecnie ściga się dość ostro nielegalnie zatrudnionych. ■ Akcja na rzecz załatwiania wniosków o stały pobyt emigrantów przebywających w Kanadzie od dwóch lat została rozszerzona i wzmocniona. Duchowieństwo polskie wzywało do podpisania petycji znajdujących się w biurach parafialnych, które zostały skierowane do władz federalnych. Podpisy składano od 22 do 28 kwietnia. ■ Prasa kanadyjska, która bardzo krytycznie ustosunkowała się do metody załatwiania wniosków o stały pobyt dla nielegalnie przebywających, wyraża nadzieję, że zmiana na stanowisku ministra Imigracji — p. MacDougal objęła tekę Spraw Zagranicznych — pozwoli na szybkie i pozytywne załatwienie tego problemu. ■ W Hamiltonie, po otrzymaniu nakazu opuszczenia Kanady, popełnił samobójstwo 29-letni Polak, Zbigniew Radki. Przybył on do Kanady dwa lata temu na zaproszenie krewnych, po czym złożył prośbę o stały pobyt. W Polsce zostawił żonę i 9-letnią córkę, które miał sprowadzić po uzyskaniu statusu imigranta. Zmarł po drugim zamachu na życie. W tymże Hamiltonie polskie małżeństwo po otrzymaniu nakazu opuszczenia kraju udało się do posłanki okręgu zamieszkania z prośbą o pomoc. Interwencja była skuteczna i nakaz opuszczenia cofnięto. ■ Walne zebranie członków Polskiego Instytutu Naukowego i Biblioteki Polskiej im. W. Stachiewicza odbyło się w Motrealu 28 kwietnia.

W dyskusji nad sprawozdaniami wskazano na potrzebę zwiększenia liczby członków wśród nowoprzybyłych i nawiązania ściślejszej współpracy z Kościołem w zdobywaniu ofiarodawców na Bibliotekę. Sprawozdanie finansowe za rok 1990 zamknęło się po stronie dochodów sumą $can. 77.291 — z tego subwencje: miasta Montreal — $20.000, Funduszu Millenium — $5.000, Fundacji Społeczno-Kulturalnej — $5.000; z różnych darów wpłynęło — $21.532. Wydatki wyniosły — $63.552, w tym płace stałych pracowników — $43.554. ■ Fundusz Wieczysty Millenium przyznał w 1990 r. subwencje na ogólną sumę $can. 146.080. W roku 1989 na sumę $142.560. Organizacje polonijne otrzymały w 1990 r. $53.700; w tym Polsko-Kanadyjski Instytut Badawczy na prace i wydawnictwa — $15.000; Zw. Harcerstwa — $10.000; Instytut Naukowy i Biblioteka Polska w Montrealu — $5.000; Zarząd Główny KPK, referat informacyjny — $3.600; Zarząd Gł. KPK — $2.000 (dotacja na wystawę „Zginęli w Katyniu"). Mniejsze dotacje przyznano różnym organizacjom lokalnym na cele kulturalno-oświatowe, szkoły, zespoły muzyczne, taneczne itp.

Na szkolnictwo przyznano w 1990 r. ogółem $55.150, w tym $15.000 na profesurę historii Polski na Univ. Toronto; $6.000 McMaster Univ. Hamilton dla utrzymania aktywności katedry slawistyki i na ten sam cel $5.000 otrzymała katedra Univ. Toronto; $3.500 otrzymał Univ. of Manitoba w Winnipegu na kontynuowanie nauki języka i literatury polskiej; $4.000 przyznano Zw. Nauczycielstwa Polskiego w Toronto na dokształcanie nauczycieli szkół polonijnych, a $3.500 Polskiej Radzie Szkolnej w Motrealu. Niższe dotacje otrzymały polskie szkoły w różnych miejscowościach. Na zakup książek autorów polskich opublikowanych w Kanadzie i na pomoc bibliotekom wydano ogółem — $9.934.

Lektorat języka polskiego na McMaster Univ. w Hamiltonie może być zniesiony, jeśli wydział neofilologii nie otrzyma odpowiedniej dotacji Polonii. Uniwersytet domaga się zamiast dotychczasowych rocznych wpłat złożenia sumy $70.000, z której odsetki pokrywać będą wydatki na lektorat. KPK — okręg Hamilton rozpoczął zbiórkę funduszy.

Toronto, 18.4.1991 r. *B.H.*

KRONIKA NORWESKA

10.02.91 minister obrony J. Holst podał do publicznej wiadomości informację o intensywnym wzmacnianiu sowieckich jednostek na półwyspie Kola. Od niedawna mają tu swoją bazę bombowce, w których zasięgu jest nie tylko Oslo ale nawet Nowy Jork. Zdjęcia sateli-

tarne wykazały intensywne prace przy budowie lotnisk polowych. Jedno z nich zbudowano w odległości zaledwie 300 metrów od granicy norweskiej. ■ Od 11.02 do 15.02 odbyło się w Wiśle na terenie Beskidu Śląskiego szkolenie zorganizowane wspólnie przez dwie norweskie centrale związkowe oraz NSZZ Solidarność. Uczestniczyło w niej około 40-tu Norwegów i 85-ciu Polaków. Reprezentowane były następujące Regiony Solidarności: Jelenia Góra, Stalowa Wola, Wrocław i Katowice. Dyskutowano sprawy związane z bankowością, służbą zdrowia, transportem, sektorem komunalnym, nauką i oświatą oraz życiem związkowym. Szczególnie dużo mogli nauczyć się polscy bankowcy. Tematem nr 1 była ochrona środowiska. Wynikiem spotkania jest również kilka umów o współpracy pomiędzy regionami Solidarności i norweskimi związkami oraz umówione już dalsze szkolenia. ■ 18.02.91 prezydent i przewodniczący rady miejskiej Oslo podpisali w Wilnie umowę, na mocy której stolice obu państw stają się miastami zaprzyjaźnionymi. ■ 9 marca powstała w Oslo „Solidarność z Polską" (SmP). Jest ona jedną z dwóch spadkobierczyń działającej przez 10 lat, a powstałej w sierpniu 1980 roku Solidarności Norwegia–Polska. W jej miejsce powstały dwie organizacje. Norwescy działacze związkowi utworzyli Solidarność Związkową. Grupa ta zainteresowana jest wyłącznie współpracą z NSZZ „Solidarność". Ludzie, którzy uważali, że w obecnej sytuacji pomoc Polsce nie może ograniczać się do spraw związkowych postanowili utworzyć „Solidarność z Polską". Szefem zarządu został Jarosław Pawlak. Przewodniczącym rady nadzorczej wybrano Bjerna Funnemarka, byłego wieloletniego przewodniczącego Solidarności Norwegia–Polska. Wśród członków założycieli jest wielu Norwegów, między innymi profesor uniwersytetu w Oslo i tłumacz literatury polskiej Ole Mikael Selberg. Celem nowopowstałej organizacji jest wszechstronna współpraca z Polską. Ma to być zarówno pomoc w nawiązywaniu kontaktów politycznych, gospodarczych, kulturalnych, związkowych, jak w dziedzinie ochrony środowiska. ■ 1 marca, w pierwszą rocznicę litewskiej deklaracji niepodległości, rektor uniwersytetu w Oslo profesor Inge Lenning wręczył w Wilnie prezydentowi Vytautasowi Landsbergisowi Pokojową Nagrodę społeczeństwa norweskiego (około pół miliona dolarów). Pieniądze te decyzją laureata mają być przeznaczone dla kalekich dzieci. Dziękując za przyznane wyróżnienie bardzo wzruszony prezydent Landsbergis powiedział między innymi: „zarówno ja osobiście jak i cała Litwa jesteśmy Wam bardzo wdzięczni". Prezydent Landsbergis wyraził również nadzieję, że Norwegia nawiąże wkrótce stosunki dyplomatyczne z Litwą. ■ Miłym akcentem w stosunkach norwesko-litewskich było wyróżnienie przyznane przez związek dziennikarzy litewskich korespondentowi telewizji norweskiej. Otrzymał je 10 marca Hans Steinfelt za reportaże z państw nadbałtyckich. Ten sam dziennikarz 11 marca, a więc zaledwie dzień później otrzymał podobną nagrodę w swoim własnym kraju. ■ W ślad za Danią, Niemcami, Francją, Włochami i krajami Beneluxu 15 kwietnia Norwegia zlikwidowała wizy dla obywateli polskich. Podobnie jak Polaków, wizy nie obowiązują również Norwegów wybierających się do Polski. Nic jednak nie wskazuje na to, że w najbliższym czasie Polska zagrożona będzie inwazją Norwegów. Zupełnie inaczej może być w krainie fiordów, gdzie władze już na wyrost obawiają się naszych rodaków przybywających tu w poszukiwaniu pracy na czarno. ■ 21–22 kwietnia zjazd konserwatystów norweskich wybrał nowego przewodniczącego. Została nim 40-letnia pani Kaci Five. Wśród 6 partii politycznych reprezentowanych w parlamencie norweskim aż 3 kierowane są przez kobiety. Jednej z nich, pani Gro Harlem Bruntland — aktualny premier kraju — chochlik drukarski zmienił płeć w poprzedniej kronice norweskiej. ■ 24 do 26 kwietnia na zaproszenie związkowców z Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Oslo przebywała w stolicy Norwegii delegacja NSZZ Solidarność. Przewodniczył jej Andrzej Słowik. ■ Chęć przystąpienia do Wspólnoty Europejskiej wyrażona przez Szwecję, Austrię, Szwajcarię a ostatnio nawet Finlandię spowodowała częściową zmianę stanowiska norweskich socjaldemokratów. Głównym hamulcem w nich jest sama Norwegia, nie chcąca udostępnić swych obszarów morskich rybakom z państw Wspólnoty. Ostatnie badania opinii publicznej wskazują powolny ale stały wzrost zwolenników członkostwa. Ich przewaga jest minimalna i w sondażu ogłoszonym tydzień temu wynosiła zalewie 2%.

Oslo, 30.04.91

Paweł GAJOWNICZEK

KRONIKA SZWEDZKA

Kryzys ogarnął nie tylko socjalizm Europy środkowo-wschodniej. To samo da się powiedzieć o Szwecji. Nigdy po wojnie światowej poparcie społeczeństwa dla socjal-demokracji nie było tak słabe jak obecnie. Według ostatnich badań opinii publicznej jedynie 27,6% społeczeństwa popiera rządzące stronnictwo socjal-demokratyczne, a co ciekawe straciło ono wiele głosów ze strony ludności męskiej. Stronnictwem, które zyskuje na popularności jest umiarkowana prawica (25,9%), która wspólnie z Liberałami (14,4%) i być może przy poparciu Centrum, dawniej stronnictwo chłopskie (9,1%), po wyborach za pół roku chyba obejmie władzę. Reszta głosów przypada małym nieznaczącym ugrupowaniom. Lewica, czyli komuniści, przechodzi głęboki kryzys wewnętrzny. Trzech posłów do Parlamentu opuściło partię, która ma tylko 6,8% głosów. Grozi jej spadek poniżej magicznej cyfry 4%, co pozbawiłoby komunistów reprezentacji w Parlamencie. Przewodniczący Moderatów, młody i

elokwentny Carl Bildt, zarzucił ostatnio premierowi, Ingvarowi Carlssonowi, na łamach bardzo poczytnego liberalnego dziennika *Expressen*, prowadzenie „chwiejnej polityki zagranicznej", dystansując w konflikcie Zatoki Perskiej Szwecję „zarówno od USA jak i od ONZ". Szwecji grozi „znalezienie się w obozie przegranych". Pragnąc utrzymać pokój rząd szwedzki zalecał jeszcze w przeddzień zwycięstwa Ameryki zawarcie zawieszenia broni i wprowadzenia na porządek dzienny sprawy Palestyny. Zdaniem przywódcy umiarkowanej prawicy „nie będzie w tym rejonie pokoju, póki Saddam Hussejn znajduje się w Bagdadzie". Interesującą analizę sytuacji na Bliskim Wschodzie przeprowadził w połowie marca na łamach tegoż *Expressen* szwedzki rzeczoznawca, Ulf Nilsson. Odbudowa najpierw Kuwejtu, ale potem Iraku, będzie fantastycznym interesem. Gros robót powierzono już dwóm amerykańskim kolosom: „US Army Corps and Engineers" oraz firmie „Bechtel" (budownictwo). Autor przypomina, że Kuwejt przed wybuchem wojny zarabiał na nafcie 240 milionów franków dziennie. Rząd Kuwejtu prowadząc mądrą politykę gospodarczą, inwestował miliardy za granicą, w zachodniej walucie. Zarabiał na tym olbrzymie sumy, do których Saddam Hussejn nie miał dostępu. Rzecznik Rządu Kuwejtu oświadczył, że Kuwejt zwróci się z ofertą odbudowania kraju tylko do „przyjaciół". Szwecja ze swoją polityką nie zalicza się do przyjaciół, pisze Ulf Nilsson. Zostaje jej Irak, ale Irak był już przed wybuchem wojny zadłużony po uszy. ■ Rozrzutna polityka finansowa Szwecji, zwłaszcza w dziedzinie opieki społecznej, śruba podatkowa, inflacja i zwyżka cen oraz rosnąca fala upadłości firm wzmagają bezrobocie, Szwecja przestaje być krajem mlekiem i miodem płynącym, a rząd zmuszony jest poddać rewizji swoją dotychczas liberalną politykę w stosunku do uchodźców. Widoczne jest niezdecydowanie rządu, jeśli idzie o przystąpienie Szwecji do Wspólnoty Europejskiej, czego domagają się umiarkowani, żądając przeprowadzenia w tej sprawie referendum. ■ Pomimo uprawiania ostrożnej polityki wobec Sowietów Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie ma szczęścia. Sowieckie łodzie podwodne, nazywane przez rząd „nieznanymi sprawcami" w dalszym ciągu naruszają szwedzkie wody terytorialne. Władimir Werbickij, bałtycki korespondent rosyjskiego wojskowego czasopisma *Sowiecki Woin*, przez lata zbierał dokumentację o tajemniczym zniknięciu w 1952 roku szwedzkiego samolotu DC-3 z 8 osobami załogi. Istnieją podejrzenia, że załoga została wyłowiona przez Rosjan i dla zatarcia śladów wysłana do gułagu. W tym bowiem okresie zestrzelono także inny szwedzki samolot wojskowy typu Catalina. Załoga została uratowana przez zachodnioniemiecki statek. Zdziwienie wzbudza także fakt, że bardzo krótko szukano szczątków samolotu na dnie morza. ■ Jeśli idzie o kraje bałtyckie to naciski Moskwy stają się coraz brutalniejsze. Rząd sowiecki oburzony udzielaniem moralnego poparcia Bałtom przez rządy krajów nordyckich, przeszedł obecnie do ataku w ostro sformułowanym *démarche*. Spowodowało to zaproszenie Bałtów w charakterze obserwatorów na tegoroczne obrady Rady Nordyckiej w Kopenhadze. Arogancja Moskwy wzbudziła reakcję opinii publicznej, która przekonała się, że w odpowiedzi na ataki Moskwy należy protestować mocno i niedwuznacznie. Najostrzej ze wszystkich premierów zareagował w Kopenhadze Paul Schlüter, najsłabiej szwedzki Ingvar Carlsson. W końcu jednak góra urodziła mysz. Wystąpienie publiczne premierów bałtyckich miało miejsce nie na posiedzeniu Rady Bałtyckiej, ale na specjalnym wieczornym spotkaniu poza oficjalnym programem samej Rady. ■ 3 i 4 marca br. przebywał w Sztokholmie na obradach egzekutywy Międzynarodówki Liberałów premier Jan Krzysztof Bielecki. Towarzyszył mu minister przekształceń własnościowych, Janusz Lewandowski. Obydwaj wzięli udział w konferencji prasowej, podczas której odpowiadali na pytania dziennikarzy szwedzkich, dotyczących zmian w Polsce w związku z przechodzeniem na gospodarkę rynkową, prywatyzacją i inflacją. Premier Bielecki mówił m.in. na temat redukcji długów — fundamentalnej, jak to określił, sprawy dla Polski: „Nawet częściowe rozwiązanie problemu zadłużenia pozwoli Polsce nabrać wiarygodności, jako państwa wypłacalnego, posiadającego płynność finansową w swoim bilansie płatniczym, co z kolei zainteresuje zagranicznych inwestorów". Premier Bielecki stwierdził też, że po niepokojach sprzed kilku tygodni — strajkach w wielu przedsiębiorstwach — sytuacja się obecnie ustabilizowała. ■ Amatorów zamieszkania w Szwecji informujemy, że wobec obecnych trudności ekonomicznych Szwecji i politycznych reform w Polsce uzyskanie tu prawa stałego pobytu jest prawie niemożliwe. ■ Z chwilą objęcia kierownictwa przez Tomasza Jastruna, Instytut Polski spełnia wreszcie swe zadanie szerzenia wiedzy o kulturze polskiej. Jak dotąd Polonia w swej większości nie rozumiała, niestety, że Instytut Polski, podobnie jak instytuty innych państw w Szwecji, nie jest powołany do opieki i propagandy politycznej czy kulturalnej wśród swojej emigracji: głównym jego obowiązkiem jest utrzymywanie kontaktów z rządem, przy którym jest akredytowany i szerzenie wiadomości czy prostowanie błędnych opinii wśród społeczeństwa kraju, w którym przebywa. Opieka i kontakty z własnymi obywatelami to zadanie konsulatów. Niezrozumienie istoty zadań placówek dyplomatycznych i kulturalnych wywołuje nieraz wśród polonijnych polityków niepotrzebne żale. ■ W ostatnim kwartale było w Instytucie tyle ważnych i ciekawych spotkań, że wobec braku miejsca wymieniamy tylko niektóre, jak wspomniane spotkanie z premierem Janem Krzysztofem Bieleckim, który w powitaniu podkreślił swoją radość z przybycia na nie po raz pierwszy licznych przedstawicieli starej i niezłomnej emigracji, bojkotującej dotychczas ambasadę. Następne spotkanie było z Czesławem Okińczycem, litewskim Polakiem, posłem na sejm Litwy. Przybył tu wprost po pobycie w Warszawie, Budapeszcie i Pradze, gdzie konferował w sprawach nawiązania stosunków dyplomatycznych. Mówił m.in. nie tylko o trudnościach Litwy w stosunkach z Moskwą, ale i o trudnościach

przełamania wzajemnych uprzedzeń w stosunkach polsko-litewskich. ■ Z wielu istniejących tu polskich organizacji, z których większość to efemerydy, wybija się aktywnością Stowarzyszenie Polek w Szwecji, które wspólnie z Towarzystwem Przyjaciół *Kultury* i Biblioteki Polskiej urządza m.in. tradycyjne czwartki literackie. Częstym prelegentem jest doc. dr. Andrzej B. Uggla z uniwersytetu w Uppsali, którego zasługi w szerzeniu wiedzy o kulturze Szwecji wśród Polaków są ogromne. Jest on autorem kilku ważnych dzieł w szwedzkim i polskim języku. Niedawno wydał dwie rozprawy dotyczące polsko-szwedzkich stosunków kulturalnych: „Fran politik till litteratur. Sveriges väg till den polska litteraturen under 1800-talet i sju studier" („Od polityki do literatury. Szwedzka droga do literatury polskiej w XIX w. Siedem studiów") oraz „Sverige och polska skalder. Fran Mickiewicz till Miłosz" („Szwecja a polscy poeci. Od Mickiewicza do Miłosza"). Andrzej Uggla, pochodzenia polsko-szwedzkiego, urodzony w Polsce, stara się wszczepić w świadomość emigracji polskiej wiedzę o literaturze szwedzkiej, którą emigracja w swej większości lekceważy, nie zdając sobie sprawy, że literatura skandynawska jest szeroko znana poza swoimi granicami i nie pozostała bez wpływów na literatury innych krajów. W Polsce zaś ogromne zasługi dla wiedzy o literaturze skandynawskiej ma profesor uniwersytetu w Gdańsku, Zenon Ciesielski, doktor *honoris causa* uniwersytetu w Umeä (Szwecja północna), odznaczony za swe zasługi dla literatury szwedzkiej w Polsce orderem Nordstjerna (Gwiazdy Północnej). Zenon Ciesielski wydał w 1990 r. w Ossolineum obszerną pracę „Historia Literatury Szwedzkiej". A. Uggla w tej chwili pracuje nad książką „Kultura emigracyjna w Szwecji". ■ Ulf Nilssen, ekspert *Svenska Dagbladet* podaje, że przedsiębiorstwa szwedzkie znajdują się w Polsce w ofensywie. Jedynie Niemcy inwestują więcej. Z 505 milionów dolarów zainwestowanych w ub. roku w *joint ventures*, 36% inwestowali Niemcy, na drugim miejscu Szwedzi z 9%, po czym dopiero Amerykanie. Dane te podane zostały przez ministra reprywatyzacji, Janusza Lewandowskiego, gdy występował on w marcu wspólnie z premierem Janem Krzysztofem Bieleckim na dorocznym kongresie Międzynarodówki Liberałów w Sztokholmie. ■ Bezprawny handelek turystów polskich spowodował zakaz parkowania zagranicznych samochodów przed centralnym domem towarowym w Malmö, Mobilia. Dyrektor domu towarowego w głównym mieście i porcie Szwecji południowej został oskarżony o bezprawne wywieszenie zakazu parkingu, dyskryminującego samochody zagranicznych turystów. Wywieszka jednak nie została usunięta a gorszący handel uliczny Polaków trwa.

Norbert ŻABA

Listy do Redakcji

27 kwietnia 1991 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W odpowiedzi na mój list zamieszczony w Nrze 1/520–2/521 *Kultury*, pan Garliński pisze, że zanim zarzuci się komuś kłamstwo, trzeba samemu dobrze wiedzieć, o czym się pisze. Nie wydaje mi się, żebym zarzucił kłamstwo panu Garlińskiemu. Raczej błędne informacje posiadane przez niego.

Pan Garliński zarzuca mi dalej, że nie znam nazwiska człowieka, o którym mowa. Chodzi zapewne o to, że ja piszę w tym nazwisku „j", a pan Garliński „y". Widocznie pan Garliński słusznie przypuszcza, że piszemy o zupełnie innej osobie.

W 75-ym *Zeszycie Historycznym* zamieszczony jest list stryjecznego brata osoby, o której mowa. Podpisany „Jerzy Kurcjusz". Podobnie o pułkowniku Kurcjuszu piszą inni, choć często jest i „y". Nie mam innego wyjścia jak uznać, że pan Garliński ma rację, stwierdzając, że o różnych osobach mówimy.

A więc zarzuty pana Garlińskiego nie odnoszą się do dowódcy NSZ pułkownika Kurcjusza. A odnosi się do niego moja wersja. Tego drugiego, Kurcyusza, nie miałem okazji poznać i moje informacje, ścisłe, dotyczą kogo innego.

Łączę wyrazy szacunku dla Pana Redaktora i pozostaję z poważaniem

W.M. MARCINKOWSKI

Zamykamy dyskusję na ten temat (Red.).

●

Drogi Panie Redaktorze,

W chwili, gdy rozmawiałem z p. Teresą Torańską (22.1.1991) nie znałem wyników sondażu przeprowadzonego przez niezależny instytut badania opinii publicznej w marcu br. wśród słuchaczy zachodnich radiostacji w Polsce. Wynika z niego, że w ciągu trzech miesięcy, do końca października 1990 r., czternaście procent dorosłej ludności słuchało Radia Wolna Europa, jedenaście procent Głosu Ameryki i Radia Watykańskiego oraz dziesięć procent BBC. Zwraca uwagę wysoki stosunkowo procent słuchaczy Radia Watykańskiego, jak również fakt, że Głos Ameryki po raz pierwszy wysunął się przed BBC. Być może przyczyniła się do tego okoliczność, że Głos Ameryki od pewnego czasu nadaje na średniej fali, dużo lepiej słyszalnej niż fale krótkie.

Wyniki te, w moim przekonaniu, wskazują, że w interesie polskim leży utrzymanie obu radiostacji amerykańskich mających swoje własne, odrębne właściwości i zadania.

Łączę wyrazy szacunku,

Jan NOWAK-JEZIORAŃSKI

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

prowadzi na terenie Polski sprzedaż książek INSTYTUTU LITERACKIEGO w PARYŻU.
Sprzedaż obejmuje pozycje z katalogu „BIBLIOTEKI KULTURY". Ceny książek w złotówkach w przeliczeniu FFr. 1,00 = zł. 500,00.

Adres FUNDACJI:

00-840 WARSZAWA
ul. Wronia 23, p. 402
tel. 20 01 64, 20 12 71, wewn. 367

FUNDACJA zamierza w najbliższym czasie otworzyć salon książki z pierwszym w Polsce firmowym stoiskiem INSTYTUTU LITERACKIEGO w PARYŻU.

ZESZYTY HISTORYCZNE

Kwartalnik pod redakcją Jerzego Giedroycia wydawany od 1962 r. przez INSTYTUT LITERACKI w PARYŻU, przedrukowywany w drugim obiegu, nareszcie ukazuje się oficjalnie w Polsce. Wydawcą edycji krajowej ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH jest WYDAWNICTWO PoMOST, spółka z o.o.

Cena prenumeraty czterech numerów kwartalnika: 93/1990, 94/1990, 95/1991, 96/1991 wynosi zł. 50.000.
Wpłaty należy przekazywać na konto: Wydawnictwo PoMOST, spółka z o.o. PBK III O. w Warszawie, nr 370015-973548-136 z zaznaczeniem: prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2me trimestre 1991.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 4028-1991

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
		Ceny na rok 1991	
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 12,00	$A. 70,00	$A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 100,00	Fl h 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63; **«Polish Voice Publishing» Co.,** 390 Roncesvalles Ave., Toronto, ON M6R 2M9; **Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»),** 1638 Bloor St. West, Toronto, ON M6P 4A8	$can. 12,00	$can. 65,00	$can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 34 01 08, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$US 10,00	$US 55,00	$US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128. **Cena F. 70,00.**

●

TOM 466 — JAKUB KARPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

DZIWNA WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury" należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu", „Porcja wolności", „Krótkie spięcie", „Płonie komitet".

Książka mówi o *dziwnej wojnie* z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: *„Solidarność" przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981-1982: Pierwszy rok stanu wojennego. 1983-1984: Policja i opozycja.*

Str. 260. **Cena F. 80,00.**

●

TOM 468 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

zawiera opracowania: Eugeniusz Kwiatkowski: *Dziennik czynności Ministra Skarbu, 16 lipca 1939 r. do 8 października 1939 r.;* Franciszek Król: *Oswobodzenie i powrót z Kołymy (1954–55);* Michał Komar: *Cztery relacje; PPS a PPR na początku 1948 r.;* Grzegorz Mazur: *Refleksje nad historią Polski XX w.;* Tadeusz Wyrwa: *Raport o sytuacji w Polsce w 1942 r.;* Emanuel Halicz: *„Rosjanie w Warszawie";* Dr Ant. Stefanowski: *Ostatnie chwile Marszałka Piłsudskiego;* Henryk Kozłowski ps. Kmita: *List w sprawie poakowskiej konspiracji antykomunistycznej* oraz bogaty dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240. **Cena F. 90,00.**

IN 93400 Saint-Ouen - 4028-1991

Cena 50 F